



9292

JEDNOAKTÓWKI  
PO ŚLĄSKU



# 9292

JEDNOAKTÓWKI  
PO ŚLĄSKU



# 9292

JEDNOAKTÓWKI  
PO ŚLĄSKU

WYDAWCY:

**iM!GO** 20 years  
PUBLIC RELATIONS



KATOWICE  
*Miasto Ogrodów*  
Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

PATRONAT MEDIALNY:

GAZETA  
**wyborcza**

9292

*Jednoaktówki po śląsku*

Redakcja:

Waldemar Szymczyk

Korekta:

Grażyna Kwiek

Projekt graficzny okładki i stron tytułowych (wykorzystano zdjęcia Fotolia):

Katarzyna Kępa

Typografia i DTP:

Wojciech Grzegorzycza

Realizacja:

Stapis Katowice

Uwaga: w pisowni staraliśmy się zachować język i styl autorów

ISBN: 978-83-63304-53-9

Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © by Imago Public Relations oraz Katowice Miasto Ogrodów

– Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

Katowice 2018

# SPIS TREŚCI

---

## STAŁA ZMIENNOŚĆ

Rafał Czechowski 7

---

## WSPÓLNOTA PISZĄCYCH PO ŚLĄSKU I O ŚLĄSKU

Ingmar Villqist 8

---

## WYGRAŁ ŚLĄZAK Z NOWEGO TARGU

Waldemar Szymczyk 9

---

## NASZE CZEKANIE I NIEDOCZEKANIE

Piotr Zaczkowski 10

---

## JEDNOAKTÓWKI

9292

Krzysztof Kokot 13

---

## ANKIETA

Łukasz Buszman 20

---

## ŁYSEK Z POKŁADU IDY KONTRA ŌSZKLIWE ZOMBIOKI

Marcin Melon 31

---

## UTOPEK Z MARTINSZACHTU

Monika Kassner 41

---

## HUBERTA, SZWAGRA ERWINA, SIWI

Aleksander Lubina 54

---

## IDEALNY WYBOR

Joanna Sodzawiczny 63

---

## KOLYNDĄ I

Grzegorz Sztoler 70

---

## KOLYNDĄ II

Grzegorz Sztoler 80

---

## PORANEK NA PIASKOWNI

Wojciech Szwiec 91

---

## TRZI GODKI RAFAŁA ZE ŚMIERTKOM

Krystian Węgrzynek 99

---

## DYRECHTÖR

Irek Widera 109

---





# STAŁA ZMIENNOŚĆ

---

**Rafał Czechowski**

*Założyciel i prezes Imago Public Relations*

Siedem edycji „Jednoaktówek po śląsku” to staż, który na niejednym przedsięwzięciu odciska piętno rutyny. W naszym konkursie na sztukę w jednym akcie napisaną gwarą zmiany też – pozornie – dyskretne i dostrzegalne chyba wyłącznie dla regularnych bywalców wieńczących konkurs gali i stałych czytelników corocznych antologii. Drobna zmiana scenografii, inny skład aktorski, malejąca z roku na rok trema gospodarzy... Trzeba sporej lupy, żeby zarejestrować takie „modyfikacje”.

O zmiennej treści samych konkursowych dramatów nie wspominam w tej wycieczce – bo ta zmienność należy do elementów... stałych. Podobnie jak okładki jednoaktówkowych wydawnictw.

A jednak to właśnie w obszarze prac konkursowych edycja, której najdojrzalsze owoce trzymacie Państwo w ręku, przyniosła w siódmym roku konkursu nową jakość. I to w dwójnasób.

Po pierwsze, dwa czołowe miejsca zajęli debiutanci. I nie chodzi o ich debiut w konkursie, ale o ten ważniejszy – literacki. To znaczące wydarzenie, ponieważ świadczy między innymi o tym, że „Jednoaktówki” nie tracą na sile jako impuls aktywności twórczej. Niemniej ważny jest fakt, że Autorzy, którzy nimi dopiero co się stali, objawiają talenty na miarę konkursowego podium. A przecież niemało w naszym konkursie profesjonalistów! Czekamy na kolejne objawienia, bo nic tak nie cieszy jak intelektualna jakość i warsztatowa, dramatopisarska sprawność zaprzęgnięte do wzmacniania kulturowej tożsamości regionu.

Drugim odkryciem jest wykorzystanie „Jednoaktówek” i właściwej dla nich formy literackiej do wygłoszenia refleksji społecznej i komentarza natury publicystycznej o wielkim walorze aktualności. Sztuka Łukasza Buszmana humorystycznie dotykająca społecznych uwarunkowań tworzącej się śląsko-zagłębiowskiej metropolii oraz jednoaktówka Marcina Melona, której fabuła osnuta została wokół problemu jakości powietrza, są tego najświetniejszymi dowodami.

Jak widać, to głównie dzięki Autorom jednoaktówek nasza inicjatywa się rozwija i przynosi co roku nową jakość. I jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać – przeczytać!

Przyjemnej lektury!

# WSPÓLNOTA PISZĄCYCH PO ŚLĄSKU I O ŚLĄSKU

---

**Ingmar Villqist**

*Dramatopisarz, reżyser, wykładowca akademicki, juror konkursu „Jednoaktówka po śląsku”*

Czytam teksty nadchodzące na ósmą edycję konkursu na napisanie jednoaktówki po śląsku. Co raz więcej nowych autorów, ze Śląska, także z Polski, z zagranicy. Przyzwyczailiśmy się już trochę do wysokiego poziomu, okrzykli nasi „starzy” autorzy, zadziwiają pomysłowością doboru tematu i sprawnością warsztatową debiutanci.

To, co jednak zadziwia i cieszy mnie najbardziej, to fakt, że w śląskich jednoaktówkach, tych najnowszych i pieczołowicie gromadzonych w archiwum naszego konkursu, ich twórcy udowadniają, jak niezwykle plastyczną materią jest nasz śląski język, także w konstruowaniu teatralnych opowieści, w było nie było trudnej i specyficznej formie klasycznej teatralnej jednoaktówki.

Powstają przecież kameralne, teatralne opowieści we wszystkich gatunkach, jakie można przełożyć na sceniczny spektakl; są zatem teksty psychologiczne, historyczne, polityczne, farsy, komedie, teksty poetyckie, reportażowe czy jednoaktówki, w których autorzy eksperymentują, poszerzają warsztat narracji i języka.

Dziś nasz konkurs to już nie tylko coroczne spotkanie piszących dla teatru, ale niewielka (ale jednak!) wspólnota piszących po śląsku i o Śląsku dla kameralnych scen. Najważniejsze jednak, że powstające teksty zaczęły funkcjonować na scenach teatralnych, w rozgłosniach radiowych, że nasi autorzy często debiutujący w naszym konkursie wydają książki, piszą, wystawiają sztuki teatralne, i wystawiają je z sukcesami.

Myślami jesteśmy już przy jubileuszowej, dziesiątej edycji naszego konkursu. Na razie jednak trzymamy mocno kciuki za uczestników ósmego konkursu na napisanie jednoaktówki po śląsku i życzymy im sukcesu!

# WYGRAŁ ŚLĄZAK Z NOWEGO TARGU

---

## **Waldemar Szymczyk**

*Juror konkursu „Jednoaktówka po śląsku”, dyrektor wydawniczy Imago PR,  
członek Rady Redakcyjnej kwartalnika „Fabryka Silesia”*

W zeszłorocznej, siódmej edycji konkursu na „Jednoaktówkę po śląsku” wygrał debiutant – Krzysztof Kokot, drugie miejsce zajął również debiutant – Łukasz Buszman, trzecie – dwukrotny zwycięzca konkursu Marcin Melon.

Krzysztof Kokot z zawodu jest aptekarzem, po studiach wyjechał do Nowego Targu i mieszka tam już od 40 lat. Ale językiem śląskim, którego nauczył się na katowickim Nikiszu, nadal świetnie się posługuje. Jego zwycięska praca dotyczy problematyki II wojny światowej.

Łukasz Buszman, który zajął drugie miejsce, napisał sztukę na bardzo aktualny temat – o tworzeniu się metropolii śląsko-zagłębiowskiej. – Wcześniej byłem dziennikarzem, ale tematyka śląska była mi obca, jednak w pewnej chwili coś mnie natchnęło i napisałem sztukę – mówił podczas gali.

Jak się okazało, świetnie zna się ze zdobywcą trzeciego miejsca – Marcinem Melonem. Obaj studiowali politologię na tym samym roku. Melon również nadesłał sztukę na bardzo aktualny temat – o smogu. Ale napisał to przewartownie i w swoim stylu: jednoaktówka jest bowiem z gatunku science fiction.

Oprócz trzech wyżej wymienionych jury konkursu w składzie: Mirosław Neinert, Waldemar Szymczyk, Ingmar Villqist, Piotr Zaczkowski postanowiło wyróżnić siedmiu autorów:

Monikę Kassner za pracę „Utopek z Martinszachtu”,  
Aleksandra Lubinę za „Huberta, szwagra Erwina, siwi”,  
Joannę Sodzawiczny za „Idealny wybór”,  
Grzegorza Sztolera za jednoaktówki „Kolynda” I i II,  
Wojciecha Szwieca za „Poranek na piaskowni”,  
Krystiana Węgrzynka za „Trzy godki Rafała ze Śmiertkom”,  
Irka Widerę za pracę „Dyrechtör”.

# NASZE CZEKANIE I NIEDOCZEKANIE

---

**Piotr Zaczkowski**

*Dyrektor Katowice Miasto Ogrodów – Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek  
oraz juror konkursu „Jednoaktówka po śląsku”*

Tytuł jednoaktówki Krzysztofa Kokota – „9292” – jest czytelny z autorskim komentarzem: „numer w Buchenwaldzie bliskiej mi osoby”. Po to, aby zdarzył się kameralny dramat, nie potrzeba jednak żadnego obozowego obrazu, w ogóle nie są potrzebne ilustracje ani z wojny, ani ze świata. Wystarczy – w centrum sceny – „okrągły kuchenny stół z krzesłami”. Przy śląskim stole czeka się, tęskni i modli, bo krzesło puste, bo kogoś – męża i ojca – brakuje. Niemiecki oficer dosiędzie się nieproszony, a przecież coś nie tylko dla siebie wyprosi, wypełni dramat albo jego sensy dopełni. W finale do stołu powróci inny mężczyzna – zapewne ten, na którego czekano. Może jednak i dramat czekał na niego. Nie wiemy na pewno, więc opada kurtyna, aby ludziom było bliżej do siebie i aby lepiej widzieli – jeden drugiego – w ciemności.

W śląskiej przeszłości jest wiele opowieści okrutnych i zwyczajnych. Ale przy stole w kuchni często roziada się również – wygodnie i pogodnie – współczesność. „Ankieta” Łukasza Buszmana dzieje się w Katowicach – i w dopiero co w ustanowionej metropolii. Domniemany ankieter, gromadzący opinię o nowym pomysle i zamiśle administracyjnym, odwiedza Babę, Chopa i ich syna – co tu ukrywać, Chachora. Stereotypy, przesady i nieporozumienia wystawi na próbę zachęta do udziału w projekcie „Hany plus”, czyli pytanie z niby-formularza o gotowość do przyjęcia w charakterze rezydenta metropolitalnego rodaka z Zagłębia. Tak naprawdę nie o ankietę jednak chodzi i chyba nie o rezydenta, lecz o rezydentkę, ale nim się o tym dowiemy, bawimy się łatwo i smakowicie, ale ze szczyptą nie tylko komicznej mądrości.

Sceniczne okno na przyszłość daleką – lub wręcz fantastyczną – otwiera Marcin Melon, autor scenicznej rzeczy (lub „ekologicznej ballady”) o tytule „Łysek z pokładu Idy kontra ószkliwe zombioki”. Akcja dzieje się głównie w kopalni, do której zesзли Ślązacy, szukając ratunku przed wielkim smogiem, czyli przed mitycznym „Srogim Marasem”. Pod ziemią jest ciemno i nie ma wielkich perspektyw. Na powierzchni podobno gorzej, bo już nie do życia, co niewątpliwie zbliża gawędy sceniczne i antyutopie do zapowiedzi aktualnej pogody oraz bajek ogłaszanych w telewizyjnych dziennikach.





**Krzysztof Kokot**

## OSOBY:

ANNA	matka Krysi, żona Pawła
KRYŚIA	cera Anny i Pawła, wiek 13–14 lat
PAWEŁ	chop Anny, łociec Krysi
RUDI HARTMANN	wojok niemiecki, Hauptmann

*Centralnie na scenie duży, okrągły kuchenny stół z krzesłami. Z tyłu trzy framugi bez drzwi, tak przysłonięte kotarą, aby wchodzący i wychodzący na scenę pojawiali się nagle zza kulis. Scenografia nie zmienia się do końca. Za stołem siedzi zamysłona Anna. Gwałtowne pukanie do drzwi. Na scenę wchodzi niemiecki oficer z walizką i skrzynką.*

## I

## HARTMANN:

Heil Hitler! (*widząc strach w oczach Anny*) Guten Tag! Nazywom sie Hartmann... Hauptmann Rudi Hartmann. (*wyciąga z mapnika kartkę papieru*) Tu jest nakaz... Zapewne wycie, że wyznaczono tukej zakwaterowanie dlo niemieckiego oficera. Wachujmy na grubie... vor den polnischen Banditen und Dieben! Pokoźcie mi moja izba.

## ANNA:

Ja... dostali my take urzyndowe pismo. Już wos prowadza. Podźcie za mnom. Tukej macie tyn wasz zimmer (*wraca i siada przy stole*) Ponboczku, co to teraz bydzie... Miyj nos w swojij łopiece. W Imie Łojca, Syna... (*robi znak krzyża*)

## KRYŚIA:

Mamo, mamo, to tyn gizd, coś godała?

## ANNA:

Cicho Krysiu, cicho, bo jeszcze usłyszysz, dyć wiysz, że nie wolno godać po naszymu. W szkole tyż wom groziyli. Nojlepiej, jak łon bydzie w doma, to nie wyłaż z izby. A terozki uciekej, bier hefty do niemieckiego i siedź cicho!

HARTMANN (*wychodząc z pokoju*):

Już jesiyń, trzeba napolic w kachloku, bo w takij zimnyj budzie niy do sie wytrzymać! A ciepło woda do mycio bydzie? Abo sie wcale nie myjecie... ha, ha, ha.

## ANNA:

Jo moga polić w piecach, ale ni mom wongło. A na hołda przeca niy poleza, jeszcze mie ftoś zaszczeli... i co ftedy? Przeca mom cera, mom do kogo żyć!

## HARTMANN:

Niy wysyłam wos na hołda, ale na trzecio volkslista tyż sie dostaje przidział. Już żeście wypolyli? Dyć dopiYRO poczontek zimy!

\* 9292 – numer w Buchenwaldzie bliskiej mi osoby

ANNA:  
Odebrałam przidiał, ale jeszcze nojwiynksze mrozy przed nami. Co potym by-  
dymy robić?

HARTMANN:  
No ja, trza to jakoś załatwić. Na Verwaltungu może mi coś pedzom. (*podchodzi i bie-  
rze rękę Anny*) Jake delikatne paluszki? Co robiłaś przed wojnom?

ANNA:  
Robiłaś w lazarycie na chirurgii jako siostra.

HARTMANN:  
Die Krankenschwester, ja, super; take potrzebujom na Ostfroncie. Nicht wahr?  
Może to załatwić?

ANNA:  
Już downo bych tam była, ale my z cerom łostały blank same.

HARTMANN:  
Bo szanowny pon Paul Aufständischer za Powstania Ślonske siedzi w Buchenwal-  
dzie... a przeca Birkenau bliży! Dźwigać rynka na Niymcy... Dummkopf!  
*Wychodzi. Trzask zamykanych drzwi. Anna siada przy stole. Wchodzi Krysia.*

KRYSIA:  
Mamo... boja sie.

ANNA:  
Dziecko, musimy to wytrzymać. Nie starej sie tym wszystkim, ino pilnuj tego, co  
do ciebie noleży.

KRYSIA:  
A jak cie wywiezom na front... abo do Niymiec?

ANNA:  
To by już to downo zrobili. Na wojna potrzebujom modych, mocnych chopow. Co  
by mieli zy mie za pożytek?

KRYSIA:  
Ida porzykać do Anioła Stróża, by nos miał w swojij łopiece.

ANNA:  
Nie zapomnij porzykać za zdrowie taty i aby szczynśliwie wrocił do dom. Ino dej  
pozor – to mo być nasz Anioł Stróż, a niy ich Schutzengel.

KRYSIA:  
Niy rob mie za błozna i niy musisz mi przypominać, ciyngym rzykom i nic.  
*Schodzą do swojego pokoju.*

## II

HARTMANN (*wchodzi*):  
Jest tu fto? Frau Anna!

ANNA (*wychodzi, wycierając ręce o fartuch*):  
Ja! Patrza bez łokno i czekom na Krista, zarozki mo przyjść ze szkoły. Łod jutra ma-  
jom zimowe feryje.

HARTMANN (*otwierając torbę na stole*):  
Weihnachten... Ja, ja... Weihnachten. Niy wszyscy mogom dostać urlaub. Gruba musi  
fedrować, wongel jest potrzebny niy ino do grzonio w doma, ale robiom ś niego byn-  
zyna dlo wojska. To jest bardzo ważne... No, ale my juzaś ło tyj wojnie, a Weihnach-  
ten blisko... Dostołech w naszyj kantine puszki ze smalcym, bojtel bonkawy, rosi-



nen i dwie flaszki ryńskiego wina (*wyklada na stół*) Weźcie to, bo jo w Wilijo musza być na grubie i pewnie przida szpyjt. Aha! I tu jeszcze tytka bombonow dło Kristy.

ANNA:

No niy wiym, czych powinna to łod wos brać... Bez wos ino kupa łostudy i ta gu-pio wojna.

HARTMANN:

Weźcie, to taki drobny gyszynk, a pewnie Krista sie bydzie cieszyć. Jakby niy wojna, każdy z nos miolby inksze, weselsze świynta. No ale co momy zrobić! Taki nasz los!

ANNA:

Mom ździebko mołki i kupiłach tyż poł fonta maku na targu. Trocha jabek z łogrodka i kiszono kapusta. Ponoć bydom jeszcze słone śledzie na kartki. Upieka kołocz z jabkami, zrobia makowki na sacharynie i siemyniotka... To tako zupa z konopi.

HARTMANN:

A co to terozki tak fajnie wonio?

ANNA:

Jezderkusie, zapomniałach, bratkartofle łostały na blasze! Chciecie skosztować?

HARTMANN (*siada do stołu*):

Downo żech takich niy jod!

ANNA (*wraca z talerzem*):

Nie dałach dużo, ino tak na sprobowanie.

HARTMANN:

Piyknie wyglondajom, a jak woniajom! Bei uns in Württemberg tyż sie take piecze. Dobre, gut, gut...

KRYZIA (*wraca ze szkoły*):

Guten Tag!

HARTMANN:

Aaa... Grüss Gott! Jak tam w szkole?

KRYZIA:

W końcu feryje. Jutro już niy musza iść do szkoły. Rehtorka łod niemieckiego zadała dużo, by my niy zapomnieli godać, pisać i myśleć po niemiecku.

HARTMANN:

Ja, niemiecko godka jest ważno, a tu bydzie już na zawsze Reich. Modzi muszom sie uczyć tym tupłym. Mogom potym jechać do roboty w Berlinie, abo do Hamburga.

KRYZIA:

Ja, ale niyforzi niy poradzom, a wyjyżdżajom. Siostra mojj koleżanki dostała brif i musiała jechać do jakigoś bauera... a wcale niy godała po niemiecku. Cało familia ślimtała.

ANNA:

Krista, idź do kuchni. Umyj rynce i weź sie kartofli z tyglika. Mlyko mosz w szolce na bifyju. I niy godej takich pierdoł!

*Kryzia wychodzi.*

HARTMANN:

To było bardzo dobre. Vielen Dank! Teraz moga sie kapka zdrzimnonć. (*wchodzi do swojego pokoju*)

### III

*Wigilia. Matka i Kryisia siedzą przy skromnie zastawionym stole.  
Z tyłu widoczna choinka.*

KRYSIA:

To niy piyrso Wilijo bez taty. Czy jeszcze kedyś bydzie s nami?

ANNA:

Niyh ta pieronowo wojna skończy sie jak nojpryndzyj. Godajom, że Niyecom co-  
roz ciynżyj na Ostfroncie. Bierom do wojska kogo sie do i do Rusow... A tam ło-  
kropne mrozy, niy to co u nos.

KRYSIA:

To sie musi kedyś skończyć, ale na razie momy ino ten pusty talyrz zamiast taty. Co  
łon tam bydny robi... Ach! Ftoś to godoł, że łoni tam szczury jedzom. Prowda to?

ANNA (z *opłatkami*):

Życza ci tego, Krysiu, z cołkiego serca, aby my doczekali końca wojny. Muszyny  
wierzyc i jakoś wytrzymać. Ucz sie dobrze w szkole, na złość Niyecom, i niy cho-  
ruj. Z jednyj strony dobrze, że miyszko u nos Hauptmann. Momy przinajmij cie-  
pło w doma i tyn maluški goik.

KRYSIA:

Mamo... wierza, że tata bydzie z nami, a wojna sie skończy. Dyc nic niy jest wiecz-  
ne, a Pon Bog musi nos w końcu wysuchać.

*Jedzą razem wieczerzę.*

ANNA:

Ni mom blank chynci na nic, ani tyj radości, jak downij przed wojnom. Ale trza za-  
śpiywać jakoś kolynda, dyc jest Wilijo i Dzieciontko sie nom urodziło. A łono, choć  
take małe, dużo może, bo to przeca som Bog. Może „Cicha noc”?

KRYSIA:

Ale po polsku, dobra?

*Zaczynają cicho śpiewać. Po chwili słyhać odgłos zamykanych drzwi, zjawia się Hartmann.  
Staje i przysłuchuje się. Na jego widok przerywają.*

HARTMANN:

Guten Abend... Piyknie śpiywocie ta staro kolynda. „Stille Nacht” piyrszy roz za-  
śpiywali kaś pod Salzburgiem już ponad sto lot temu. To musiało piyknie wygłon-  
dać... noc, gory, zima i maluški kościołek cołki w śniegu. Ach... jak ino sie uspokoi  
i wojna sie skończy, to zaroz tam pojada... Nur der Krieg wird enden.

*Odchodzi zamyślony do swego pokoju.*

### IV

*Wieczór sylwestrowy. Z pokoju dobiegają dźwięki niemieckich szlagierów. Hartmann,  
już podchmielony, w białej koszuli, z butelką wina podchodzi do stołu.*

HARTMANN:

Frau Anna! Kaj żeście? Trza przeca pożegnać stary rok i powitać nowy!

*Wchodzi Anna – ładnie ubrana, z narzuconą na ramiona chustą –  
z ciastem na talerzu i dzbankiem. Na stole zastawa.*

HARTMANN:

Patrzcie no, patrzcie... Zawsze godołych, że Ślonzoczki som nojpiyknijsze w coł-  
kij Europie! Prosza do mie! Na Deutschlandsender leci piykno muzyka, a o półno-  
cy bydom dzwonić dzwony... Gerade aus Rom!

ANNA:

Łostowcie drzwi uchylone, to bydzie słychać, ale niy za głośno, bo Krista już śpi.

HARTMANN (*nalewając wina do kieliszków*):

To na szczynście... I niych ta wojna sie już skończy.

ANNA:

Za powrot Paulka! Nic wiyncyj niy chca.

HARTMANN:

Niy bydzie się, wroci! Przeca żech piśoł do przyjociela, ftory sporo może w Buchenwaldzie, i łobiecoł dło niego lżyjszo robota. Już dość łodpokutowoł za powstania. Niyftorych to nawet wypisujom z lagru... Słyżalaś?

ANNA:

Ja... bez kumin!

*Przytula Annę i nalewa kolejny kieliszek wina.*

HARTMANN:

Niy bydzie tak źle, przeca – tak miyndzy nami – to co z niego za bandyta? Pamiyntej o tym, że chca mu pomoc. Pamiyntej ło tym vor allem, jak wleżom Ruski! Nasze wojska coś za gibko sie cofajom... za gibko.

ANNA:

Oby ino niy zamorz kaś w polu. Tego sie boja.

HARTMANN:

Alles wird gut! (*wznosi toast*) Zum Wohl! Ino Paul i Paul... Bydziesz go niedugo miała. Słowo oficera! Podź, przyciszymy radio, niych dziecko śpi. Niy bydymy ji szterować.

*Obejmuje Annę, w drugiej ręce butelka, idą do jego pokoju.*

*Po chwili muzyka przycicha, przygasa światło. Cisza.*

## V

*Półmrok. Z pokoju Hartmanna po cichu wymyka się w halce Anna, owinięta chustą, i kieruje się do swego pokoju. Z tegoż pokoju wychodzi niespodziewanie Krysia.*

ANNA:

A ty czymu niy śpisz?

KRYZIA:

Łobudziyłaś sie, a ciebie ni ma. Wylynkniynto poszłaś łobejrzyć...

ANNA:

Musiałaś do piecow przilożyć, bo idzie mroz. Kładź sie już gibko, bo bydzie ci zimno.

KRYZIA:

A jo myślałaś...

ANNA:

Podź już, podź! Przeca rano trza iść do kościoła.

VI

*Przy pustym stole Anna z karteczką w dłoni. Ze szkoły wraca Krysia.*

KRYSIA:

Mamo, mam, ty wiesz? Dziś my już niy mieli niemieckiego. Przyszła blank nowo rectorka i pedziała, że teraz bydymy sie uczyć juzaś polskiego... A potym to nawet ruskigo, bo to bydom dwa nasze nojważniejszye jynzyki. Godała do nos tak jakoś śmiesznie, jakby śpiywała... Fajno była! A ty co? Juzaś płakałaś?

*Podchodzi do Matki, wyciąga jej z ręki kartkę, kiwa głową i przytula. Anna ociera oczy z łez.*

KRYSIA:

Po co niywiadomo ftory roz czytosz ta kartka łod tego Niyemca. Przeca to, że zo- stoł ranny na wojnie i jest kaś w lazarycie pod jakimś Magdeburgiem, to niy nasza sprawa i niy powinnaś sie tym tak przejmować! Dyć to łoni zaczynli ta wojna i te- rozki za to ciyriom. Pamiyntom, jak przyjechali po niego w nocy, wsadzili do auta i uciykli, aż sie kurzyło. Ino raziyraparart wciep do kuferka... Rano już tu były Ru- ski! Mam, chyba radia nom niy weznom?

ANNA:

Sama niy wiym, co mie taki jankor trzimo. Ino bych beczała... To już wszystko za dugo trwo, moje nerwy niy wytrzymujom. Żodnych wiadomości łod taty... Co ro- bić? Przychodzi nowy ordnong, czy jo sie w tym wszystkim pochytom? Peño mi- glancow i Ruskich, a przeca trza jakoś żyć!

KRYSIA:

Wszyscy som tak samo niypewni. Dzieci na placu godajom, że chyba gibko bydzie szlus tyj wojny.

ANNA:

Dej Boże, oby tak było! Podź, naleja ci żuru, bo już zgynstnioł łod czekanio na bla- sze. Potym może upiekymy sie ajerkuchow, co?

*Krysią przynosi talerz, zaczyna jeść. Anna ma zamiar zanieść garnek do kuchni. Słysząc pukanie do drzwi. Do mieszkania wchodzi wysoki, wychudzony mężczyzna w długim płaszczu i kapeluszu. W prawej ręce trzyma pudełko przewiązane sznurkiem. Anna odwraca się w jego stronę i garnek wylatuje jej z rąk.*

PAWEŁ:

Szczynść Boże... To jo! Poznajecie mie jeszcze?

KRYSIA:

Tata, tata wrocił! *(biegnie do ojca i rzuca mu się na szyję)*

ANNA:

Matko Bosko Przenojswiyntszo... Paulek! To ty! Jakiś ty mizerny! *(podbiega do męża)*

PAWEŁ *(odkłada skrzynkę i długo całuje żonę):*

Nareszcie w doma. Tak dugo zech o tym myśłoł, jak to bydzie wyglondało. Naresz- cie sie spełniyo.

ANNA:

Niy stoj tak! Ściongej tyn mantel i trzewiki. Siadej, zaroz zrobia ci coś zjeść. *(bie- gnie do kuchni)* Tu mosz szolka lipowego teju, a zaroz bydom ajerkuchy. Łospra- wiej, kaś sie to ponywiyroł. Licho wyglondosz, ale to niy dziwota. Dawali wom tam coś jeść w tym lagrze?

PAWEŁ:

Ani niy godej, przeca wiesz, że to wszystko łokropne. Dobrze, że zech mioł z czego schudnonć... Inaczyj bych niy przeżył. I tak Bog mi podarowol drugie życie.

ANNA:

Jak to tam wyglondało...?

PAWEŁ:

To było łokropne, to istne piekło na ziemi. Tyla ciyrpiynio, tyla niypotrzebnyj śmierci... Niywiela nos łostało z tych starszych. Co chwila dowoziyli takimi krowskimi wagonami nowych... z różnych stron. Widzisz tyn numer... 9292. Każdy miół taki. Niypotrzebne było miano, norod, to było wszystko... za żywota i po śmierci.

ANNA:

Ciynżkoś robiył? Biyli cie? Moj ty niyboroku... *(przynosi z kuchni jedzenie)*

PAWEŁ:

Kopali my rowy. Potym nos przeciepli na bana zmiyniać glajze... Wszystko w strasznyj glinie i marasie. Było, że prosilech Boga, aby mie zabroł z tego świata. Jak już było bardzo źle, nogle – tak se myśla – stoł sie cud. Prziszeł taki jedyn z komando i pado: neun zwei, neun zwei, komm mit! Ida za niym, w gorści mom gorczek i łyżka; myśla, że to koniec. Na dworze dyszcz ze śniegym, a łon mie prowadzi do inkszego baraku. Na koniec pedzioł: jutro idziesz – wtedy mi sie w gowie zawrocioło, boch myśloł, że na śmierć – do młyna. Dobrze to wszystko pamiyntom, bo to było w sylwestra. Anna odwraca się na bok i pozostaje w bezruchu.

PAWEŁ:

Niy ślimtej, przeca zech jest. Chudy, bo chudy, trocha żołyty, połobijany. Przirychtuj wody do wanny, to sie wymocza, a potym pogodomy. A co u ciebie, Krysia, downo my sie niy widzieli, prawda? Z ciebie to richtig fajno frelka wyrosła... Tako piykno, jak ta umojojno kwiecym papiyrowka w naszym łogrodku.

KRYZIA:

Dugo musiałaś na ciebie czekać, ale moje rzykanie w końcu doszło do nieba.

ANNA:

Paulek, tu mosz handtuch, idź sie wykomp, a jo ci przirychtuja spanie. Legnij sie, boś zmordowany. Możesz sie puścić radio. Posuchosz, co tam godajom. Stoi tam, kaj je tyn Niymiec postawił, przy samym łozku. Nic zech niy ruszała. Bo fto to wiy?

KRYZIA *(do taty)*:

Mama bardzo rada suchała radia, ale godo, że nojlepiej słychać w nocy. Musisz to wyprobować.

ANNA:

Co ty tam trajlujesz łojcu?

PAWEŁ:

Nic, nic... Tak sie ino łosprowiomy.

# ANKIETA

---

**Łukasz Buszman**

WYSTYMPUJOM:

- CHOP piyndziesiont lot, elektryk, robi u dewelopera, rychtując łącza elektryczne w nowych chałpach
- BABA młodszo od CHOPA, krawcowo, łod kilku lot bezrobotno, dorabio, szyjąc znajomym babom
- CHACHOR pełnoletni, durś z nosem w telefonie komórkowym; baby niy mo, zdarzo się, że podyrwie jako frelka na imprezie, studiuje budowa maszyn
- ANKIETER młody synek, po studiach z dziynnikařstwa, wtóry chce zrobić epno kariera w pijarze

*Niydzielne południe. Miyszkanie w kamiynicy w Katowicach zbudowanyj za Niyemca. Izba z epnym stołym. Kole stołu siedzi CHOP i CHACHOR (z nosem w telefonie komórkowym). Na drugim kraju izby gro telewizor – lecom wiadomości telewizyjne. Do izby włazi BABA z talyřzami i rozkłado na stole.*

CHOP:

Ty żeś słyssała, co ta Gessler wczoraj uwarzyła na łobiod?

BABA:

Niy.

CHOP:

Prze-grzebki.

BABA:

Co?

CHOP:

Prze-grzeb-ki.

BABA:

A co to za gorolskie piyroństwo?

CHOP:

Takie muszle, ino z miynsym.

BABA:

Muszle z miynsym?

CHOP:

No ci godom.

BABA:

Muszle to sie nad morzym zbiyro, żeby se na szranku postawić.

CHOP:

Aaa... to jest tako godka. Jak wtoś cołkie życie jeździł ino do Rowów z Funduszu Wczasów Pracowniczych.

*BABA poiryutowano z trzaskiem ustawio łostatni talyřz i siado.*

BABA (*podniysionym głosym*):

A zabroł żeś mnie kaś w ciykawe miyjsce, abo za granica? Nawet po ślubie to my ino w Szczawnicy byli. I to jeszcze żeś udaru dostał i my musieli cołkie trzy dni siedzieć na kempingu! Dej spokój.

CHOP:

Jeronie, jo ci godom ło tym, bo bych chcioł, że może by my se coś ekstra czasem na łośbiod zjedli, a ty zaś ino jakieś stare historie spominosz. A tak w ogóle, to my sam byli w Niymcach.

BABA:

No ja – niyzapomniane wakacje w Aachen. Jedyne, co pamiyntom, to że my wreszcie w Aldiku byli. I ten twój onkel Hanek, co to durś boł łożarty i godoł o swoim dziadku w Wehrmachcie i jak to mu sie cni za tym, jaki to Ślonsk był za Niymca.

CHACHOR (*zyrkając na komórka*):

Kiedy łośbiod?

BABA:

Nudle musza jeszcze uwarzyć.

CHOP:

Ino te nudle i nudle. My by se musieli takie przegrzebki zrobić.

BABA:

A tyn durś fandzoli. Tyś sie taki lolo figolo zrobił, że za chwila to ci krupniok bydzie capił.

CHOP:

Bo my terazki som w metropolii! I jo bych choć tela se z tego skorzystoł, żeby se co dobrego pojysć.

BABA:

Tyś jest Hanys z Szopienic w starych, łośbdartych galotach i tela, a nie żodyn Francuz abo Hiszpan, coby muszle warzyć. Zymby ci wylatują, to byś nawet nie pogryz.

CHOP:

Tego sie nie gryzie, ino wsyso, choby kisiel abo szpajz, a ino mniyj rzodkie.

BABA:

No to dowej panie Rączka gotuje. Sie zagotuj wody, zrób kisiel i gelu dodej, to bydziesz mioł te muszle.

CHACHOR:

Mama, a co to jest ta metropolia?

BABA:

To jest tak choby my razem byli jak jedno miasto.

CHACHOR:

Ale z kim?

BABA:

No z Chorzowym, Bytuniem, Świnytochowicami, Sosnowcem, Czeladziom i innymi miastami kole Katowic.

CHACHOR:

*Zyrko znad telefonu ze zdziwiyniem.*

CHACHOR:

Ze Sosnowcem!?

BABA:

Ja, ze Sosnowcem tyż.

CHACHOR:

Toć to gańba jest! Tęła razy żeście mi godali, cobyćm se auswais wzion, jak tamtyndy jada, a terozki mamy być jednym miastem!?

CHOP:

Synek, ty niy fandzol, bo z tego kasa jest.

CHACHOR:

Jako kasa?

CHOP:

No na wszystko. Godali ło tym nawet w TVP Info. Terozki bydziesz miół autobany wszyndzie i te, no... (*próbuję se spomniyc*) ... szynobusy i w ogóle to my bydymy jak w Aachen. Jak te bogate Nymce.

BABA:

Tyś jest Aachen – dupa bydzie, ino zaś sie na godce skończy. Jak żeś starym cugiem do Bytunia jechoł, tak bydziesz jechoł.

*Dzwonek do drzwi. CHACHOR zaś chyto za komórka. CHOP wstaje i podłazi, coby łotworzyć. Za drzwiami stoi chop w ancugu, koszuli, z jakimis papiyrami i tabletem.*

ANKIETER:

Dziyń dobry. Jo jest z agencji.

BABA (*chichro sie*):

No toś tera poszaloł – chopa se z agencji zamawiosz!? Tyś już je chyba cołkiem europejski łot tej metropolii.

CHOP:

No niy szczymia! (do ANKIETERA) My nic z agencji niy zamowiali.

ANKIETER:

Poleku. Jo zech niy jest tu towarzysko, ino z agencji pijarowej. Metropolia nas sam poprosiła, coby krótko ankietę zrobić na temat nowych projektów. Tukej zoboczcie – mom identyfikator, tukej mocie mój dowód (pokazuje dokumenty).

CHOP (*rod*):

Toś się synek trefił! My sam o tym godali, coby se coś dobrego uwarzyć z tej okazji, skoro my som tera tacy epni w tej metropolii. Jo bych chcioł przegrzebki.

ANKIETER:

Przegrzebki?

CHOP (*podynierwowany*):

Jeronie! Ja, prze-grzeb-ki. Takie muszle, ino z miynsym.

ANKIETER:

Jo wiem, co to jest, bo to wczoraj Gessler warzyła w telewizji.

CHOP:

No toć! Tuż wlyż, ale my bydymy zarozki łobiod jeść, to niy mamy wiela czasu.

ANKIETER:

*Włazi i siado przy stole. Odsuwo jeden talyrz i rozkłado papiyry.*

ANKIETER:

Mom ino trzy pytania.

BABA:

A po co my mamy coś ło tyj metropolii godać? Potem nas na komisje bydom... Że niby my chcieli być jak ta Katalonia. Aresztujom tego, no, marszałka, abo prezidenta Katowic i tęła bydzie. Jo tam wola być łostrožno.



ANKIETER:

To jest anonimowe – niy bydymy waszych nazwisk wpisywać. Nojwyżej wos byda prosić, żeby metropolię polajkować na fejsbuku i tłiterze, bo to terozki nojważnij-sze, coby w sieci być aktywnym.

BABA:

Jo bych wolała, żebyście polajkowali te bany abo cugi, coby łone jeździły niy roz na dzień. I coby do Tarnowskich Gór blank gładko dojechać, a niy jakieś ŚKUP-y i inne farmazony wymyślocie. A ino wszystko zawiyrocie – gruby, banhofy, bana z Chorzowa do Siymianowic już niy jyździ. Na fejsbuku to wy mi ceny jajec abo masła niy łobniźycie.

CHOP (*znicyerpliwiony*):

Jeronie, poczekej, tuż chop pewnie coś w tyj sprawie powiy. (do ANKIETERA)  
A co to za pytania som?

ANKIETER:

Po kolei. Nojpierw musza wos zapytać, czy byście poradzili wzionć udział w programie „Gorol plus” abo „Hanys plus”?

BABA:

„Gorol plus”!?

ANKIETER:

Ja. (*po cichu*) Tak mindzy nami – autobany pod dom to wam zarozki metropolia niy wybuduje. Z drugiej strony coś muszynie działać, coby we Warszawie niy godali, że te Hanysy zaś sie rządzić niy umieją. Majom metropolia, ale nic niy robiom. No i wynokwioli, coby wybrać przynajmniyj 10 rodzin Hanysów i 10 z Zogłymbia. Kożdo z nich na pół roku dowo synka abo frelka, coby się wymienić. Jedyn bydzie miyszkoł na Ślonsku, a drugi w Zogłymbiu. Ciekawe, pra? Unia na to piniondze dowo – tako łączność między regionami. Późnij sie z tego filmik na jutubie zrobi, a wto wiy, może bydzie z tego i film dokumentalny na Netflixie. Nawet już tytuł momy – „Nosze Hanysy, nosi Gorole”. Zależy łod budźytu.

BABA (*zaczyno sie nerwować*):

Wyście chyba na dekiel upadli! Jako łączność? Synka mom do jakijjś gorolskiej rodziny dować? Nigdy w źyciu!

CHACHOR (*zgryźliwie*):

Taki Konrad Wallenrod.

BABA:

Wto?

CHACHOR:

Rycerz z Krzyżoków.

BABA (*nerwowo*):

Niy mo godki! Żodne Krzyżoki, żodyn Sosnowiec, żodyn „Gorol plus”! My som Hanysy i my tukej siedzieć bydymy i wara łod nos koźdymu. Niech se myślom, że my som jakieś staromodne. I richtig! Niech se tych uchodźców przyjmom, jak se chcom piniondze z Unii wzionć.

ANKIETER:

No na to niy bydzie zgody tych w Warszawie.

BABA (*fest nerwowo*):

A gówno mie obchodzi ich zgoda! Niy bydymy nikaj jechać choby za żodne euro. A już na pewno ani tego mamlasa, ani chopa niy byda nikaj do żodnych łobcych

bab wysłać! Niy bydzie nom żoden Gorol, abo jeszcze lepij – Warszawa – godać, co momy robić.

CHOP (*choby wcześniej niy słuchał*):

Zarozki, powoli. Poczekajcie. Jako to niy zrobią nam tyj autobany?

BABA (*krzyczy*):

Ty gupieloku zasrany! Synka ci do Altrajchu chcom wywiyźć, a ty ino ta autobana i te... no... te muszle pierońskie!

ANKIETER (*do CHOPA*):

No niy. Wiycie ile tako autobana sie robi? Z 10 lot, i to jak sie wszystko udo. Łod czego trza zacząć. A co my w tej Warszawie pokażymy za rok?

CHOP i BABA zyrkają na siebie.

ANKIETER (*blank zadowolony*):

Aaa... widzicie – niy ma lekko być w metropolii.

CHOP:

To co łoni godali, że bydom drogi, te... no... szynobusy, cugi i w ogóle bydzie jak w Niykach? W TVP Info ło tym było. Jo zech myśłoł, że w końcu nom tyn Śląsk przebudujom po tym, jak se pobrali stond, co chcieli.

ANKIETER:

Chopie, co tyś na gowa upod? – godajom, bo muszą godać. Zresztą zobaczymy – póki co wpisują, że niy chcecie wlyź w „Gorol plus”.

CHOP:

Czekaj. My tego jeszcze niy skończyli – co znaczy, że Unia dowo? Wielu?

ANKIETER:

Każdo rodzina, co się wymiyni, dostaje 500 euro na miesiąc.

*CHOP zyrko na CHACHORA.*

CHACHOR:

Łojciec, nawet tak na mnie niy zyrkaj. Jo nikaj niy ida, a już do Altrajchu to na pewno.

CHOP (*z uśmieszkiem*):

Fifty fifty przeca.

BABA:

Jo cie łostrzegom.

CHOP (*do ANKIETERA z uśmieszkiem*):

A to bydom koedukacyjne zamiany?

BABA (*zaś znerwowano*):

Jak ci pizna bez łeb, to sie zarozki sam w tym Sosnowcu znojdiesz w try miga! Idź ino lepiej te nudle wyłonczyć i odcydzić, bo sie rozgotują. Jo se tu z panem rozmowe dokończa.

CHOP wylazi do kuchni.

ANKIETER:

Szkoda. Wpisują, że „Gorol plus” was niy interesuje.

BABA:

Ja!

ANKIETER:

No to terazki musicie wybrać dyscyplina.

*CHOP cydzi nudle i krzyczy z kuchni.*

CHOP:

Jako dyscyplina!?

ANKIETER:

No do Turnieju Metropolii.

CHOP:

Ino futbol!!

BABA (*złośliwie do ANKIETERA*):

Ja, ale ino taki, co sie w laciach przed telewizorem łoglondo w starych fuzeklach i z piywe w rynku.

CHACHOR:

Mama, jo bych se już coś zjod.

BABA:

Czekej, bo widzisz, że sie teraz temat futbolu zaczął. To my już najwyżyj na kolacja ten rosół zjymy. Abo sie jutro pomidorówka zrobi.

*CHOP włazi z powrotem do izby.*

CHOP (*terozki on znerwowany*):

Jeronie, poczekojcie, bo bych sie chcioł dowiydzieć, co to za turniej jest!

ANKIETER:

Każdo rodzina musi wystawić chopa, babe abo bajtla w turnieju, co bydymy mieli jakoś w czyrwcu. Niy znom jeszcze daty. Futbolu ni bydzie, bo to towarzyskie zabawy majom być, jak na dównych podwórkach. Żeby my sie wszyscy dobrze czuli. Wiycie, terozki takie łodskulowe zabawy wracajom.

BABA:

Po jakiemu musi? My sie na żodyn turniej niy wybiyromy.

ANKIETER:

Bydzie jeszcze ło tym zarzondzynie w każdym mieście. Na zachynta to wom powiy, że jak wto wygro, to może tysiaka zgarnonć. Tysionc złotych – mało? Bydzie epna impreza na Trzech Stawach i tam z każdego miasta metropolii bydom drużyny. Fajerwerki, lasyry, wata cukrowo, wuszty. Tak choby festyn.

BABA (*pokazuje na CHOPA*):

Łon to nawet do parku Kościuszki na spacer niy chce wyłyż, a co dopiero na jakies zawody. Możecie se zarzondzynie wydować, a my co najwyżej to do Oszołoma po zakupy pojady, a niy na żodne zawody sportowe. I drugi taki rośnie (*zyrko na CHACHORA*) – lyn śmierdzący. Nawet za babami mu sie lotać niy chce. Jo już sie kiedyś zastanowiała, czy łon też taki europejski i tęczowy niy jest. Ale żech łostatnio widziała, jak z jakąś frelką do galerii lożł, to chyba sie kiedyś wnuków doczekom.

CHACHOR:

Mama, dej spokój. Mie tam niy żodne frelki w gowie. Terozki sie kariyra robi, a nie żyni.

CHOP:

A jakie som dyscypliny w tym turnieju?

ANKIETER:

Lotanie w workach, lotanie z jajkiem na łyżeczce i maraton.

CHOP:

Ło, toście pieroński roszczał wymyślili.

BABA:

Jo na żodyn turniej niy jada.

CHOP:

Najwyżyj w tych workach.

ANKIETER:

No ja. Ino już do worków i jajek mom dwiesta ludzi. Może byście w maraton wylżyli?

CHOP:

Tyś je chyba pofyrwany. Jo zech ostatni raz lotoł, jak zech na zolyty łąził. Nie byda nikaj sie męczył, coby hercklekotów dostać.

BABA (*znerwowana*):

Ty żeś lotoł na zolyty!? Do kogo!?

CHOP:

Dej pozór, bo pan tu z nami miło godo, a ty zaś luft psujesz tymi fochami.

BABA (*cołkiym znerwowana*):

Niy, no czekej. Kiedyś to lotoł na te zolyty!? Jak zech do ciebie godzina banom ze Świnytochowic jechała, boś sie łożar i ci sie nawet niy chciało do mie przyjechać? Noo, chyba że niy o mie chodzi. Aaa, to ja! Jo pamiyntom, jak żeś za tą Cila z klasy lotoł. Jaaa, to był richtig maraton. Jak kot za szczurym. Za szczurym! Bo jak to czupiradło inaczej nazwać. Ino wto ci później guziki w galotach przyszywoł!? Wto ci zupa pod pysk podstawioł!? I do dzisiaj tak jest!

CHOP (*ciśnie*):

Dej pozór.

BABA (*nadał znerwowana do ANKIETERA*):

Niech pan powiy – co raz sie przykuloł, to durś ten guzik w galotach mu wylatywoł. Takie to panisko europejskie jest!! Terozki bydzie rozprawioł, jak to na zolyty lotoł. A ty wiesz, co ta Cila terozki robi?

CHOP:

Niy.

BABA (*ze złośliwą satysfakcją*):

Nic! Cila nic niy robi!! Wzienia se jednego zymboka z Rudy Śląskiej i ino lygo i wonio. I pewnie te... no... przegrzebki to łona mo co dzień podane. A jo co?

CHOP (*chce już skończyć tymat*):

Jeronie, chopie, wpisz nas w tyn maraton, bo tu zara nudelkula pójdzie w ruch.

ANKIETER (*rod*):

No i piyknie, to już trzy osoby mom na maraton. A wto łod vos polecisz?

CHOP:

No jak to wto? Chachor.

*CHACHOR w końcu łodkłado komórka na stół.*

CHACHOR:

No chyba vos pofyrtało. Jo na żodne sporty sie niy pisza. Nawet zupy se pojeść niy moga, a tu mom lotać jakieś kilometry.

BABA (*krzyczy terozki na CHACHORA*):

Pierona, kolejny śmierdzirobotka rośnie! Pisz pan, że Chachor bydzie lecioł w maratonie i tela. A jak niy, to mu zaraz te smartfony i jutuby wyłoczmy. Sie nauczy synek, że niy ma nic za darmo! Guzik w galotach mosz? To już lepij leć dookoła kamienicy i trenuj.

CHACHOR:

Niy byda tu nic trenowoł. Niech łojciec idzie i loto, skoro taki europejski. Jo go chyntnie polajkuja.

BABA:

Pierona kandego! Jeden wort drugiyo. Jeden ino ten fusbal, a tyn zaś te internety w kółko. Pewnie to porno cołki czas łoglondo, bo co tam szuko innego... Ino ta polityka i gołe baby. Jo ci zarozki polajkują tyn gupi łeb!

CHOP:

Dobra, chopie, bo widzisz, że tu chyba niyktórzy trochę głodni som. Kończymy ta ankieta i fajno.

BABA:

Poczekej, poczekej gupieloku. A pan (*do ANKIETERA*) żeś godoł, że to anonimowa ankieta jest. To po jakiemu my som przypisani do jakiegoś maratonu?

ANKIETER:

Jo ino liczbowo to wpisują. Statystyka bydymy robić, ile osób sie zgłosiło. Jak bydzie mało chyntnych na maraton, to sie nojwyżej zmieni dyscyplina.

CHOP:

Na jako?

ANKIETER:

Jeszcze nie wiyem, ale pywnie sonde na fejsbuku zrobią i ekspertów na LinkedIn za-pytajom. Taki dizajn thinking, ino w wydaniu iwentowym.

BABA:

A co to za godanie jest. Iwentowym... Tyś, chopie, już zapomniół, jak sie normalnie godo. Pierona, a zymły jeszcze poradzisz kupić w piykarni, czy ino w tych sklepach internetowych abo w food trakach i makdonaldach? Rosół wiyisz jak sie gotuje?

ANKIETER:

Wiyem. Sie kurzika dowo, zielina, korzynie trocha i sie fest dugo warzy i te barziny wyciepuje.

BABA:

Mosz szczyńście, boch już myślała, żeś jest jaki lyn, jak ten mój mamlas, co sie nawet łobiodu niy umie zrobić.

CHACHOR:

Mama, dej już spokój, bo cie zarozki nagrom i puszcza w internecie. Bydziesz miała pewnie tysionc łogładniync w godzina.

*BABA biere CHACHOROWI telefon.*

BABA:

Szlus! Niy bydymy wiyńźniami tych telefonów. Ino jedzynie i telefon! Łod dzisiej se som bydziesz za ten internet płacić. Ni ma! Jak ci zarozki zatłitują bez pysk, to ci nikaj nikt tego niy zalajkuje, a jak se potem na insta gymba wciepniesz, to bydziesz musioł konto z tintera wykasować, bo ci żodna frelka pozytywnego komyntarza niy do. A jak ino spróbujesz coś zy mną wciepnąć do internetu, to cie tak shejtują, że ci nawet kamraty z łotsapa niy pomogom!

*CHACHOR łostoł byz słowa.*

BABA:

Aaa, zatkało kakao! A coś ty myśloł, że jo ino te „Kuchynne rewolucje” łoglondom!? To ty godosz jak te warszawioki, co nos za takich gupich do roboty ino majom.

CHOP:

Dobra, kończymy to już, bo zarozki na TVN-ie bydzie powtórka tej Gesslerowej z przegrzankami. I jo by se chcioł łoboczyć, jak łona je robi. Łostatni temat nam zostoł, ja?

ANKIETER:

Ja. O kolorach fany musicie coś pedzieć.

CHOP:

Jakij fany?

ANKIETER:

No, metropolia musi mieć barwy, niy?

CHOP:

Przeca to niy jest klub fusbalowy.

ANKIETER:

Ja, ale my sie musimy czymś wyróżnić. Momy już polsko fana, śląsko fana, ale metropolia to przycież tyż Zogłymbie.

BABA:

Pieronie, to jo se chyba w łeb szczyla! Wy sie w tej metropolii zajmujecie takimi du-perelami!? Se jeszcze stroje ludowe wymyślcie i festiwal muzyczny w Bielszowicach. Jo chyba zarozki jutro puda do kierownika tej metropolii i mu nazdom, co łoni wymyślajom. Skond tyn kierownik jest?

ANKIETER:

No tak w sumie, to ze Sosnowca.

BABA:

Jo zech wiedziała!

ANKIETER:

No ale przeca jest też cołki zarzond z Katowic, Piekar, Gliwic i innych.

BABA:

I tela ino wymyślili? Żeby filmy o przyjaźni hanysko-gorolskiej robić? A baba tam jako w tym zarzondzie jest?

ANKIETER:

Dwie. Ale som w mniejszości.

BABA:

No to też zech łod razu wiedziała. Zaś te chopy ino o tym fusbalu i jakichś maratonach fandzolom. Jo sie do tych bab musza wybrać, to zarozki ich postawimy do pionu. Sie za robota zabiorom, a niy żodne fany czy hymny.

ANKIETER:

Niech sie pani wszczymie, bo z tom wizytom to może być kłopot.

BABA:

Po jakiemu?

ANKIETER:

Bo metropolia jeszcze czeko na siedziba.

BABA:

Ty mie chyba za bozna robisz! To łoni jak lotne uniwersytety som, a chcom turniye organizować. Porzondnym ludziom gowe zawracać. (*do CHOPA*) Ty ześ słyszol?

CHOP:

Jeronie, przeca łoni dopiro zaczynli robota. Dej im chwila, żeby sie rozkryncili. Kończymy już ta dyskusja, bo nikaj łona nie prowadzi. Dejcie ino znać co do tego maratonu – czy momy lotać, czy niy i szlus. A kolory wpisz ślonskie – niy bydymy sie na żodne inne łogładoć. Niebieski i żółty mo być i tela.

CHACHOR:

Richtig! Bo te nudle już cołkiym ochłódły.

ANKIETER:

Jeszcze metryczka.

BABA:

Jako metryczka?

ANKIETER:

No jako macie płeć, wiała macie lot, stan cywilny i takie tam. Ino jednego członka łódzki wos potrzybują, coby go wpisać. Panią mogą wpisać, ja?

BABA (*zyrko w kierunku CHOPA*):

Niyy. No lepiej to może naszego nojwinkszygo członka – Europejczyka z familoka.

CHOP:

Co zaś mie...

BABA:

A niy rób sie za bozna, boś już dzisiej tela nawywijoł, że jo chyba z farorzem byda musiała pogadać, coby ci problymów w suchatelnicy niy robił. Bajtla chcioł sprzedać. (*do ANKIETERA*) Słyszeliście to, niy? I jeszcze bezczelnie o lotaniu na zolyty bydzie fandzolił.

CHOP (*zniycyrpliwiony*):

Wpisz pan mie, bo inaczej my tej ankiety niy skończymy. Piyndziesiont lot, urodzony w Katowicach, żonaty (*złośliwie*) – co widać, jeden bajtel.

ANKIETER:

No i fertig! Ciesza sie, że my już do końca doszli. A co do „Gorol plus” – jo bych tego tak niy łodrzucół, bo jo akurat chca z tego skorzystać!

CHOP:

Z „Gorol plus”?

ANKIETER:

Ja. Już żech słyszół, że tako blank fajna rodzina z Dąbrowy Górniczej chce sie zy mną wymienić za swoja frelka. Blisko byda mioł na Pogoria. Opieka zdrowotno majom wykupiono w prywatnym centrum. I jeszcze to pińset. Jakoś to bydzie.

BABA:

A co to senatorium jest? Wyście wszystkie powariowali.

ANKIETER:

Niy powariowali, ino może tak bydzie lepiej. My sam sie powinni razym trzymać jako Hanysy – to je prowda. Ale tyż niy tracić lokazji, jak coś możymy skorzystać. U mie tak samo starzyki wynokwioli, coby nikaj za Brynica niy jechać. Ale jo sie niy byda sztyjc na każdego łobrażać, co za Brynicom mieszka. Mogymy mieć tradycja, ale tyż ją trza umieć sprzedać. Potem wszyndzie myślą, że tukej ino hajery na grubie robiom i nic łoprócz tego niy ma. Bo my trocha takie zamkniynci som. Sama pani godała o tym, jak na nos niby warszawioki patrzom – czasami choby na tych uchodźców z Czornego Łądu.

BABA:

Łoni sie Hanysów bojom! I niech se myślom, że tu ino gruby som, byle nos w spokoju łostowili. Ci z Altrajchu tyż.

ANKIETER:

Terozki som inne czasy. Dzisiej trza ciś. Trza być przebojowym i sie promować. Jak żech usłyszół, że rajtuzy ze Spodkiem robi dzisiej łódzka firma, to żech pomysłół, że wtoś nas tu ciula. Przeca my niy som ino te Berciki, co wice rozprawiają, pra? Rajtuzy ze Spodkiem by my poradzili zrobić, czy niy?

*BABA i CHOP kiwają niypewnie głowami, zyrkając na siebie.*

ANKIETER:

Dziesiyńć Hanysów z programu „Hanys plus” mogom być jak koń trojański. Poradzimy podbić Zogłymbie i dalej. W końcu niy bydziemy sie musieli prosić o swoje, ino se je wyźniymy. Przemyście se to.

CHACHOR:

Genau! Ja bych mógł tyż iść do takiej rodziny. Nawet gorolskiej. Już zamiast tygo maratonu.

BABA:

Jeronie! Jak jeszcze roz dziś coś wspomnisz gupiego, to ci naprowda do dupy nako-pia. Ty se na wakacje pojedziesz, a my tu bydymy warzyć, sprzątać i jakieś obce ludzie mi w chałpie bydom siedzieć. Niy i koniec! Moje starziki by sie w grobie przekopyrtli, jakby te herezje usłyszynli. Póki jo żyja niy bydzie żodnego rajzowania do Altrajchu. Niy i szlus!

ANKIETER (*zrzyzgnowany*):

No to jo już widza mom wszystko. Dziękują wom, życza smacznego i do widzynie. (*do CHACHORA*) A ty, Chachor, sam widzisz, że ciyńzko bydzie.

*BABA i CHOP blank zdziwiyni.*

BABA:

Zarozki – ło co tu chodzi? Z czym bydzie ciyńzko?

CHACHOR:

Bo, mama, jo ci chcioł pedzieć, że ta frelka, coś mnie z nią widziała przy galerii, to z Byndzina jest. I jo sie boł ci o tym pedzieć. Tako ankieta my z moim kamratem wymyślili, coby wos trocha oswoić z tą myślą. No i my chcieli ta moja frelka do wos na kilka dni wciepnąć jako „Gorol plus”. Jo wiyim, że my wos za bozna zrobili i niy bydźcie źli na mie. Ale jo zech myśloł, że tak bydzie lepiyj, bo to trocha tako historia jak z metropolią. Rygionalne love story – blank trudne początki, ale może jak se to porachujecie i przemyślicie, to sie dogodomy, pra?



# ŁYSEK Z POKŁADU IDY KONTRA ÔSZKLIWE ZOMBIOKI

*ekologiczno ballada, kōncek science, wiyncyj fiction*

**Marcin Melon**

GRAJŌM:

KARLIK, KAROLINKA archetypiczno pora ślōnskich zolytnikōw  
STARZYK kery wszystko wiy, ino tedy ōwdy cosik mu sie  
pokićko we gowie  
ŁYSEK Z POKŁADU IDY vel Zombie-killer

*Ślōnsk, rok 2095. Kajś, kaj piyrwyj była gruba. Cosik wele sto lot po katastrofie, na kero godajōm „Srogi Maras We Lufcie”.*

*BINA PIYRSZO*

*Je ciyma. STARZYK siedzōm na zeslu, majōm zawarte ślypie. Wele zesla kofer. KARLIK włazi na bina.*

KARLIK:

Starzyku, sōm żeście kajś tukej? Oupa? Bo chca sie siednōnc, ino psinco widza. Starzyku, eli siedzicie na zeslu, to godejcie cosik. Niy chca wom zaś zicnōnc na klin. Oupa! Jo siadōm!

*Po ciymoku poradził znojś zesel, pomacoł i siado, prawie STARZYKOWI na klin.*

STARZYK:

Jerōna, czyś ty ōgupiol? Niy widzisz, co jo tukej siedza?!

KARLIK:

Przeca sztyry razy żech sie wos pytoł, kaj żeście sōm. Niy umicie normalnie ōdpowiedzieć, jak sie wos pytajōm?

STARZYK:

No i po jakiymu sie tak ciepiesz choby sagi w pokrziwach? Dyc żech ino na chwila usnoł, toch cie niy slyszoł.

KARLIK:

Wyście sōm richtiś guchy, tela wom powiyem...

STARZYK:

A tyś je ślepy!

KARLIK:

Dyc dobrze wiyecie, co bezma koždy z nos je ślepy terozki, kej tela lot juź siedzimy tukej durś po ciymoku!

KAROLINKA (*włazi na bina*):

Karliku! Jeżes sam? Starzyku? Kogoś żech slyszala godać. Starzyku, siedzicie na zeslu? Bo jak siedzicie, to godejcie. A jak niy, to jo sie siedna.

KARLIK:

Niy siadej, starzyk siedzōm na zeslu. (do STARZYKA) A terazki po jakiemu psinco godocie, kej Karolina sie wos pyto? Dyc juź niy nynocie. Jakbych niy pedzioł Karolinie, toby tyż na wos wlazła.

STARZYK:

No, richtiś, ôd takij pierōnowyj utropy żeś mie wyretowol! Ciś ty, mamlasie, zowdy sie musisz wyruchlić...

KAROLINKA:

Starzyku, jak wy siedzicie na zeslu, to jo sie siedna na ryczce. Moga, ja? Karlik, po jakiemu ciebie dzisiej niy było we szkole?

KARLIK (znerwowany):

A fto pedzioł profesorce, co mie niy ma? Pierōńskie konfidynty!

KAROLINKA:

Niy luj sie żurym! Dyc my sōm juź na trzecim roku. Profesorka poradzōm i po ciymoku zmiarkować, fto prziszol, a fto niy. Jak ciebie niy ma, to zowdy je mynij larma.

KARLIK:

Te, a ô czym była godka dzisiej?

KAROLINKA:

Profesorka ôsprowiali nom ô historii Ślonska, ô tym Srogim Marasie i ô tym, po jakiemu sto lot tymu musieli my wszyscy słyż tukej na doł, coby żyć po ciymoku.

KARLIK:

Kery to juź roz? Durś ô tym koždy godo, a psinco z tego mōmy. I tak ôstanymy tukej na dole...

STARZYK:

Jo sie jeszcze poradza spōmnieć, jak to było za bajtla, kej my żyli na wyrchu. Pamiyntōm słońce i normalny luft, kerym my piyrwyj dychali...

KARLIK:

Co wy fandzolicie?! Dyc wy tego ani niy śmiycie pamiyntać! Musielibyście być ze sto lot stary!

STARZYK:

A skōnd ty wiysz, wiela jo mōm lot? Można jo sōm pamiyntōm, a można pamiyntōm, co mie mōj starzyk godali. Jak chciecie, to jo wom moga tyż poōsprowiać.

KARLIK:

Oupa, niy gorszcie sie, nale wyście niy sōm nojbardziej wiarygodne źrōdło wiedzy historycznyj.

STARZYK:

Dyc niy byda ci, synek, godoł żodnych berōw ani bojkōw. Jo pamiyntōm, jak to sie napoczło wszysko. Nojprzōd był tyn smog...

KARLIK:

Ja, ja, smok, aha... Terazki bydziecie fandzolic ô drachach. I wy padocie, co niy bydziecie ôsprowiać bojek...

STARZYK:

Synek, godōm ci prawda, jak było. Napoczło sie ôd tego smoga. Skuli tego, co ludzie chcieli być chytre i koždy hajcowoł u siebie we piecu hasiami, bele ino trocha uszporować na wōnglu. Wtynczos napoczła sie epoka Srogigo Marasu. Ludzie co-roz to ciynżyj miyli dychać, luft szkroboł cie we chyrtioniu, z ôczōw płaczki ci leciały. Psinco żeś widzioł. Niyftorzy mieli nadzieja, co polityki im pomogōm...

KAROLINKA:

No i co? Pomogli?

STARZYK (*chichro sie ze sarkazmym*):

Ja! Na nich zowdy szło sie spuścić! Pedzieli, co momy utropa. TE-O-RE-TY-CZNO!  
Zaczmy sie pomiarkowali, przyszło ku srogij katastrofie. Ludzie boli sie wylązić z doma skuli Marasu we lufcie. Yntliś zaczi sie kajś tracić. Wtynczos pokapowali my sie, co wroz ze Marasym przyszły sam na Ślōnsk... zombioki!

KAROLINKA:

Jezderkusie, jo sie boja zombioków!

STARZYK:

Koždy sie ich bo! Jak żeś ino wylazła z doma, to żeś ani niy poradziła pedzieć, fto na ciebie cichtuje za winklym. Nojprzōd napoczły sie ludziom tracić tasze i inksze rzeczy, kere ôstowali bele kaj. Nale wtynczos zaczi sie tracić tyż ludzie. Taki zombiok cie chcił i już cie żodyn wiyncyj niy widziol. A te zombioki to łąziły tak, o, dejcie pozor... (*STARZYK łązi naôbkoło biny z wystoparczonymi rynkami, choby zombie*)

KARLIK:

Oupa, niy wysilejcie sie, i tak wos żodyn niy widzi. Pamiyntocie, co sto lot tymu śleżli my na gruba i terozki żyjemy tukej po ciymoku? Bezma koždy z nos już do-wno je ślepy.

KAROLINKA:

Nale, tak po prowadzie, to po jakimu my sam siedzemy po ciymoku? Dyc szło by trocha poświycić sztrômym, pra?

STARZYK:

A na pierōn? Co je tukej do ôglōndanio? Te pora chodnikōw i te pora izbōw? Dyc koždy je zno na pamiync.

KARLIK:

Te, Karolina, a kej ciebie zaczi ôroz tak zawodzac życie po ciymoku? Pamiyntosz, co po ciymoku tyż idzie robić fajne rzeczy? (*chichro sie frechownie*)

KAROLINKA:

Dej pokōj, niy bydź szwajn! Bo jak pōda weg, to sie już niy wrōca i terozki ani flaszka z winym ci niy pomoże!

STARZYK:

Lepij tukej siedzieć po ciymoku, jakby wos miol na wyrchu chycić Srogi Maras abo zombioki! Beztōż żodyn niy śmiy iś nazod na wyrch. Pamiyntōm, pora lot tymu bōł taki istny, godali mu Erwin. Padoł, co on pōdzie na wyrch, coby wejrzeć, eli tyn Maras i zombioki durś hań sōm. I co? Jak poszoł, tak już nazod niy prziszol. No to wiadomo, fto go zeżar, pra? A terozki sie niy gorszcie, jo ida do haźla, bo mie zaczi morzić ôd tyj godki ô zombiokach... (*STARZYK idzie weg*)

KARLIK:

Oupa! Haziel mocie po drugij stronie! Pierōnie, on zaś idzie do mojjj izby. Ja, w drugo strona, terozki dobrze idziecie! Jo rozumia, co sam je koždy ślepy, nale by yntliś spamiyntol, kaj je kero izba. No, Karolina, terozki sōm my same... Mogymy pozoly...

KAROLINKA:

Ja, ja, mogymy sie pouczyć. Jo ci powiym, co jeszcze było we szkole.

KARLIK:

Dej mi pokōj ze szkołom. Tyś je za gryfno, coby godać ô studiach.

KAROLINKA:

Skõnd wiysz, eli zech je gryfno, kej mie ani niy poradzisz do porzõndku zoboczyć?

KARLIK:

No, dyc poradza wymacać, pra?

KAROLINKA:

Karlik, bier te ryncel!

KARLIK:

Jerõnie, to skõnd jo mom wiedzieć, eli żeś je gryfno, eli niy? Te, Karolina? Jak chcesz, to mogomy pojechać na wyrch na chwila. Można my niy sõm jeszcze take blank ślepe i poradzymy cosik zoboczyć?

KAROLINKA:

Niy wygupiej sie! Dyc na wyrchu rõmplujõm te zombioki i napasztujõm ludzi! Niy słyszõł żeś twojigo starzyka godać õ tym Erwinie?

KARLIK:

Wiysz co, jo sie niy boja zombiokõw ani żodnego inkszego pierõnstwa. Jak chlastna bez ta gupio gymba, to ino roz!

KAROLINKA (*kuko ku niymu zdziwowano*):

Ty naprawdwy godosz? Richtiś byś mie wziõn na wyrch pokozać, jak tam je?

KARLIK:

Põdż, czego sie bydziesz boć? Ino na chwila. Niy bydymy nikaj łazić fõrt daleko, a jak ino zoboczymy zombiokõw, to zaroz gibko pitnymy nazod na gruba!

KAROLINKA:

Jezderkusie, jak Krista i Truda sie dowiedzõm, na co my sie õpowożyli...

KARLIK:

...to kõzdo ci bydzie zowiścić takigo szaca, jak jo! Dej, pokoza ci, tukej je tako staro szola, kero nos wyhanguje na wyrch. Nojprzõd jo ciebie wyhanguja, a wtynczos, jak bydziesz na wyrchu, to ty mie...

*KARLIK biere KAROLINKI za rynka, coby jõm zasmyczyć za kulisy. Słyzli ze biny, a za chwila wlyzli nazod õd drugij strony. Terozki już niy ma ciyma. Kõzde z nich tyż idzie choby zombie, z wystoparczonymi rynkami, bo klara świyci im prawie w õczy.*

KAROLINKA:

Jezderkusie, my sõm richtiś na wyrchu! Karlik, jo nic niy widza! To skuli tego marasu we lufcie, ja? Tego smoga, õ kerym godali twõj starzyk?

KARLIK:

Niy wiym, tyż mõm zawarte õczy. Nale żodyn luft mie we chyrtõniu niy szkrobie, a ciebie? Karolina? A można tyn Erwin miõł recht? Można tukej już niy ma tego Marasu?

KAROLINKA (*z zawartymi õczami ciśnie weg ku kulisõm*):

Padosz, co terozki, kej cõlko ludzkość wykłudzila sie na gruby, Srogi Maras poszoł kajś weg? Ty wiysz, co by to mogło znaczyć? Można my już niy muszmy siedzieć po ciymoku na dole? Można już mogomy przis nazod na wyrch? Wiysz, kõzdy z nos... (*złazi z biny*)

KARLIK:

Karolina? Karolina, kajś ty je? Karolina, przed chwilõm jeszczech cie słyszõł godać, a terozki żeś mi sie straciła! Karolina! Jerõnie! Zombioki wziynły Karoliny! (*õtwiyro pomalu õczy, niy widzi jij, wylynkany leci weg z biny*)

BINA DRUGO

*Nazod na grubie. Zaś je ciyma. STARZYK włazi na bina.*

STARZYK:

Kaj je tyn haziel pieroński? A, tukej. (*siado nazod na zeslu, odpino posek ôd galot*)

KARLIK (*wlataje wylynkany, godo gibko*):

Oupa! Sôm żeście tukej?!

STARZYK:

Ty ôchyntolu, po jakijemu ty mi włazisz sam do haźla bez klupanio? Stary chop już niy śmiy mieć ani trocha prywatności?!

KARLIK:

Co wy fulocie, dyc to je naszo izba, a niy haziel! Kaj wyście sôm? Siedzicie na waszym zeslu, ja? Suchejcie, jako utrop... (*wonio*) Oupa, eli wyście cosik sam niy napochali?

STARZYK:

Niy, niy, dobrze, synek, coś mi pedzioł, kaj jo je. W sama pora. Coroz ciynżyj mom sie ôstatnio pomiarkować po ciymoku co je kaj.

KARLIK:

Oupa, jo potrzebuja waszyj pomocy! Zombioki ukradli Karoliny!

STARZYK:

Kaj zombioki? Jake zombioki? Tukej? U nos? Sam na gruba słyźli? Karlik! Eli tyś jom wziõn na wiyrch...

KARLIK:

Ja, nale ôna sama chciała. Terozki to je egal, musicie mi pedzieć.... Oupa, a wy moście ôbleczone galoty?

STARZYK (*gibko ôblyko galoty*):

Ja, môm ôbleczone galoty. Godej, co z tøm twojøm libstøm!

KARLIK:

My ino na chwila poszli na wiyrch, coby zoboczyć, eli tyn Maras durś tam je! Wylżyli my ze szole i ôroz ôna mi sie kajś stra... Oupa, niy cygońcie mie! Jo wos słyśza dziepiyro terozki ôblykać galoty! Psinco wom powiy, jak niy bydziecie mieć galotów ôbleczonych!

STARZYK:

Dej pokõj mojim galotøm! Juzech je poôblykoł nazod. Godej mi terozki ô tych zombiokach!

KARLIK:

Co môm wom jeszcze wiyncyj pedzieć? Tukej je psinco do godanio, musimy jøm jakoś wyretować! Wyście sôm stare, na zicher wiyecie, co sie robi, kej kogoś zombioki weznøm!

STARZYK:

Poczkej, jo kajś sam môm tako fest staro i fest mõndro ksionżka, ino musza jøm znojsć.

KARLIK:

Ksionżka?! Na pierõn wom ksionżka? Dyc terozki żodyn niy czyto, bo po ciymoku sie niy do zouwizou. Co jo môm, wziõnć ta ksionżka i chlastnõnć niøm takigo zombioka bez pysk, kej ku mie przidzie?

STARZYK:

Ta ksionżka czytoł mój starzyk i õn mi pedzioł, ô czym ôna je. Poczkej, poczkej... (*sznupie we kofrze*) Ja, wierza, co to bydzie ta. Czekej, ino sie spõmna, jak to sie mia-

nuje. Aha, już pamiyntôm. Gustaw Morcinek: „Łysek z pokładu Idy”. Morcinek to bôł chop, kery to napisoł.

KARLIK:

Ja? I ô czym to je?

STARZYK:

To je ksiōnżka ô kōniu.

KARLIK:

Na pierōn nom ksiōnżka ô kōniu?! Jo potrzebuja cosik, kaj bydzie pisać, jak mōm znojs Karoliny! Fto wiy, eli te ôszkliwe zombioki już boroczki downo niy zeżarły?

STARZYK:

Posuchej. Mōj starzyk pedzieli mi, co tyn kōń mo tako epno moc. Jak ino ôn wej-  
rzy na takigo zombioka, to taki zombiok zaroz sie spoli. Choby takimi laserowymi  
promiyniami szczyłoł. Beztōż ôn mo durś klapki na ôczach, coby żodnego bez cu-  
fal niy spolił. Pamiyntôm starzyka pokozywać mi taki ôbrozek ôd tego kōnia z tymi  
klapkami na ôczach.

KARLIK:

A wy mi tukej nudli niy wiyszocie? Kōń, kery szczyło laserowymi promiyniami  
z ôczōw i poli zombioki? I tyn Morcinek ô tym pisoł tela lot do zadku? Dyc wtynczos  
ône jeszcze ani niy wydzieli, co to tak po prowadzie je tyn „zombiok”. Na zicher ta  
ksiōnżka niy ma ô czymś blank inkszym? Można wom sie pokićkało, co wom godali?

STARZYK (*znerwowany*):

Ciebie sie zdowo, żech jo to znokwił? To je wszystko prawda, sam mosz to ôpisane.  
Jakby my tukej niy musieli siedzieć po ciymoku, tobyś sie sōm poczytoł. I nawet  
ôbrozek ôd tego kōnia bych ci pokozoł! Jerōna, ôn pado, co jo żech to znokwił! By  
mi musiało richtiś piznōnc na dekel, cobych miôł znokwiać take gupoty!

KARLIK:

Niy gorscie sie. Poczkejcie, kaj je tyn pokład Idy? A, już wiy! Jak godocie, że hań  
je taki kōń, to jo już mōm plan! Musza is i zasmyczyć tego Łyska na wiyrch, coby  
sie prac ze zombiokami i znojs Karoliny. Chned byda nazod i zoboczycie, co wom  
tukej przismycza i ônego, i Karoliny tyż! (*leci weg*)

STARZYK:

Poszoł! Sztyry dni już bydzie, jak sie kajś smyko po grubie. Pierōn wiy, eli jeszcze  
kejs przidzie nazod. Dobry synek bôł z tego Karlika, chociaż trocha pitomy... Ciyń-  
ko miôł, nale czuja, co yntliś znojdzie to, czego szuko.

BINA TRZECIO

Łysek z pokładu Idy w zonenbrylach siedzi po ciymoku na ryczce i kurzy cygare-  
ta. *Włazi KARLIK.*

KARLIK:

Dobry! Szukōm pokładu Idy!

ŁYSEK:

Tukej je pokład Idy, a co?

KARLIK:

A wiyecie kaj znojda tego Glacoka?

ŁYSEK:

Glacoka?

KARLIK:

Ja, tego, co Morcinek ô nim ta ksiõnzka napisoł. Niy, poczkejcie, niy Glacoka, po-  
kićkało mi sie. Jak jymu to było... Aha, znocie Łyska?

ŁYSEK:

Fto wiy? Można to je jo?

KARLIK:

Wyście sôm Łysek z pokładu Idy?

ŁYSEK:

Možno ja, a można niy. A po jakiymu sie tak dziwujecie?

KARLIK:

Dyć przeca wyście niy sôm kõi.

ŁYSEK:

Možno zech je kõi, a można niy. Widzieliście kejs kõiãia?

KARLIK:

Kaj bych miõł widzieć? Dyć jo bez cõłke żywobycie siedza tukej po ciymoku na grubie.

ŁYSEK:

No to kejs zeście ani niy widzieli kõiãia, to po jakiymu padocie, zech jo niy je kõi?

KARLIK:

Dyć kõi niy poradzi godać, a wy do mie godocie.

ŁYSEK:

Ach, zou. To jakbych przestoł godać, tobych był kõi, ja?

KARLIK:

No, ja. To tak choby zy mnõm:

je zech Ślõnzok, beztõz, że godõm po ślõnsku. A wy chyba niy bydziecie kõi, ino  
tyż Ślõnzok. Tak mi sie zdowo. Nale jo wola, jak godocie, niż mielibyście niy godać.  
Rozchodzi sie ô to, cobyście mi pedzieli, kaj znojda moja libsta. To znaczy, jo niy  
szukõm libsty, jo już mõm, ino mi sie straciła. Łõńskigo tydnia wylyżli my na chwila  
na wyrch i wtynczos jakiś zombiok jõm wziõn i porwoł. Panie Łysek, sôm zeście  
tam? Jerõnie, coście ôroz tak ucichli? Po jakiymu psinco godocie? Aha, terazki niy  
bydziecie do mie nic godać, coby mi udowodnić, zeście sôm richtiõs kõi, ja? Dobrze.  
Jak zeście sôm richtiõs kõi, to rozumia, co bydzie wom egal, jak wom wleza na pukel.

ŁYSEK (*znerwowany*):

Dej pozór, cobych jo ci niy wloz na pukel, bo sie zynkniesz!

KARLIK:

A, godocie zaś do mie! Gut! No to godejcie mi, co jo mõm terazki zrobić. Mój sta-  
rzyk majõm ta ksiõnzka ô vos, w keryj pisze, co wyście sôm jedyny, kery sie niy lyn-  
ko tych zombiokõw... Skuli tego jo vos szukoł. Musicie iõs zy mnõm na wyrch, co-  
byście mi pomogli znojs moja libsta.

ŁYSEK:

Gryfno?

KARLIK:

Fto? Karolina? Ciynzko pedzieć, dyć tukej durõs ciyma.

ŁYSEK:

Padosz, coõs jõm wziõn na wyrch, toõs widzioł.

KARLIK:

Katać zech miõł co widzieć? Durõs my mieli õczy zawarte, skuli Srogigo Marasu.

ŁYSEK:  
Skönd wiysz, eli hań je Maras, kej żeś miōł zawarte ôczy? Dobra, pödź zy mnöm.  
Cosik ci pokoża. Bier sie, idymy na wyrch znojś twoja libsta.

KARLIK:  
A jak trefiemy jakichś zombiokōw, to ich spolicie, ja? To je prawda, co ô vos w tyj  
ksiönżce pisali?

ŁYSEK:  
A co pisali?

KARLIK:  
Že styknie, cobyście ino dźwigli te klapki, kere mocie na ôczach i wejrzeli na taki-  
go zombioka, coby go spolić?

ŁYSEK (*zdziwowany sebyko swoje zonybryle, kuko na nie*):  
Dobra, pödź na wyrch, sôm zoboczysz. Hań je tako staro szola, nojprzöd jo ciebie  
wyhanguja, a wtynczos ty mie...  
*ŁYSEK i KARLIK idöm weg z biny i za chwila włożöm  
nazod, nale terozki sôm już na wyrchu. Świyci klara.*

ŁYSEK:  
No i kaj mosz te zombioki?

KARLIK:  
Zombioki!?? Kaj? Jerōna, to musicie je spolić! Jo nic niy widza!

ŁYSEK:  
Psinco widzisz, bo mosz durś ôczy zawarte.

KARLIK:  
Ale nic mi niy bydzie, jak je ôtworza? A tyn Maras...? (*ôtwiyro ôczy*) Jerōnie... Jo  
widza. Jo normalnie widza, a wy? To bōła prawda, co godoł tyn Erwin! Niy ma już  
tukej Marasu?

ŁYSEK:  
A fto by miōł narobić tela tego Marasu, co? Dyc bezma każdy siedzi na grubie.

KARLIK:  
Jezderkusie... Słońce... Luft... Trowa... A te modre to bydzie woda, ja? I jo vos tyż  
widza, panie Łysek! I jo to wiedzio!!!! Wyście jednak niy sôm kōń!

KAROLINKA (*włazi na bina i idzie ku nim z wystoparczonymi rynkami choby zombie*):  
Karlik? Tyś to je? Karlik, mie sie zdowo, żech jo cie prawie słyszała godać...

KARLIK (*chowie sie za Łyska*):  
Jerōna! To je ôna! To bōła moja libsta! Terozki ôna je tyż zombie! Spolcie jöm, pa-  
nie Łysek! Gibko!

KAROLINKA:  
Co ty fandzolisz? Jo niy je żodne zombie! Karlik, kajś ty bōł tela czasu?!

KARLIK:  
Niy cygoń! Jo cie widza, łazisz choby zombioki! Tyś je zombie, a niy moja libsta!

KAROLINKA:  
Ciebie richtiś piere na dekel! Normalnie łaza, coby sie niy ôbalić. Dyc niy śmia ani  
ôczōw ôtworzyć skuli tego Marasu!

ŁYSEK:  
Przestöncie sie loć żurym! Mogecie ôba ôtworzyć ôczy! Niy ma żodnego Marasu.  
Downo już go niy ma. Maras robiöm ludzie. Kej każdy wykludził sie na dōł na gru-  
ba, niy ma tukej żodnego, coby marasił!



KARLIK:

Karolina, jo ci przedstowiom, tyn chop to je Łysek ze pokładu Idy. Mōj przewodnik! Starzyk mi ô nim godali. Taki jedyn chop, wiesz, taki Morcinek, to ô nim nawet ksiõnzka napiso! Pon Łysek majõm tako moc, co poradzõm ôczami spolić zombioka.

ŁYSEK:

Zombiokõw tyż niy ma i niy było. Jo przinojmnij ciyngiy jезджа na wyrch i żodnego zech niy trefi! (*sebylko zonynbryle*)

KARLIK (*wylynkany*):

Karolina, pitej, bo õn cie bez cufal spoli ôczami!

ŁYSEK:

Żodnego niy spola! To sõm normalne zonynbryle! Niy pola ôczami zombiokõw, bo ich niy ma! Poradzisz to spokopić? Srogigo Marasu tyż już niy ma! To je cy-gaństwo! Roztomajte wichlyrze wyszajõm wom nudle, a wy ich suchocie i siedzicie hań na dole po cymoku.

KARLIK:

To wyście durś wiedzieli i żodnymu żeście niy pedzieli? Jerõna... Jo sie czuja, choby mie cõłke życie ftoś za bozna robił. Tako pierõnowo konspiracjo...

ŁYSEK:

A po jakiymu bych miõł wom cosik godać? Zaś byście sie nazod skludzili na wyrch. Nastawialibyście chaupõw a piecõw, w kerych zaś byście, frechowne szpyndlikorze, hajcowali hasiy. Nakupowalibyście autõw, kerymi byście karusili do roboty, kej na kole byście gibcij zajechali. A za pora lot narobilibyście nazod we lufcie takigo samego marasu, jak piyrwyj! A terozki? Terozki tukej je dziepiyro gryfnie. Jo biera i jada roz w tygodniu na wyrch, coby sie trefić z mojim kamratym Erwinym, kery już downo tymu sie pokapowoł jako je prawda.

KAROLINKA:

Erwin... Tyn, ô kerym godali twõj starzyk. To jego jednak niy zeżarły zombioki...

ŁYSEK:

Jużech wom to tuplikowoł, niy wiyem czego niy poradzicie spokopić. Niy ma żodnych zombiokõw, a smog i maras straciły sie, kej ludzie wykludzili sie na gruby. To te gupki na dole znokwili cõłko ta teoryjo ô Marasie i zombiokach.

KARLIK:

Nale po jakiymu mieliby to znokwiać? Dyc każdy hań na grubie ciyngiy wajo, coby wołõł żyć tukej na wyrchu, kaj je słońce, trowa, woda, luft i kaj cosik przinojmnij widać... Koždy by chcioł, ino niy szło. Skuli tego Marasu i zombiokõw niy szło!

ŁYSEK:

Taki stary, a taki gupi... Jeszcześ sie niy pokapowoł, co niy każdy, kery wajo, chciołby tak naprowdy cosik zmiynić? Ludzie wołõm, coby wszystko õstało po starymu. Można im to i zawodzo, nale żodyn niy ma rod, kej trza cosik napoczõnõc õd nowa.

KAROLINKA (*zolytnie*):

Jezderkusie, panie Łysek, wyście sõm take mõndre... Choby jakiś filozof...

KARLIK (*po cichu do nij*):

Dej mu pokõj, dyc to niy ma ani normalny chop. Tak po prowdzie to je kõń! No, co sie tak dziwujesz? Dyc niy wiesz, jak taki kõń wyglõndo! Widziałaś kej kõnia?

KAROLINKA:

Nale õn godo normalnie po ludzku... Znaczy sie po ślõnsku godo...

KARLIK:

No i co z tego, że godo? Jakby przestoł, toby sie z niego zrobił kōń? Panie Łysek! A docie nom zwola, coby my pedzieli ô tyj waszyj epnyj tajmnicy mojemu starzykowi? Tyn borok cōłke żywobycie czeko, coby kejś yntliś zaś na wyrch pojechać.

ŁYSEK:

Toć, godejcie komu ino chcecie. I tak wiym, co ôstaniecie tam, kaj żeście sōm.

KARLIK:

Co wy godocie! Terozki, kej już wiymy, co idzie żyć inakszyj, na zicher sie przekludzimy na wyrch! Fto by niy chcioł?

*KARLIK i KAROLINKA cislōm weg z biny, ŁYSEK godo  
terozki do kogoś na widowni, kerego niy widać:*

Te, Erwin! Tyś widzioł tego mamlasa, z kerym żech prawie godoł? To już bydzie czwarty bez ôstatnie trzi tydzie. Mie to sie widzi, co terozki to coroz to bardziej pitome ludzie sie tukej hangujōm na wyrch. Ja, mosz recht! Ino bez cufal! Jo sie weta, co tego mamlasa już tukej tyż wiyncyj niy ôbejrzymy. Pociśnie nazod z tōm swojōm libstōm, do swojigo starzyka i przepōmni ô tym, co tukej widzioł. Można sie mu roz za kej cosik spōmni, nale to ino po pijoku. Sztyjc bydzie żył, jak piyrwyj i wajoł, co mu je źle po ciymoku na tyj grubie. E, szkoda godki, Erwin, tela ci powiym. Mosz, chopie, jake piwo? Pōdź, napijymy sie. Te, Erwin! A ô co sie rozchodzi z tōm ksiōnzkom, ô keryj godoł tyn karlus? Tyś styszoł ô takij ksiōnzce? Niy godej! Mosz to w doma?! I to je richtiś ô kōniu, kery poli zombiokōw ôczami? Musisz mi to ino pokozac! Co te pisorze znokwiali piyrwyj...

# UTOPEK Z MARTINSZACHTU

*Tyjater dlō bajtli i niy ino*

**Monika Kassner**

CZAS A PLAC:

*BINA I*

*Feryje. Drzewo na Piōšnikach*

*BINA II*

*Brif*

*BINA III*

*Stōw na Martinszachcie. Poczōntek XX storocza*

*BINA IV*

*Martinszacht. Gospoda u Karla Swientygo*

*BINA V*

*Plac przed gospodōm wele hasioka*

*BINA VI*

*Nazōd w dōma. Feryje. Drzewo na Piōšnikach*

PERZONY:

REGINA, ALICA, ZUZA, SZYMŌN, DANIEL, MAKSLIK

– bajtle z jednyj klasy, co lōtajōm cuzamyn po placu

ZEFLIK – utopek z Martinszachtu

FRIDA SWIENTY – cera ōd Karla Swientygo, co pōmōgō ōjcu i warzy we gospodzie

RUBI – tak po prōwdzie Rubert – szczur, co miyszko na hasioku wele gospody i dostōwo ōd Fridy same maszkety

*BINA I*

*Lato. Diosecki ukrop. Dziuouszki siedzōm na drzewie, jedzōm lody a fest jim sie cni.*

REGINA:

Nōjlepij lubia ze jabka. Mniam.

ZUZA:

A jō ze citrouny.

ALICA:

Co wy tam wiycie. Nōjlepsze sōm ze apluziny.

MAKSLIK (*pod drzewem*):

A ō mje żōdnō niy pamiyntō.

ZUZA:

Mōndrok sie znōd. Chciołbyś, kup sie.

ALICA:

Hasie wyniesiōne? Po ōbiedzie pōmyte?

MAKSLIK:

Yyyy...

REGINA:

Mōsz recht, Alica. My sie fest narobiły, bezto z żōdnym niy bydymy sie tajlować.

MAKSLIK:

Dobra już, dejcie pokōj. Niy wiycie, kaj je Szymōn abo Daniel? Niy umia jich znōjšć.

ALICA:  
A niy idzie do nich szkyrtnōnc?  
MAKSLIK:  
Idzie, ino żōdyn niy ōdbirō.  
SZYMŌN (*dolazi do drzewa*):  
Niy ōdbiyrō, niy ōdbiyrō, bo mobilniok ōstawiōł zech u Daniela.  
MAKSLIK:  
To ci je ōdpuszczōne. A Daniel kaj?  
SZYMŌN:  
Zaro mō być.  
REGINA:  
Ō wilku gōdka!  
MAKSLIK (*skokō na drzewo*):  
Co za wilk? Kaj wilk? Dziki ja, nale wilk? Po jakiymu tukej wilk?  
ALICA:  
Kej dziki łażōm po placu, choby z nami mieszkały, niy idzie pedzieć, co sie nōm tukej skludzōm.  
ZUZA:  
Kej idzie ftoś, ō kim sie gōdo, pado sie „ō wilku gōdka”. Co ty, chowie, robisz we szkole?  
*Makslík słazi na dōł.*  
REGINA:  
A co ty myślisz? Gōdo.  
SZYMŌN (*do Daniela*):  
Mōsz mōj mobilniok?  
DANIEL:  
Ja. Moja mama padała, co kejsik gowa stracisz. Trzimej.  
MAKSLIK:  
Pōćcie na lody. Dziouchy narobiły mi smaka. Jō stawiōm.  
SZYMŌN:  
Kej wielmożny pōn płaci, to idymy.

*BINA II*  
*Dziouchy same na drzewie.*

ALICA:  
Tyn ukrop mje wykōnczy, zaś mi sie chce pić.  
REGINA:  
Co tukej robić?  
ZUZA:  
Dejcie pokōj. Niy trza łazić do szkoły, cołki dziyń siedzimy na placu, a wy ino wajocie choby stare baby.  
ALICA:  
Jo bych chciała zaś przeżyć jakoś przygoda, kej ta z byrkami ksiynżnyj Daisy. Możno zaś ftoś z przeszłości bydzie potrzebōwoł naszyj pōmocy.  
REGINA:  
Ja... nale to sie nōm rōż trefiło i fertich.

ZUZA:  
Przestõńcie juŹ tyrtac. Ida na wierch. (*włazi na wierch drzewa i õd niechceniõ sznu-  
pie we dziupli*) Dejcie pozõr, co Źech znõdła!

REGINA:  
Co? Gõdej!

ZUZA:  
JakiŹ moky kõncek papiõru.

REGINA:  
Po jakiemu mokry? Przeca niy loło?

ALICA:  
To trza õbejrzc!

ZUZA:  
Źmierdzi choby dziobła roztrzas.

REGINA:  
Mõsz recht – ciaplyta i niyŹwiyŹy fisz.

ALICA:  
Zõwdy musicie wajać. Badnijcie ino tyn papiõr. Tukej coŹ stoi.

ALICA (*czytõ*):  
Retujcie rõztõmili! Utropa! Chyba gupieja! Jak tak dalij põdzie, byda sie musioł wy-  
kludzić! (*flek*) Niy strzimia tygo!  
Pomõdźcie!  
Zeflik  
PS. Coby sie do mje skludzić, musicie razym pedzieć: „Wiater wieje, dyszcz sipi, jõ  
mõm recht, a ty mõsz ipi”. Daty niy znõm, bo mje sie juŹ wszystko kićko.

ZUZA:  
Co to mõ richtich być?

REGINA:  
Nic inkszego kej brif. Ino fto to je Zeflik?

ALICA:  
Niy wywiemy sie, kej niy powiemy tygo, co õn tam naszkryfloł.

ZUZA:  
Doczkejcie na synkõw. Cuzamyn do kupy je lepij.

ALICA:  
Dobra, dobra, juŹ sie niy starej.

REGINA:  
Idõm!

DZIOUCHY (*cuzamyn*):  
Põćcie gibko!

MAKSLIK:  
Põli sie abo jak?

ALICA:  
Badnijcie, co my znõdły we dziupli.

SZYMõN:  
Kõncek papiõru. Smrodlawygo i maŹglatygo.

REGINA:

Śmierdzi, bo to je brif, co foś szrajbnył, kaj padze. Tam stoi, co ftoś potrzebuje naszymy pōmocy.

ALICA:

Ino muszyny pedzieć zaklyncie.

ZUZA:

No ja. Kej niy wypowiemy zaklyncia, niy bydymy wiedzieć.

ALICA:

No dobra. To fto narychtowany na szpas?

BAJTLE (*jedyn bez drugigo*):

Jō! Jō! Jō!

DANIEL:

Trza pedzieć hasło ze brifu, a niy „jō, jō, jō”.

SZYMŌN:

Zuza, rachuj!

ZUZA:

Rōz, dwa, trzi!

BAJTLE (*cuzamyn gōdajōm zaklyncie*):

„Wiater wieje, dyszcz sipi, jō mōm recht, a ty mōsz ipi”.

### BINA III

*Na pōły wyschniynty stōw. Wokōł żōdnych drzew, ino hołdy.*

MAKSLIK:

Co to mō być? Stoja po kolachy we wodzie.

DANIEL:

Badnijcie! Byfyj, stōł, stołki, łōżko i nachtiszel. Wszystko we wodzie.

REGINA:

A jako czystō ta woda.

ZUZA:

Ino tukej niy ma żōdnego fiszu ani rapitouzy, ani chrobōkōw.

ALICA (*z płaczkami we ōczach*):

Kaj my trefili?

ZEFLIK:

A do mje.

ZUZA (*skōko kej ōparzōnō*):

Aaaa! Co to je? Zielone, kostropate a żadne!

MAKSLIK:

To je ufok ze Marsa! Retuj sie fto może!

ALICA:

Dej pokōj, Makslik. Tyn mały podciep, ōbleczōny choby kasper o lo lo, nic ci niy zrobi. (*do Zeflika*) Mōsz ty aby zdrzadło w dōma?

ZEFLIK:

Dobry dziyń. Gōdajōm mi Zeflik i niy byda zważoł na wasze ōbraźliwe gōdki. Nōjchutnij bych wōs potopił, nale żeście mi sōm potrzebne, to potym wōs tōnkna.

MAKSLIK:

Co ōn to gōdo? Ty nōs tak ino robisz za bōzna, pra? Ōdlecisz za chwila do dōm tym swoim spodkiym i tyła bydymy cie widzieć?

ZEFLIK:

Ōn mō ptōka abo je richtich piźniōny plackiym?

REGINA:

Dejcie sie na strzymanie a przestōńcie fanzolić. To je przeca utopek.

ZEFLIK:

No yntlich mje ftoś poznoł. Jō je Zeflik – utopek z Martinszachtu i kłaniōm sie wōm nisko.

ZUZA:

Toś ty nōs tukej skludził?

ZEFLIK:

Jō. Boście gryfnie pōmogli Hugōnowi znojšć byrki ksiynżnyj Daisy, toch sie wyforsztelowoł, co mi tyż pōmogecie.

SZYMŌN:

A po jakiemu ty wiysz, co my Hugōnowi pōmogli?

ZEFLIK:

Toć wiym, boch przyplynoł wtynczōs na byzuch do Pszczyny do Paterplessa Stanika. Ōn mieszkō we tym stōwie, pojstrzodku kerego stoi dykmal ōd Lojzika, co mu mode grōfy batki z byrek przyrychtowały. Tak my sie lachali, co wszystkie fisze ci tły i ōwdy żech sie spomiarkowoł, co wy poradzicie mi pōmoc.

DANIEL:

My ci pōmogemy, a ty nōs w podziynkowaniu potopisz. Jō ida nazōd do dōm. Niy byda pōmōgoł zielonemu kasprowi, co sie ōblyko w czyrwōny ancug i hut, a gōdo choby wszystkie rozумы pozjōdoł.

ZEFLIK:

Ō co wōm idzie? Wabia nad stōw rozwieziōnych bajtli, nieuważne dziouszki abo ōżyrokōw, a potym jich topia. To je mōj fach.

DANIEL:

U nōs niy ma żōdnych utopkōw. To sōm same bery a bōjki, w kere żōdyn niy wierzy.

ZEFLIK:

Co ty to za fleki ciśniesz? Przeca mieszkōm tukej ōd stu lōt. Jeszcze gruby niy bōło, kej żech sie tukej skludził.

MAKSLIK:

Niy ma sie co gorszyć. Chcioleś pōmocy, to ci pōmogemy i fertich. A potym mōsz nōs wysłać nazōd do dōm.

ZEFLIK:

Toć że wōs wyśła nazōd. Ino jak?

ALICA:

Przeca wdycki tukej niy ōstanymy.

ZEFLIK:

Niy starejcie sie. Cosik wymyndykuja. A terōzki siednijcie sie wele stoła. Wykle-ruja wōm, po co żech wōs tukej skludził.

SZYMŌN:

Nale gōdej gibko, bo mje sie u ciebie niy widzi, jakoś mōsz tukej niyfajnie.

ZEFLIK:

A co ci sie u mje niy podobō? Wszystkie wyglancowane, szolki w byfyju pouklōdane, na stole czysty serwet, gorczki pōmyte...

ZUZA:

Ino po jakimu te wszystkie fajne szolki bez deklów stojom na opy? Dej, to ci je poskładomy.

*Dziouuszki ótwierajóm byfyj a napoczynajóm óbrócać szolki.*

ZEFLIK (*chytó sie za gowa*):

Jerona! Dioseckie najduchy! Co wy to robicie? Przeca tam trzimia duszyczki, kere zech potopił, a wy mi je chcecie puszczać wolno. Toć to mój cołki majóntek! (*wyrywó Alicy szolka z rynki, stawió nazód do byfyja i trzasko dźwierzami*)  
Jó wós tukej skludził, cobyście mi pómogali, a niy rymplowali.

ALICA:

Wybócz. My niy wiedzieli. Niy chcymy, cobys sie na nös gorszył.

ZEFLIK:

Już dobrze. To ino pora duszyczek. I tak móm jich nójwiyncyj we cołkij ókolicy.

SZYMÓN:

A na co ci óne? Niy ma ci gańba trzimać je choby we hereszcie?

ZEFLIK:

A po jakimu? Przeca same do mje przylazły. Czym utopek mó wyyncyj szolek ze duszyczkami, tym je srogszy bogócz.

DANIEL:

Tyla auflaufu ó pora szolek, a my sie dalij niy wywiedzieli, po co zės nös tukej skludził.

ZEFLIK:

Badnijcie, jak jó wyglóndóm. Cołki sie łuszczą. Śpia na zolu, bo łóžko wyłazi ze stówu i lynkóm sie, co rano sie rozleca. A fto to widziól, cobu ludziska óglóndali chaupa ód utopka. Przeca to je fest gańba. Ani sie seblec, ani do porzóndku wyta-  
plać. Yntlich óne sie mje przestanóm boć i richtich sie byda musiół wykludzić, a mje sie tukej fest fajnie mieszkó.

*Zeflik napoczynó ślimtać. Kóncek kichola, kery óstówo mu w ryn-  
ce, zawijó w taszyntuch i kryje do kapsy.*

MAKSLIK (*klupie utopka po plerach*):

Niy ślimtej, Zeflik, bo sie cołki rozlecisz. Myśla, co poradzymy cosik na ta twoja utropa. A wiysz móžno, po jakimu mósz ino tyła wody we stówie?

ZEFLIK:

Óna bezmaść kajś cito, ino za pieróna nie wiym kaj. Przeszólech cołki stów i żódnym  
dziury zech niy znód. Inaczij bych wós tukej niy skludził.

ALICA:

To trza znójsć ta diosecko dziura, ino niy trza przy temu tak brzidko gódać.

ZEFLIK (*zakrywó gymba rynkom*):

Ó pardón.

ZUZA:

Ja, Alica, mósz recht. Ino jak?

REGINA:

Najsamprzóde trza cosik poradzić, cobu nóm sie Zeflik na kóncki niy rozleciól.

SZYMÓN:

Wiym! Mósz ty Zeflik jaki kibel?

ZUZA:

A na co ci kibel? Bydziesz giry moczyl?



SZYMŌN:

Niy gŏdej tela, ino suchej. Coby Zeflik sie niy rozleciŏł, wraźymy go do kibla ze wodŏm. Bezto zŏwdy bydzie miŏł mokro, a my bydymy go mogli wszyndzie tachać.

ALICA:

Fajnie żeś to wyforsztelowoł.

ZEFLIK:

Fajnie, nale jŏ bych juź chciŏł, coby żŏdyn niy kukoł mi do dŏm. Chciŏłbych nazŏd mieszkać kej dŏwnij.

REGINA:

Niy starej sie. Pŏmogemy ci, ino musisz nŏm cosik ŏbiecać.

ZEFLIK:

Co bydziecie chcieli.

REGINA:

Wszystkie duszyczki, co żeś pozawieroł w byfyju, mosz puścić wolno.

ZEFLIK:

Czyś ty ŏgupiała? Ptŏka mŏsz abo jak? Przeca jŏ pŏda z tasiami!

REGINA:

Bych jeszcze zapŏmniała: i mŏsz nŏm ŏbiecać, co juź żŏdnego niy tŏnkniesz.

ZEFLIK:

Stanik niy gŏdoł, coście sŏm takie zachciewne.

REGINA:

Toć że niy gŏdoł, bo Hugo robioł, co my pedzieli, a niy wynokwioł choby staro baba. Őbiecujesz abo wracŏmy nazŏd do dŏm.

ZEFLIK:

Ino niy starŏ baba, ino niy starŏ baba. Niy cierpia starych babŏw... Przystŏwŏm na to. Mŏcie moje sŏwo, ino zrŏbcie coś, bo zarŏzki sie rozleca.

DANIEL:

Wlyź juź do tygo kibla, a przestŏn wajać.

MAKSLIK:

A jŏ juź wiy, jak idzie znŏjść ta dziura.

ZEFLIK:

Ja?

MAKSLIK:

Ty tukej ŏstŏn, a my idymy. Mŏcie mobilnioki?

BAJTLE (*cuzamyn do kupy*):

Mŏmy!

MAKSLIK:

To włŏnczcie taszlampy.

SZYMŌN:

No ja. Naleś to wyforsztelowoł, mŏsz łeb.

*Bajtŏle ŏwiecŏm taszlampami i sznupiŏm we wodzie wele kizlokŏw. Po pŏru kwilach.*

DANIEL:

Mŏm! Mŏm! Tukej!

*Bajtŏle lecŏm, a potym stŏjŏm nad dziurŏm.*

ALICA:

Ino po jakiemu prawie tukej cito ta woda?

MAKSLIK:

Niy wiym. Naciepcie kizlokōw, to możno jōm zasujemy.

*Bajtłe sujōm kizłoki.*

REGINA:

Niy chyci. Dziura, kej bōła, tak je. Jeżech ciekawō, co sam je na dole.

DANIEL:

Szymōn, pōc przyniesymy Zeflika, to nōm wszystko wyforszteluje.

*Chopcy niesōm kibel z utopkiym, a Zeflik polewo sie wodōm z gorczka.*

ALICA:

Ale się, Zeflik, dogadzōsz.

ZEFLIK:

Jakoś musza to strzimać. Już żech kichol nazōd przyklajstrowoł.

MAKSLIK:

Wiyemy już, kaj cito woda ze twojigo stōwu.

ZEFLIK:

Jō wiedzioł, co ino tak gupio wyglōndōcie. Ő pardōn. Przeca żeście sōm porzōndne bajtłe.

SZYMŌN:

Falosz, falosz, a gynsi ci pympek ōbgryzajōm. Gōdej ino, co sam je pod tym stōwem.

ZEFLIK (*drōpie sie po zielonyj gowie*):

Tukej je Martinszacht, to bezmaśc sam leci głōwno kluczowō sztolnia dziedzicznō.

ZUZA:

A co to mō być ta klucznō sztolnia dziwaczno?

ZEFLIK:

Żōdno klucznō, dziwaczno, ino głōwno kluczowō sztolnia dziedzicznō. To je takō podziemnō duchta, co niōm wōngiel wożōm ze Krōlewskij Huty aże do Zōbrza.

ALICA:

Skōnd? My niy znōmy takigo miana.

REGINA:

Dzisiej to je Chorzōw.

ZEFLIK:

Ja, Chorzōw to je tako wieś wele Krōlewskij Huty. Nale to do tyj pierōńskij – pardon – sztolni cito woda z mojigo stōwu? To trza cosik na to poradzić.

SZYMŌN:

Ino co?

DANIEL:

Jō niy wiym. Wiyemy ino, co żech jest fest głōdny i miele mi w basie.

MAKSLIK:

Mōsz recht. Pora na ōbiōd.

ZEFLIK:

Ja, ja. Pōćcie. Zapraszōm wōs do jednyj gospody, kaj mje powōżajōm i kaj dōwajōm dobre jōdło.

BINA IV

*Bajtłe z utopkiym w kiblu idōm do gospody Karla Swiynytygo, kaj robi jego cera Frida.  
We gospodzie.*

ZEFLIK:

Siednijcie sie za tym stołym. A wy, jak wōm tam, Makslik i Daniel (*wto wynokwio take miana?*), nieście mje sam na zadek do Fridy.

*Utopek z chopcami sie tracōm.*

REGINA (*rozglōndō sie po gospodzie*):

Nale tukej fajnie a czysto. Wszystko wyglancowane aże sie świeci.

ALICA:

A te serwety, jake biołe.

ZUZA:

A forhangi, jake ukłodane. Gardiny naszpanowane i gryfne krōnlojchtry.

REGINA:

Czujecie, jak maszketnie woniō? Przeca to żur! Zarōzki zech sie głōdnō zrobiła.

SZYMŌN (*pokazuje muskle*):

Z żuru chop jak z muru!

ZUZA:

Ciekawoch, eli nōm aby dadzōm poprōbować.

*Utopek z chopcami idōm nazōd.*

ZEFLIK:

Zarōzki bydzie żur, a potym cosik do pomaszkeceniō.

*Dziouszki jak na zawołanie pochalały sie po basach.*

*Ze zadku wylazi gryfnō modō dzioucha ze srogim garcym żuru i stawiō go na stole.*

FRIDA:

Witejcie rōztōmili a jedzcie. Zeflik mi pedzioł, coście prziszlizli mu pōmōgać, a że my zōwdy mōmy go radzi, kamratōw ōd niygo tyż.

ZEFLIK:

To je moja kamratka Frida. Ōna jedna sie mje niy lynkō i zōwdy mi pōmōgo. A kej jō moga, tyż jij pōmōgōm.

*Zeflik pokōzoł cołki rzōnd zepsutych zymbōw.*

FRIDA:

Ty mi się, Zeflik, ino niy przychlebiej, bo zōwdy musza cie retować z jakijś utropy. Terōzki tyż.

ZEFLIK:

Zaś tak niy mozesz gōdać. Jō ci zōwdy przoł, boś gryfno dzioucha. Inakszyj bych cie już dōwno tōnknył.

FRIDA:

Niy fanzol, ino lej ta zupa, bo ōchłudnie, a twojim kamratōm aże w basach grō. Na swaczyna, tam pod ōknym, mōcie kōmport z aprikōuzōw z naszymo ōgrōdka a zi-sta ze skōrkōm ze citrouny.

ALICA:

Ō jakie maszkety. Aże ślinka leci.

REGINA:

A jak wōniajōm. Srogō podziynka. Niy zapōmnimy ci tygo, Frida.

SZYMŌN:

Ja, ja. Niy zapōmnimy.

DANIEL:

Martwi mje ino, po jakiemu zatkōmy ta ducka?

FRIDA:

Jako ducka?

ZEFLIK (*skłōnił sie w pas*):

Moje zōcne kamraty znōdli ta dziura, bez kero cito woda z mojigo stōwu.

MAKSLIK:

Možno i znōdli, nale niy wiedzōm po jakiemu jōm zaklajstrować.

ZUZA:

Makslik, mōsz łeb jak sklep!

MAKSLIK:

Co ty za fleki ciśniesz?

ALICA:

Jakie fleki! Toć że zaklajstrować!

SZYMŌN:

Ino czym?

DANIEL:

Terōzki dejcie pokōj. Pōćcie po kōmport i zista, a możno potym cosik ōbmyślmy.  
*Bajtłe jedzōm aże jim uszy dyrda jōm.*

REGINA:

Podziynkowōł, nale trza sie wziōnc za robota, bo przeca niy ōstanymy tukej do Dzieciōntka.

ALICA:

Dobrze prawi. Biercie chopcy Zeflika a pōćcie, bo sie zećmi.

ZUZA:

Dziynkujemy ci, Frida, za smakowite jōdło. Same delikatesy a maszkety. Trzim sie.

BAJTŁE (*cuzamyn do kupy*):

Dziynkujemy!

*Kōmpanijō biere kibel z utopkiym i wylazi na plac.*

BINA V

*Na placu przed gospodōm wele hasioka.*

CUDZY (*chraplawy*) GŁOS:

Dobry dziyń, Zefliku! A na co ci to prziszło, terōzki w kiblu cie noszōm?

ALICA (*ōbracō sie wylknniōnō*):

Co to? Fto to gōdo?

MAKSLIK:

Przeca tukej żōdnego niy ma.

CUDZY GŁOS:

Jak niy ma. Badnijcie wele hasioka.

ZUZA:

Szczur! Wszystkie citać! Srogi szczur!

ZEFLIK:

To nie je ańfachowy szczur, ino mōj nōjlepszy kamrat Rubi.

ALICA:

To je richtich wybitny plac: utopki tukej mieszkajōm, szczury gōdajōm. Co nōm sie jeszcze trefi?

ZEFLIK (*udziwiöny*):

A u wös szczury niy gödajöm?... To bezmaść muszöm być jakie yndyufy. U nös kōždy poradzi gödać.

SZYMÖN:

U nös szczurów ani niy ma... bo je wytru... wykłudzili kaj indziej.

ZEFLIK:

A u nös söm. Pröwda, co ludzie jim niy przajöm, ale jö ja.

RUBI:

Niy fanzol, Zeflik. Mje tam przajöm... boch je pozorny.

ZEFLIK:

Ino Frida, a to niy ma wszystkie.

RUBI:

Styknie. Zöwdy möm pełny bas, a i z kamratami moga sie potajłować.

MAKSLIK:

Skōńczcie sie już wadzić. Rubi, a co to je za miano? Jö takigo niy znöm.

RUBI:

Po pröwdzie mianuja sie Rubert, nale lepij mi sie zdö Rubi.

DANIEL:

Ino po jakiemu Rubert? Alojz, Tönik, Jorguś to ja, nale Rubi?

REGINA:

A jö wiym. Badnijcie sie, przeca ôn je ruby kej faska i beztöz mianujöm go Rubi.

RUBI (*znerwowany*):

Co ôna beblö? Jö niy je ruby... ino ciciaty.

REGINA:

Niy gorsz sie. Tak mi sie wyforsztelowało.

SZYMÖN:

Nale pöćcie już, bo zaklajstrujemy ta dziura, kej Wilijo w maju trefi.

RUBI:

Jakö zaś dziura?

ZEFLIK:

Bajtle znödły plac, kaj mi woda cito.

ALICA:

Ino niy wiymy, czym jöm zalepić.

RUBI:

Ciyńkö sprawa.

ZEFLIK (*zaś napoczynö ślimtać*):

Do mje już niy ma retunku.

REGINA (*polywö Zeflika görczkiym*):

Niy ślimtej, cosik öbmyślymy.

RUBI (*szkrobie sie po łebie*):

Wiym! Wiym! Niy starejcie sie. Jö to szafna z mojimi kamratami. Poköżcie mi ino, kaj to je.

DANIEL:

Poleku. My to napoczli, my skōńczymy.

ZUZA:

A mösz, Daniel, aby jaki öbmyślonek, bo jö niy. Dej sie na strzimanie, možno Rubi z kamratami poradzöm.

SZYMŌN:

Šwiyntŏ gödka. Trza wierzyć w ludzi.

ALICA:

Chyba w szczury.

ZEFLIK:

To pŏc z nami. Bajtle pokŏżŏm ci, kaj to je, a potym wyšla jich nazŏd do dŏm.

*Bajtle ze Rubim i Zeflikiym we kiblu idŏm nad stŏw.*

MAKSLIK:

Rubi, badnij tyn wir. Tukej woda cito.

RUBI (*badŏ stŏw choby fachman*):

Ja, tak Źech sie to forsztelowoł. Niy trŏp się, Zeflik, poradzymy.

ZEFLIK:

Wierza. Jeszcze Źeś mje niy ōcyganił.

REGINA:

A co bydzie z nami? Poradzisz nŏs wykcludzić nazŏd?

ZEFLIK:

Toć Źe poradza. Zanieście mje ino do byfyja.

*Tŏpek sznupie driny byfyja. Wyciŏngŏ asjeta z bratheringami.*

ZEFLIK:

Mŏm.

ALICA:

Co to mŏ być?

ZEFLIK:

Mŏj zŏcny kuzyn – Paterpless Stanik – gödoł, co by wŏs wykcludzić nazŏd, musicie zjeść po jednym bratheringu.

ZUZA:

Jŏ niy cierpia ślydzi, a ty mi dowŏsz bratheringi? Niy dŏm rady, wdycki tukej ōstana. (*napoczynŏ ślimtać*)

REGINA:

Niy być leluja! Tyż niy cierpia ślydzi, nale sie zapra i dŏm rady.

*Zeflik kŏŹdemu bajtlowi dŏwo na talyrz po jednym bratheringu.*

SZYMŌN:

Ino ōbiecej, co dŏsz nŏm znać, po jakiemu Źeście zaklajstrowali ta dziura.

REGINA:

I pamiyntej coś mi ōbiecoł.

ZEFLIK:

Mŏcie moje sŏwo. A terŏzki ślydzie. Na. Kej porachuja do trzech, napoczynŏcie.

*Bajtle bierŏm śledzie z ōszkliwościami.*

ZEFLIK:

Rŏz, dwa, trzi.

*Bajlte jedzŏm i za rajŏm sie tracŏm.*

#### BINA VI

*Nazŏd w dŏma. Drzewo na Piŏšnikach*

ZUZA (*charkŏ*):

Tfu, tfu. Czuja w gymbie bratheringa.

ALICA (*sie wzdrygö*):

Jö tyž.

SZYMÖN:

Przestöncie. Jeszcze žech niy jöd takigo dobrego bratheringa, a wy wajocie.

REGINA:

My tukej faflömy, a jö jest ciekawö, eli Rubi poradził cosik na ta dziura, eli niy.

MAKSLIK:

Ino po jakiemu Zeflik dö nöm znać?

DANIEL:

Mje sie zdo, co možno wyśle nöm jaki brif.

ALICA:

Zuza, wlyž no na wierch i öbejrzyj ino, eli w dziupli niy ma jakigo papiöru.

*Zuza włazi na wierch i sznupie w dziupli.*

ZUZA:

Richtich, cosik tukej je.

BAJTLE (*jedyn bez drugigo*):

Co?! Co?! Co?! Pokož!

ZUZA:

Doczkejcie ino, musza to do porzöndku chycić. To je köncek gazety.

ALICA:

Na co nöm gazeta?

ZUZA:

Badnijcie, tukej jest artikel ö Martinszachcie.

MAKSLIK:

Czytej na głos.

ZUZA (*czytö na głos*):

Kurier Lipiński

13 lipca 1905 roku

Cuda na Martinszachcie

Wele śwyntyj Gryjty na ch zmianach na Martinszachcie bergmönöm potraciły sie śniödania. Kejby to böły wuszty a kyjza, wydzieliby, co to spröwka szczurów. Ino terözki kyjza a wuszty östały, a straciły sie žymły i sznity. Žödyn niy wie, kömu i na co sie przydały. Dyrechtör zarzöndził śledztwo, nale tyž niy poradziło. Do wszystkich na tyj grubie ta dziwnö akcyjö östanie zagödköm.

Redachtör

Ewald Borök

ALICA:

Ö jezderkusie, nale öni to wyforsztelowali. Rubi mö ta łeb.

REGINA:

To Zeflik juž mö poköj. Wierza, co dotrzimie słowa.

SZYMÖN:

I co, Daniel, miölbyś taki pomyslönek, coby chlybym a žymłami zaklajstrować ta dziura? Ani byś niy sloz na döł, bo i po jakiemu. A tak Rubi z kamratami szafli to za nös.

DANIEL:

Mösz recht, ino przestön wajać, bo my zönaczyli dobrö robota i yntlich mogomy sie dychnönć.

*Bajtle legajöm na drzewie.*

# HUBERTA, SZWAGRA ERWINA, SIWI

*Komedyjō rozwojōwō-didaktycznō*

**Aleksander Lubina**

OSOBY:

S – starzik (mieni sie Hubert)

O – ōma (jako to ōma – zawdy najlepszō, mieni sie Erna, siōstra Erwinōwo)

W – wnuk

A – Angelika, libsta wnuka Erny i Huberta, Erwinowego szwagra  
(Hubert i Erna godajom jej Aniela)

*W kuchni dwie osoby, starsza kobieta krzȃta siȃ, starszy mȃczczyzna czyta gazetȃ.*

S: Kerō mōsz?

O: Niy gupiyj! Przidzie, to bydzie. Sōm se ōbejrzyj.

S: Jako to: Sōm se ōbejrzyj? Przeca wiysz, Ńe przez bryli nic nie widza.

O: Tyś je dziwny, powiam ci, zygōrka niy widzisz, mōbilnioka niy widzisz, a czytać pōradzisz...

S: Dyć niy czytōm, niy czytōm... Tak inō tyn cajtung trzimia, cōby sie niy nerwować.

O: A cōż to cie tak nerwuje? Przidzie, to bydzie. To porzōndny synek. Kiej ōbiecōł, to bydzie. Ō piōntyj miōł być, ja?

S: Ja, ō piōntyj. Niy byda siedziōł w ōknie, kiej jako klachula staro.

O: Toć ci niy kōża. Trzeci rōz ci powiy... A ty niy wiysz, iȃe baby godajōm, co ty durś w ōknie, kiej mie niy ma...

S: Tyś je niydōbro do mie. Ino przeziwōsz, przeziwōsz, przeziwōsz, a jo sie nerwuj. Jo w ōknie. Starom sie, kiej cie niy ma – i tyła.

O: Starōsz siȃ, starōsz... Niy gōrsz sie. Jeszcze niy ma piōntej. Jakieś auto przijechało. No, za piynć piōnto. To sie juȃ niy trōp.

*Dzwonek. Ōma idzie otworzyć i wpuszcza młodego człowieka z laptopem w rȃce, który serdecznie przytula jȃ, a potem starzika.*

W: Dōbry, jak tu u Wōs fajnie. Jak wōnio kołōczem!

O: A dyć, dyć. Dychnij se, dychnij. Napij siȃ trocha. Narychtōwałach ci kakałszale.

W: Kakałszale, kakałszale, Ōma, mie juȃ je siedym a dwadzieścia, a Wy mi dowōcie kakałszale? Wy mi dowōcie kakałszale? Dyć, iȃe sie napija. Ōd vos, Ōmeczek, wszystko i zawdy!

O: To mōsz sam, mōsz syneczku, na zdrowie.

S: Ōma, ōma, toȃ to i jeszcze w mōjy downyj szōlce. Ńe Wy tysz pamiyntōcie...

O: Dyć, iȃe pamiyntōm, pamiyntōm, jako to mom niy pamiyntać?

S: Pōkoȃ, co tam mōsz! Co to je?

W: Laptop. Toȃ bydymy cōsik pisać?

S: No, bydymy. A tyn kōfer z kamerlika tysz mōsz?



- W: Mōm go w aucie. Fater mi go znōd. Ciynżki jak sto piyrōnów. Zarōzki pójda! Dych-na se trocha! Te kakalszale takie dōbre i tyn kōłocz...
- Wnuk pije i je. Starzik zadaje pytanie.*
- S: Pōradzisz szkryflac' ōd zadku?
- W: Jak „ōd zadku”?
- S: Bo mie lepiyj sie wspōmino ōd zadku!
- W: Wybōzczcie, jo Vos dali nie chytōm!
- S: No, jo ci powiy, co mōsz pisać, a ty mōsz ino to pisać, co jo ci powiy, nic wiyn-cy. Kiej niy pokapujesz, to spytej.
- W: Czamu od zadku? Gōdejcie, co chcecie i jak inō pōradzicie – jo to pōtym zredagu-ja, poukladōm.
- S: Toch cie pytōł, eli od zadku sie dō! A ty mi tu duplikujesz, kiejbyś sie blekōtu na-żar! Gōdosz do mie jak do jakij cyimnej masy.
- W: Wszystko sie dō! Inō mie bydzie leko, kiej byda wiedziōł, co Wy mōcie napisać.
- S: Jo niy mōm nic napisać, jo chcam napisać. Jo chcam napisać siwi.
- W: Siwi?
- S: Niy siwi, ino si-wi, si-wi.
- W: Aaa... CV. Curiculum vitae. CV, CV, no to mi ulżyło, boch sie już strachōł, iże by-dymy pisać testamynt.
- S: Testamynt. O niedōczekanie Wasze, niedōczekanie. Jeszcze niy terōzki.
- O: Przestoń fanzōlic, przeca nikt niy czeko.
- S: Fanzōlic, fanzōlic... Jo tam nie fanzōla. Jo tam swoje wiym.
- W: To Wy se tu pogōdōjcie, a jo pōnda po tyn kōfer. Inō wycie, w aucie sōm dwa kofry.
- S: Dwa?
- W: No, dwa. Tam we piwnicy, w kamerliku, stōły dwa. Tōch wziōn ōba. Jedyn mi fater znōd, a tyn inny stōł za beczkōm na kapusta.
- S: W kamerliku stōły dwa kōfry?
- W: W kamerliku stōły dwa. Te dwa zech przywiōz.
- S: Miōł tam być jedyn. Ō tym drugim nic niy wiym.
- W: Jo tysz niy wiym, kery żeście chcieli. Nic na to niy pōradza.
- S: Prziniyś, ōboczmy.
- Wnuk wychodzi. Starzik sięga po kubek z kakalszalami i podpija trochę, oma mu to zabiera i śmieje się dobrodusznie.*
- O: Co ty udōwosz, przeca wiysz, iże w kamerliku stōły dwa kōfry.
- S: Dwa? Toś ty go nie shajcowała?
- O: A kery? Kery?
- S: No, kery, kery? Som niy wiym, kery je kery.
- O: No widziōł, a jo mōm sie w tych twōich kōfrach pochytać. Mōžno kaj stōi i trzeci i szwōrty. Z tobōm to istne utra piynie. Stym twōim siwi. I co teraz bydziy?
- S: A cō mō być?
- Wnuk wraca z walizką, stawia ją koło stołu, otwiera, włącza laptop, starzik zwraca się do wnuka.*
- W: To jo. Mom jedyn. Ciynszki.
- O: Pōdź tukej do izby. Weź ta szōlka. Tu do ciebie jeszcze kōłocz z kiermaszu.
- W: Ōma, niy. Dejcie tyn kōłocz do kuchni. Mie sie tukej lepiej pisze.
- Oma podaje kōłocz.*

- O: Kupny, ale dōbry. Taki trōcha inny. Te bezyje na wyrchu sōm nōrmalne, a tyn fi-  
lung smakuje krōwkami.
- S: Mōmy czas, mōmy czas, zjysz kōłocz – to mōžno zdōnżymy z tym siwi.  
*Starzik łapie za kofer.*
- W: Niy dżwigejcie sami tego kōfra.
- O: No to, jako chcesz, tu mōsz kōłocz, a jo ida do kōścioła.
- S: Przeca zawsze idziesz na szōsto.
- O: Ida na szōsto, po leku se pōjda, a pōtym se jeszcze porzykōm, a wy tu piszcie. Niy  
byda sztyrōwać i sie nerwować.  
*Oma wychodzi do kōścioła.*
- W: CV? CV? Gōdocie?
- S: Tyn kōfer je cijnższy od tego w aucie?
- W: Zdō mi sie, ja.
- S: To je tyn, no tyn, tyn... Wiela mōsz czasu?
- W: Tak do dziywiōntyj. Potym ida po mōja. O dziywiōntyj kōńczy.
- S: To zaś łązi na jakiś kurs?
- W: Uczy sie. To chyba dobrze?
- S: Czego sie uczy, przeca już szkoły pokōńczyła.
- W: Angielskiego sie uczy. W robōcie potrzebuje.
- S: A we szkōle niy miała.
- W: Miała, ino inny.
- S: To sōm dwa? Szkōlny i do rōboty?
- W: Niy wiym, nie wrażuja sie. Projekty europejskie pisze – ô pograniczu kultury, ô toż-  
samości.
- S: Ô czym?
- W: Ô tożsamości. Jako to je, co jedyn je Polok, a inny Ślonzok. Jedyn je roz komunista,  
a drugi roz ewangelik?  
*Starzik milknie. Wnuk dojada kawalek ciasta.*
- S: Dej tyn kōfer.
- W: Co tam je?
- S: Tam je to, co byda czytōł, a ty to napiszesz w siwi. Takie tam roztōmaite papiōry.
- W: To jo som se byda wyciōngōł, czytōł i pisōł.
- S: Niy, niy – jo go tukej połōża, tak bydzie lepiej. Tukej niych leży. Tak lepiej.
- W: Jo tak niy pōradza. Chca ôbejrzyć, przeczytać, zapisać!
- S: To je wyciōngna, ôbejrza i ci dōm. Co sie niy nadō, to pōdzie nazōt do kōfra.
- W: No dobre, tak to zrōbimy.
- S: Dej tyn kōfer. Pōłōż go tu na hōkrze. O tak. Ściōngnij tyn pasek. Uwazej, bo wszyst-  
ko stare. No dej, jo ôtworza. Cōfni sie na bōk. Narychtuj tyn twōj laptōpf.
- W: Ôpa, ôpa...
- S: Laptop...!  
*Starzik wyciāga papiery, przegłāda i uklāda w dwōch kupkach. Wnuk otworzył  
laptop, stanął przy oknie z następnym kawalkiem ciasta nad talerzem w rękach.*
- W: Po co to piszemy?
- S: Tōch ci pedziōł, chca mieć si-wi.
- W: Po co wōm si-wi?
- S: Chca zrobić porzōndek. Napisane, to napisane, nikt niy bydzie cyganil, kiej mie już  
niy bydzie.

- W: Jak wōs niy bydzie, to po co wōm to?
- S: Cōbyś gupot o mie niy suchōł – ani ty, ani twoje dzieci... Niy suchōł i niy godōł. Bo jo jest Nowara, twój ôjciec je Nowara, tyś Nowara i twoje bajtle bydom Nowary. Coby o Nowarach gupot niy godali. Jednym z gupoty i cygaństwa dobrze sie żyje, drugim z gupotom i cygaństwem cijnżko sie żyje, a gupota i cygaństwo som wszandy i zawdy.
- W: Mógymy pisać?
- S: No jo je na zatym fertig. To mōsz tu.  
*Starzik podaje wnukowi poźółkłą legitymację. Wnuk czyta.*
- W: Związek Powstańców Śląskich Zarząd Główny.  
*Wnuk ogląda zdjęcie.*
- W: Aleście do mie podobni.
- S: No chyba ty do mie.
- W: Pieczętka: Związek Powstańców Śląskich – Grupa Janów Śl. III – własnoręczny podpis: Nowara Rufin!
- W: Ōpa, wyście przeca niy som Rufin.
- S: No niy, jo je Hubert. Rufin to bōł mój ôjciec.
- W: To jak to mōm napisać?
- S: Normalnie:  
Hubert Nowara, syn Rufina, powstańca śląskiego.
- W: Związek Powstańców Śląskich Zarząd Główny – pieczętka: Związek Powstańców Śląskich – Grupa Janów Śl. III /własnoręczny podpis Nowara Rufin.  
Na drugiej stronie:  
nazwisko:  
Nowara, imię:  
Rufin, data urodzenia:  
21.05.1904.  
To wiela mu było w tym powstaniu?
- S: Siedymności, gynał siedymności, w trzecim. A co? Sōm pōrachować niy pōradzisz?
- W: Nic, nic, umia, dyc umia, tak sie ino pytōm.  
Miejsce urodzenia:  
Dąbrówka Mała, powiat:  
Katowice, miejsce zamieszkania:  
Janów, kol. Giszowiec, ul. 1 Maja, 7, stan cywilny:  
kawaler...  
To kiej ōn się ôżynił?
- S: To tyż porachuj. Jo bōł szwōrty, z 1935! Ōżynił się, to bōł taki stary jak ty. Jo tyż niy bōł smarkōcym.  
*Wnuk w milczeniu pisze dalej.*
- W: Wyznanie:  
rzym.-kat., funkcja w powstaniu:  
szer., data wstąpienia do związku:  
1934, przynależność do grupy:  
Giszowiec.  
Koniec. Rufin załatwiony.
- S: Wszystkōś napisōł?

W: No, jak bydziecie chcieli, to pôtym wykasuja. Wykasować sie do. Dôpisywać czynżyj.

*Starzik podaje wnukowi kolejny dokument.*

S: To bier sie za to.

W: Związek Weteranów Powstań Śląskich – Legitymacja Nr 1763, Grupa miejscowa Janów, Powiat Katowice – Hubert Nowara...

W: A to co zaś?

S: Co, co... To mój auswajz, som Rechowicz, Henryk Rechowicz, rektor Uniwersytetu Śląskiego, o mie pisōł.

W: Pisōł o vos? O powstańcu? Przeca wyście sie rodzili po powstaniu...

S: Prowda, nale to je auswajz z 1954. W 54 mie tyż było siedymnoście, jak mojemu fatrowi we powstaniu. Ty mosz ino napisać, żech tyn auswajz dostał, nic wyncyj. A jak chcesz wiedzieć, toch go dostał od Związku Młodzieży Powstańczej. No i to tyż żech dostał...

W: A to co?

S: To Medal Niepodległości!

W: Medal Niepodległości – po drugij wojnie? Coś tu niy sztimuje.

S: Co niy sztimuje? To medal mojego ôjca. Potym ôn mi go dôł. Coś tam już nakryklōł?

W: Jo niy kryklōm, szrajbuja w kōmputerze. Niych Wōm bydzie. Czytōm: Hubert Nowara, urodzony w 1935, w Katowicach, syn Rufina Nowary, powstańca śląskiego (patrz załącznik), posiadający legitymację Nr 1763, Związku Weteranów Powstań Śląskich (patrz załącznik), oraz Medal Niepodległości (patrz załącznik).

S: Żodyn załōncznik, żodyn załōncznik, jo tych papierów nikōmu do rynki niy dom!

W: Zrobia kōpie. W aucie mōm drukarka ze skanerem. Skaner robi zdjyncia, drukarka wydrukujie i bydzie.

S: Bo wiysz, papiery sie stracōm. A przidać sie mogōm. Niy mie, to ciebie. Mōžno nawet twōim bajtlōm. Nigdy nic niy wiadōmo. Niykere majōm i stō lōt.

W: Tyn wielki papiór – to co to jest?

S: Tyn?

*Wnuk trzyma w ręce poźółkły arkusz.*

S: Tyn?

W: Tyn, tyn!

*Starzik podchodzi, przygląda się, sięga po dokument, ale wnuk nie pozwala zabrać i kładzie go obok laptopa.*

S: Tyn? Tyn? Ajnfach, ganc ajnfach... To rehabilitacja Rufina.

W: Rehabilitacja Rufina. Rufin coś napochoł?

S: Nic niy nagrzszył. Co miōł nagrzszyć? Mus to nie grzych. Co miōł robić? Kiej Niymcy przysli, to my już miyszkali w Katowicach. Na Świyntego Jana, a fater na banie robił. Matka była z dōma Beker, no to wiysz! No to dôstali dwōjka.

W: Jako dwōjka?

S: No, fōlkslista cwaj. Bo my w tych Katowicach gōdali po niymiecku. Tak musiało być i tyła. Fater boł niygupi. W robocie do powstania sie niy prziznowoł. Niykierzy sie asili. Jedne powstańcy wadzili się z drugimi, wielo Pōlsza, mały Ślōnsk, a trzi światy. Fater patrzył roboty i nos. Jo boł szwōrty. Po mie jeszcze byli Dorota, Francek i Ojgyn.

Katowice,  
dnia 23 czerwca 1945  
Wniosek rehabilitacyjny  
osoby wpisanej do drugiej – trzeciej bez zastrzeżenia odwołania grupy niemiec-  
kiej listy narodowej  
Do SĄDU GRODZKIEGO  
w Katowicach  
Wnoszę o uznanie mnie za zrehabilitowanego.  
Szczegółowe dane personalne.  
Imię i nazwisko:  
Nowara Rufin  
Data urodzenia:  
21 maja 1904  
Miejsce urodzenia:  
w Janów, kol. Giszowiec pow. Katowice G/Śl.  
Imiona i nazwisko rodziców, nazwisko rodowe matki:  
Joachim i Elżbieta Nowara, z domu Szmyd.  
Obywatelstwo:  
polskie  
wyznanie:  
rzym.-katolickie  
zajęcie (zawód):  
kolejarz  
wykształcenie:  
szkoła powszechna  
stan cywilny:  
żonaty  
imię (nazwisko rodowe/zawód drugiego małżonka)  
Jadwiga. Bez zawodu.  
11. dzieci do lat 14-tu (imiona i daty urodzenia):  
Wojciech .....  
urodz.15.08.1930 .....  
Jozef .....  
urodz. 02.03.1932 .....  
Fryderyk .....  
urodz. 13.04.1933 .....  
Hubert .....  
urodz. 26.02.1935 .....  
Stan majątkowy:  
nie posiadam żadnego majątku  
Służba wojskowa:  
-/-  
Ordery i odznaczenia:  
-/-  
Kary sądowe:  
-/-  
Miejsce zamieszkania.

w dniu 1 stycznia 1945:

Katowice, ul. Jana 1

w chwili wpisania do niemieckiej listy narodowej:

Katowice, ul. Jana 1

w chwili stawienia wniosku rehabilitacyjnego:

Katowice, ul. Jana 1

Okoliczności i dowody uzasadniające wniosek

Naprowadzić okoliczności stwierdzające, że wnioskodawca został po dniu 31.8.1939 r. wpisany do drugiej – trzeciej grupy bez zastrzeżenia odwołania – niemieckiej listy narodowej, a to wbrew swojej woli lub pod przymusem, a swoim postępowaniem wykazał polską odrębność narodową, oraz powołać dowody na poparcie uzasadnienia – dokumenty, świadków itp.

*Starzik przerywa.*

S: Styknie. Põtym zrobisz kōpia?

W: Co tu mõm napisać. Rufin Nowara miõł folkslista? Folkslista cwaj? Hubert Nowara był synem fõlksdõjczya?

S: To niy je gańba. Takie czasy, gõdołech ci już. A z kerys kupki to wżon? Gõdołech ci, niy bier som. Z tyj kupki niy bier. Można potym napiszemy inksze siwi. Jak zdõżymy. Pacz, je siedym.

W kõiściele się kõińczy.

W: No ja, jo tyż musza za dwie gõdziny dõ dõm.

S: Dõ dõm, eli na kurs po Andżelika. Andżelika! Bo Aniela to ona bõło chrzczono, azali to po slõnsku, to chamskie. Aniela chamskie – Andżelika to to eleganckie...

W: Po Andzia, po Andzia – jak wy to jõm wõłocie.

S: A co? Mõm jom wołać:

Andżelu, podejdz, proszë, do płota!

*Wnuk się roześmiał. Poklepał starzika po plecach.*

W: No doõbre – styknie, styknie. Lepiyj bydzie, jak bydziecie czytać. Szkõda czasu na jakieś tam fõlkslisty.

S: Godõłech ci przeca. Tu mõm takie pismo õd farorza. Świadectwo ukończenia kursu na szafarza i ślubowanie.

*Wnuk roześmiał się ponownie.*

W: Gõwa mie boli. Wyście som szafarzym?

S: Kõždy może być szafarzym. Jo tyż. U mie bõł ino jedyn problem.

*Wnuk się roześmiał.*

W: Ateizm?

S: Kaj tam ateizm! Jo niy je taki! Chodziło o wiek. Jo je za stary. Ale biskup dõł specjalno zgõda – na próba. Na piynć lõt.

W: Przeca wyście sõm... Przeca wy nie łazicie do kõiścioła.

S: A to niyprõwda, niyprõwda. Jo bõł zawdy wierzõncy, wierzõncy, nale niy praktykujõncy. Terõzki wierzõncy i praktykujõncy. Na mõje osiyndziesionte prziszõł taki młõdy farorzyc i mie nawrõcił. Pogõdali my se przy gorzõłce i jo zrozumieõł, że mõga być kõiścielnym sõijalistom. Tak jak Merkel w Niymcach: Chrześcijańsko Unia Sõijalistyczno.

W: Sõijalno. Spõłeczno. Merkel je Chrześcijańsko Unia Demõkratyczno.

S: A jako to rõiżnica. Sõijalistyczno eli demõkratyczno. Mõmy kõiścielno demõkrajco, kõiścielny nacjõnalizm, to je i sõijalizm. Jakbyś na tym geburstagu nie poszõł tak

wartko po ta swōja Andželika, a potym do dom, to tyn farōrzyk tyż by i ciebie nawrócił.

- W: Mie wikary nawracać niy musi. Jo do kōścioła łaża, bo mie mój ôpa Hubert, znōcie go?, do kōścioła gonił.
- S: Gōniłżech cie, gōnił. Bo tak trza. Kōściół i sōcjalizm do sie pogōdzić. Kōściół je, bōł i bydzie pōtrżabny. Sōcjalizm niy bōł zły. Bez Boga ani przez proga, sōcjalizm zaś przidzie nazot, przidzie, przidzie. Sōcjalizm nōrmalnym ludziom cosik dōwoł. Tu mōsz: Hubert Nowara – przodownik pracy socjalistycznej – dyplom, ôdznaka, artykuł w gazecie. Nawet zdjyncie w gazecie. No we pōlskim sōcjalizmie dōstali my miyszkanie na Nikiszu. Na Nikiszu! Przedstow se to. Na niymieckim Nikiszu, na niymieckim zidlungu socjalnym, nazōd u siebie. Niy w Kato, niy w Kattowitz, niy w Katowicach, ino na Nikiszu, na naszym ślaskim muzyjumie – z malyrzami znanyymi in the all world. Ale już niy na parterze, jak u Rufina. Jo dōstoł takie wielkie, wielkie mieszkanie, 63 metry. Jako przōdownik. Kōlyjorz – przōdownik. Cugiem żech na wyrchu jeździł. Cugiem. Kiej jo niy jechoł, to gruba stoła. Bo co z urobkiym, no co? Kaj stym wonglym, kiej cug Nowary stoi, Nowara stoi – gruba stoi. Syn powstańca, przodownik pracy socjalistycznej, kolejorz. To było coś!
- W: To wyście w partii tyż byli?
- S: A jak! Jasne! To nic złego. To niy ma gańba.
- W: Gōdajōm inaczej! W tyj polskiej?
- S: Cyganiōm. Jo niy musza cyganić. W partii było jak w partii – fto chciōł jakosik żyć, tyn musiōł wstōmpić i tela. Był Bierut, Gomułka, Gierek, i szlus. Nikt niy chciōł źle. Kōżdy chciōł żyć. Mōsz baba i bajtli, to musisz się starać.
- Wnuk je w milczeniu ciasto.*
- W: Tak po prōwdzie. Po co to wszystko tera piszemy? Zrōbia to pōtym. Skōpiuja te papiery, poukłado sie w pōrzōndku chrōnologicznym, od najstarszych do najnōwszych. Zrobi sie lista, wykaz i bydzie.
- S: Tak to zrōb. Nale do tego jeszcze te siwi.
- W: No to rōbiymy, przeca zrōbione? Chcecie dōkładnij? Ale po co? Podwójno robota!
- S: Gōdolech ci, cōbyście wiedzieli, co jo myślōł o moim życiu.
- W: To bydymy jeszcze pisać komyntarze? Tak se to forsztelōwōł, spodziywōł od poczōntku.
- S: No dobre, powiyam ci, powiyam ci – bydzie buch.
- W: – Jakie buch?
- S: Niy jakie, ino jaki. Buch. Kniga. Ksionszka. Ksionszka ô mie.
- W: Ksiōnszka ô Wōs. Ale fajnie. Entlich. Tela razy żech wōs prosił, cobyście pamiyntnik napisali. To wōm do tego kupia laptop, naucza, jako to sie na laptopie szkryflo. I piszcie, piszcie. Dobry pomysł.
- S: Nic niy musisz kupōwać. Szpōruj na wesele. Niy potrzebuj komputeru.
- W: To jako to chcecie napisać?
- S: Nie starej sie. Nie starej. Jo już tam wiyam jak.
- W: To jakōś tajmynica?
- S: Tajmynica, niy, ach, kaj tam, żōdno tajmynica. Coś ty! Była tu tako dziōłcha. Żurnalistka, dziynnikarka – szwarno frelka – ôna napisze ta kniga. Już mi nawet dała zaliczka. Gōdała coś o biōłych flekach, o cyganiōnyj historii.
- W: Piyknie, piyknie. A wiela wōm dała? Przeca ksiōnszki sie niy wercōm. Fto tam czyto ksiōnszki?

- S: Wiysz ty co, niy straca na tym. A napisane bydzie. Ze sprzedaży môm tyż trocha grôsza dostać. Zawsze cosik.
- W: Toch dobrze kombinowoł, zech wszystko nagrôł.
- S: Coś ty zrobiôł?
- W: Włônczyłzech nagrywanie.
- S: Kaj?
- W: W tym laptôpie! Jak niy chcecie, to to skasuja!
- S: Skasuja, zarôz skasują! Mie powiysz: jo to skasowoł. I niy skasujesz. Fto cie tam wiy.
- W: Ôpa! Jo je Nowara. Nowary niy cyganiom.
- S: Nowary niy cyganiom! Nowary niy cyganiom! Pôradzisz z tego nagraniu zrobić kôpia do mie?
- W: No dyć.
- S: To zrôb. Przydo się.
- W: Tako surowo czy jôm ôbrobiymy.
- S: Co to znaczy?
- W: Môgymy wykasować, co chcecie!
- S: A tak sie do? To dobre, dobre.
- W: Priznejcie sie, jak wôs ta szwarno dziołszka nalazła? Ôna wos eli wy jom? Chciôłbych wiedzieć tak gynał. Coby nikt niy cyganił.
- S: Po co ci to?
- W: Chca wiedzieć...
- S: No ja... Na kiermaszu my z ômom byli. Ôma na sztandach hyjklowanie, sztrikowanie, kamiynie i ôbrozki ôglôndała, z babami klachała. Znôs ôma, to wiysz. A jô se poszôł do młôdych, co tam z fanami i adlerami stoli – narôdowcy.
- W: Pôloki? Narôdowcy? Niy môsz dość tego pieroństwa?
- S: No nie. Nie pochytôs. To blank inakszyj. Ôni mie chcôm. Môm być w partii. Môm dôradzać.
- W: Jako to w partii? Wy w partii? Zaś? W narôdowej? A co z Kôściołem i sôcjalizmem?
- S: W narôdowej, patriôtycznyj. Takijj richtig naszyj.
- W: Naszyj? Naszyj, to znaczy czyjej?
- S: Naszo to naszo! Beztusz môm te dwa kofry.
- W: Jakie dwa kofry? Tyn drugi zrôbiymy jutro. Paczcie – dziwywinc. Musza iść po Andzela.

*W drzwiach ôma.*

- O: No to je nazôt, żebyście wiedzieli, co my, baby ze Nikisza, uradziły, co my uradziły... Przisła tako jedna i pedziała, co my... No jutro pôwiym, jutro. Idź juź stary spać, ty młody po Andzela, a wy tam na publice tysz do dôm, do dôm, gôdom, jutro pôwiym, jutro. Jutro to jutro. Raus, do dom. Wasze tam czekajôm, to wôm pedzôm, co my uradziły. A jutro tu bydziecie, to wôm to wyklaruja. Do dôm, do dôm, gôdom, jutro pôwiym, jutro.



# IDEALNY WYBOR

---

**Joanna Sodzawiczny**

WYSTĘPUJĄ:

DANA – klientka

HALINA – klientka

SPRZEDOWACZKA

*Dwie baby stojom kole szalfunsztery i się przyglądają, coś miyndzy sobom debatują. Widzi je sklepiora i wylazi ku nim.*

SPRZEDOWACZKA:

Moga wom w czymś pomoc?

DANA:

Niy, niy, my się tak yno przyglądomy.

HALINA:

Tak po prawdzie to my som sam umówione na spotkanie...

DANA:

Ale tak łosprawiomy, czy to je richtig dobry pomys...

SPRZEDOWACZKA:

Rozumia... No ja, to ni ma tak leko się decydować... Ale podźcie, zrobimy tak: wlyźcie dali, napijemy się kawy, jo wom połosprawiom co i jak i dziepiero potym się zdecydujecie, ja?

Baby włazom i kukajom nałokoło, gymby im się otwyrajom, bo taki je... wybor.

SPRZEDOWACZKA:

No, jak widzicie, momy się czym kwolić... Zicnijcie się sam na szezlongu, jo zrobia ta kawa i jako zista przyniesa i za chwila pogodomy, ja?

*SPRZEDOWACZKA wylazi.*

HALINA:

Dana, czy ty to widzisz? Normalnie sam je jak w rajy... Łobejrzi te wszystkie zorty,

Taki Kauhaus!!! Cie pingole... Se keryś wymyślił pomys na geszeft...

DANA:

Ciekawe, czy sam mają jaki ruch... Tonio to sam ni ma, łobejrzi jak tu wszyjtko wy-ciaciane... Ciekawe, czy im się to kali.

SPRZEDOWACZKA (*włazi i godo*):

Na wizyta u nos cza czekać i ćwierć roka, raja momy sztyjc... a że do nos kliynt je nojważniejszy, bestoż za dnia obsugujemy yno dwie abo trzi klientki. Sam ni ma tak łaps-draps, tu się cza zastanowić i dobrze łobsztalować, bo zwrotów niy przyjmujemy... No dobra, jaki przedział cynowy vos interesuje?

HALINA:

Pieron wiy... Ale jo się tak myśla, że na tym niy idzie łoszczynđać.

SPRZEDOWACZKA:

I tu mocie recht, to je inwestycja na lata, i jak tera piniyndzy poskąpisz, to potym ci się to cofnie. Tak jak z autym – tanio kupisz i chociaż szupa fajniŝto, to się potym

okazuje, że pod klapom same abfale. Tu się cza dobrze zastanowić. Ale... to jo możno zaczna od tyj najniższy połki cynowy. Bydziecie wiedziały co je za wiela i same łoboczycie, że te najtońsze modele som psinco wort.

HALINA:

Jaaa, jo myśla, że to bydzie dobrze.

SPRZEDOWACZKA:

No toż sam momy piyrszy zort. Pokazuja go piyrszego, ale to wcale nie znaczy, że to je piyrszy gatunek... Nazywo się „Ciul niy chop”. To je taki abfal. Bez roboty, źłopie piwsko abo i tońsze wina, a jak się łożere, to jsco kaj popadnie. Niy pogodosz z nim ło niczym, bo psinco wiy i psinco go interesuje. Kompie się rzadko abo wcale, możno łod wielkiego dzwona... W uczimaniu toni, bo łoblecze byle co i byle co zjy. Niy wydziwio. Czasem mu się jako tajla popsuje albo wichajster się przestawi i zdarzo mu się baba piznąć. Do bajtli szpetnie godo, przeżywo... Jedna czy drugo baba to chwila zdzierży, ale niy na dugszo meta. Bestoż wyciepujom taki egzemplorz i potym widać, jak się takie lebry po fechcie pałyntajom... Te sprawy łożkowe to tyż takie byle jake...

HALINA:

To na co take produkujom? Biere je fto?

SPRZEDOWACZKA:

No ło to się rozchodzi, że bierom. Jak to padają: kożdo zmora znojdzie amtora... Zdarzajom się klientki, co chcą przynoszczędzić i bierom najtońszego, byleby się jaki chop po chałpie pałyntoł... Ale to ni ma na dugszo meta... Niy! Niy! Niy! Zdecydowanie niy polecom. Ale obejrzyjcie tu. Tu jest taki młodszy model, nazywo się „Sebix”. Tyn model woli mieszkać w sztokowcu, familoku abo na zidlongu. To je taki model rokujący. Na rynek wyłazi w mody wersji, bo przy dugszym używaniu cza dużo cierpliwości, ale idzie z niego chopa zrobić...

DANA:

A te szmaty to na co?

SPRZEDOWACZKA:

A bo widzicie, „Sebix” to je taki mody synek, paker, szykowny, dziób mo zawsze piękny... yno że jęzor niewyparzony. Szpetnie się odżywo do kożdego, szpanuje, popisuje się i czasym cza go tom szmatom ciulnąć na opamiętanie. Jak się zapomniesz, to może z czasym się zmienić w tyn piyrszy model „Ciul niy chop”... Ale ta szmata niy ma zaś aż tak fest uciążliwo. Idzie się przyzwyczać. Zamiast fitnesa cza go czasym pogonić. Co ty jeszcze mogą pedzieć... Czasym cza mu kupować farchy z czyma piskami, bo się fest lubi asić. Za to potym je fest usuchliwy i dycki do baby godo „Dzióbku”, „Kociku”. Niykere wersje majom wgrane angelske słowka, takie jak „Bejbi”, „Honej”. Aaaa, yno niy śmicie go puszczać na banhof, na szpilplac, ani do baru czy aryndy. Jak się wiyncy Sebixów w jednym miejscu zbierze, to potym skokajom jak afy w dżungli. Nojlepi od razu obsztalować mu trasa: chałpa, hasiok, werk. A i nojlepi takigo modszego se wybrać. Ale jak po chrystusjare dali taki podziczały, to na zojli napisać: „Oddom w dobre ręce”, choby i za darmo, i mieć spokoj, a niy użyrać się dali. *(Przyglądo się badawczo babom i pado)* Jo po vos pacza i widza, że to niy ma do vos. Z Sebixami to się mogom użyrać mode dziółszki, take co jesczce majom czas i chynci. Babom w pewnym wieku to już szkoda czasu i marasu. No, ale tu już mom kolejny model. Tako wersja podstawowo. Najwiyncy go sprzedowomy. My go nazwali „V W”. Tak jak auto Volkswagyn. Dobro niemiecko produkcja, mo-

tor dobry, niy przecieko, szupa niy kościeje, izolyrung czimie, z młodszym rocznikiem idzie żyć te starsze, to cza już bryzować, ale niy szwankują, no ale tyż ni ma się czym kchować...

DANA:

A charakter? Mo jako grafka? Dobrze jak chop się czym interesuje, bo to je pieroństwo, jak taki siedzi w doma i glyndzi nad uchym...

HALINA:

Gynau. Jak chop mo kaj is, to i baba może se wyskoczyć na klachy, do kafeje abo na szopingi, a jak dziod w doma siedzi, to potym je: A kaj idziesz?, A kedy bydziesz?, A musisz?

SPRZEDOWACZKA:

Na dugszo meta to tako lajera się może każdymu zmierznać, ale, baby, musicie zrozumieć, że to tyż ni ma wybor z najwyższy półki. Jasne, czasym się zdarzo taki, co mo jakigo ptoka, dejmy na to fuzbaler, szkaciorz, grzybiorz, wyndkorz, kanarkor. Som i take, co to wolom yno w telewizorze programy przeciepywać... Roz mi się trefił taki, co to nawet do tyjatra lubił łązić... Ale ni ma się tukej wiela co spodziewać... Je, bo je... Ale że to niy ma egzemplorz drogi w uczimaniu, to tyż dużo tego sprzedowomy... Ni ma tyż najtańszy, a wtedy łowdy zaskoczy: kwiotki kupi, na wczasy się szarpnie, „Dzióbeczku” zawoło, powadzić się powadzi, ale wiy, kedy mo sztopnoć...

DANA:

A co tankuje?

SPRZEDOWACZKA:

To co każdy model – piwsko!

DANA:

Dużo tego wysłepie?

SPRZEDOWACZKA:

Przy takim ekonomicznym używaniu to tak jedne piwo na dziyń, sobota, nidziela wiyncy, od wielkiego dzwonu jako flaszka czysty... No ale jak się pofolguje i niy do pozor, to i czteropak na dziyń pódzie...

HALINA:

Zaś te piwsko...

SPRZEDOWACZKA:

No chop tak mo! Musicie zrozumieć, że do każdego modelu cza loć... Jak do auta... Te piwsko to je tako wersja LPG. Tanio lejesz – dużo jeździsz. No ja, idzie loć czysto, liski abo i wino... Yno po co? Darymnie kosza dźwigać... Piwo to mocie jakieś dwa, czy złote za poł litra, a czysto to już dwadziścia złotych, liski toni jak piyndziesiont niy ma co szukać, a wino... Wino zostawcie się do sia. Kupicie se, bydziecie mieć na jaki fajer abo babski wieczor, a tu chop wom wysłepie... I już haja gotowo... A wadzić się idzie ło byle co... Jakby wom brakowało driku do zwady, to sam tyż momy taki poradnik: „365 powodów, żeby powadzić się z chopym”. Sztyrdziści dziewięć dziewięćdziesiont, ale przy zakupie dowolnego modelu chopa 25 procynt zniżki...

DANA:

I co myślisz?

HALINA:

A bo jo wiyom... Jo by chyba wolała coś bardzi... Niy wiyom jak to padać...

DANA:

Wykwintnego?

HALINA:

Nawet niy, coś bardzi... egzotycznego? Jaki Neger abo Araber...

SPRZEDOWACZKA:

Hmmm, Auslandrów to my skludzomy, ale yno na specjalny obsztalunek. To się cza liczyć z dodatkowymi kosztami. No i niy wiadomo, na co się trefi... To je inkszo kultura, inksze tradycje, inkszy język. Z chopym to się je ciężko dogadać po naszymu, a co dopiero po cudzymu. Mom sam katalog, jak się pani uprze, to mogymy zamówić. Zdarzało nom się sprowadzać i Amerykonów, i Indianerów, Rusów, Żydów, a nawet Pepików, ale to cza lubieć... Zresztom w tym momencie na stanie to momy yno pora goroli. Bydziecie chcieli, to wom ich pokoża, ale skuli mie, to jo wom polecem pnioków. Co pewne, to pewne...

HALINA:

A takie bambry abo fesztry?

SPRZEDOWACZKA:

Tako egzotyka po polsku. Jasne, momy klientki, co takich uciech szukają, co im się marzy kulanie we sianie abo rajtowanie na koniu... Można to i je fajne, ale na chwila... Tak bez lato... Nale potym cza rano stować, krowy doieć... Tako baba durś niy wyspano łązi i jeszcze jom kiszonkom czuć... A te kulanie na sianie... Jo roz próbowała, po rzici mie słoma dźgała. Niy, dziynkuja! Roz i styknie.

HALINA:

Jeszcze pani coś sam mo, czy to już je cało oferta?

SPRZEDOWACZKA:

A kaj, tera przełażymy do ty wyższy połki. Dzisiej momy tako przileżytność: „Artysta” dziesiyń procynt toni, jak zowdy.

DANA:

A co to je za jaki... model?

SPRZEDOWACZKA:

To je aktor, muzykant, śpiewok abo malyrz, tako poczochrano dusza, z leksza chudy, ale za to wygodany i wysztiglowany. Ciut drogszy w uczimaniu, tu się cza liczyć z drogszym łoblyczym, drogsze graczki, bo i farby, i instrumynty cza kupić, ale za to roz na ruski rok idzie się łobejrzyć w jakiś cajtongach. Piwsko niy, bryndzy halba abo jeszcze lepi liski, koniak... No i muki... Bo to wyny niy mo, bo się na nim niy poznali... Bo w cajtongach napisali, że taki czy owaki... Taki leko delikatny model... Ale za to jak je na fali, to się idzie spodziewać złotych pieśconków, zauśniczek, rajzów dookoła świata. Jeś tyż niy poje do porządku. Rolada i kluski wek, ślimaki i morskie chroboki... Kyjza z Francyje... i szyneczki... No eli się jeszcze jaki wegetarianin nie trefi, bo wtedy to yno grincójgi i szałot... Ale za to rączki mo delikatne jak u dziecka, bez blazow. No i w łóżku to tyż artysta ... Jak sztyngel niy za dugi, to czym inkszym nadrobi... Akurat u tego modela to się żodno jeszcze niy skarżyła... Yno cza mieć pierońsko dużo trwania do tych jego fanaberyjów...

HALINA:

A wiela łon kosztuje?

SPRZEDOWACZKA:

O, tukej na etykecie pani wejrzy...

HALINA:

Uuu, drogo...

SPRZEDOWACZKA:

Je jeszcze „Literat”, to tako najtońszo wersja „Artysty”...

HALINA:

A jak wyglądo?

DANA:

Mie to by się taki Andrzej Duda podoboł. Taki szykowny, wyzgerny, postawny, wy-sztafrowany...

SPRZEDOWACZKA:

Niy, niy, niy! Polityków niy sprzedowomy. To je porządny skład, my się za ańfach niy bieremy! Beskurcyjów, breweryjoków, buzerantów, chachorów i lompów niy łobsztalujemy. Takie to może w jakim lyjamcie u machlyrza...

HALINA:

No ale to jak taki chop wyglądo? Idzie się coś zamowić? Jo by na przykład na ry-szawego niy chciała trefić... Potym się czerwonego mantla niy obleczesz, bo się ko-lory gryzom.

DANA:

No a mie się zaś blondyny niy podobajom... Coś w nich takigo je, że... No niy i fertig!

SPRZEDOWACZKA:

No to je tak, że idzie se wybrać kolor włosów. Czorny, szatyn, blondyn, ryży. Ale mu-sicie wiedzieć, że to je yno na pora lot, bo pryndzy czy późni koźdy je głacaty. Tak że ni ma się co upierać jak ciga w marasie... W takim standardowym wyposaży-niu to je z przodku: łeb, z kudłami, ślypia, kichol, gymba, chyrtoń, klata, bas, pulok, dwie rynce i dwie szłapy, z drugi strony zaś pleca, zadek i piynty. No i do każdego modelu trocha muskli... Take szczegóły, czy bydzie fons, czy broda, paje, bukswela, szkuciato klata, abo czy łoczy modre, czy bronotne to się dziepiero dowiecie, jak ło-tworzycie... Ważne! – koźdy mo bas, z tym się musicie liczyć... Bas, bachorz, bałch, lajb, wampa, ze fołdami czy bez, ale je. Do czegoś cza tankować. Behelter musi być... Jak już wybierecie keregoś, to reklamacje przyjmujemy yno, jak mu jakich gnotów brakuje abo bebecy na wierch wylatujom. Ptalfusy, szwaje, plynskerze, ołbajny abo krótki pulok – niy podlego reklamacji... To ni ma produkcjo seryjno, staromy się, żeby koźdy chop był inszy... A przynajmi inaczy wyglądoł, żeby się niy myliło... I żeby się baby między sobom niy hajały, czyj chop jes od kery... Bestoż wejrzysz i zaro wiysz: mój czy niy mój... No i jak się w drodze użytkowano chop nabawi ja-kigo kucanio, charkanio, hercklekotów, herszlagu, guchoty, boloków, heksenszu-sa, to od razu do krankasy... Momy asekuracyjo, ale to nic niy dowo, bo jak chop, obojętnie kery model, chyci aby jedna bakteryja – to już cza go flyjgować, leko in-fluryncyjo – a tyn się z życiyem żegno. Bestoż cza dować pozor, czimać go w cieple, bo jak co chyci, to potym się mazglaci i przynajmi pora dni z łeby...

HALINA:

I ni ma wyjątków?

SPRZEDOWACZKA:

W tych drogszych modelach to ja. Tam są prezesy, byamtry, bergdirektory, wojty, i łoni mają tako aktualizacja, bo to niby odpowiedzialność za ludzi, ale to tyż nie-wiela dowo... Chop to jednak niy baba i nic niy poradzisz...

DANA:

A czamu sam taki pusty pląc?

SPRZEDOWACZKA:

Bo to je glasszrank na „Idealnego Chopa”, ale jeszcze takigo ni momy... Cołki czos szukomy liweranta, ale ciężko znoleż... Były oferty z Chin, no ale to jednak dali chińszczyzna... Na naszym rynku żodyn się jeszcze niy podjoł tego wyzwania...

HALINA:

A tyn czamu taki zaklajstrowany?

SPRZEDOWACZKA:

A bo tyn to jak baba łobejrzy, to zaro głupieje, potargane galoty łoblyko i ją do wyra ciągnie... My tyn model wycofali ze sprzedaży... Nazywoł się „Grey”. Taki se bogocz, co baba w łóżku durś czimie... Był na to szał zaro po tym, jak taki hamerykański film zrobili. Baby brały jak gupie... ale potym się skarżyły... No bo wiałaż to idzie z chopym w pierzynach leżeć... Fakt, że szwarny, fakt, że w kapsie mo same rube, a niy klepoki, ale... Chopie, jako książka byś poczytoł, w bala zagroł. A niy... tyn yno się chcioł seksić... I to jeszcze take cudowanie... we wszystkich izbach, w badywannie, w kuchni na blacie, we windzie... A czym duży, to bardzi po wymyślającym, sznorki, głaskule, hoki, halsbandy trytytki, roztomańte fickółkle porozciepywoł, a baby to potym musiały sprzątać. I to po sagu, bo tyn pieron mioł jakwersja do ubrań... Cudok i tyła... No a baby musiały potym glancować te wszystkie dyliny, kachle i blaty... bo jak sam kotlety czaskać na stole, kiej jeszcze chwila tymu żeś na nim rzić czimała? Tak rachujemy, że niydugo, mono na bezrok jako tako oferta krótkoterminowo zrobimy. Wczasy z Greyem. Yno ze dwa tydzie, a potym nazot do... Volkswagyna... Muszimy to przemyśleć... To ni ma tak łaps-draps... Volkswagyn tyż mo uczucia...

HALINA:

Ty, ale łon richtig fajny, idzie go pomacać?

SPRZEDOWACZKA:

Towar macany należy do macanta, no ale w drodze wyjątku... Tyn i tak idzie do zwrotu...

HALINA:

Juła!!! Dana, łobejrzi, jaki fajny... Aż szkoda, że taki felerny...

SPRZEDOWACZKA:

Oddomy. Można udo się go przesztalować i w inkszy wersji, taki lepszy, przidzie nazot... Co jo wom moga jeszcze pokazać... Hmm... Ano to jeszcze momy taki model „The Special One”. Koždy egzemplarz inkszy, tu się trefiajom wojoki, motocyklisty, fachmany, ale tyż lebry. Taki pakiet niespodzianka. Tu idzie naprowdy dobrze trefić, ale tyż idzie się nadzioć... Tu je tyż yno jedna uwaga od producenta: Specyficzny charakter.

DANA:

A co to znaczy?

HALINA:

Że nie wiesz, czy mosz go szmatom po pysku prac tera, czy za chwila...

SPRZEDOWACZKA:

No tak mniej wiency... Jak na tyn motor siednie i pojedzie w pierony, to się dziepiero na drugi dziyń kapnie, że w doma baba i bajtle łostały... Niy wiadomo, czy ta chwila uciechy roz na czy tydzie warto jest użeranie się z tym pieronym dziennie... Można go tyż przestawimy do ty oferty krótkoterminowy... To co, zdecydowałyście się na co?

DANA:

Ciężko tak na już coś wybrać... Jo by się musiała z tym przespać.

SPRZEDOWACZKA:

No jasne, oczywiście, a pani?

HALINA:

Jo by chciała obejrzeć ta oferta zagraniczno... Mie by się jednak taki bardzi śniady podobał... Ale jak moga, to wezna katalog i na spokojnie w doma pooglądom i zdecyduję...

SPRZEDOWACZKA:

Gynau, tu się ni ma co gibać... Toż to w końcu niy kupowanie auta... Ale można zanim się na keregoś zdecydujecie, pokażo wam, co mamy nowego... Jo wos poprosza tukej do ty tofle... Łobejrzicie. Dzisiej prziszło blank nowy liwerunek. Cicidełka i roztomańte miehtaczki z wonglo... Szło by padać: to je taki nasz ślonski bersztajn... Łobejrzicie, czyż to niy piykne?

*Baby łoglądajom, przymierzają, kupują i wylażą blank zadowolone.*

## WERSJA II ALTERNATYWA DO CHOPÓW

Występują

KLIENT

JAKUB (tukej w sensie sprzedawcz)

KLIENT:

Dobry, jo sam przyszło jako baba napasować.

JAKUB:

Dobre, mamy sam taki model „Baba Idealno”.

KLIENT:

A co łona mo?

JAKUB:

Dwa cycki i mało godo. Do każdy dociepujemy kista piwa gratis...

KLIENT:

Jakigo?

JAKUB:

Tyskiego...

KLIENT:

Jak Tyskie, to biera, bo tych żywieckich jsochów to się pić niy do...

# KOLYNDA I

Grzegorz Sztoler

*Na bina wylezie zaros farosz, wylezie, bo sie już ćmi, a lon łod samego rana łązi po kolyndzie – we Cimoku, taki jednej wsi kaś na srogim zadupiu. Pota przidzie Żyd, kiery nafutruje wielybniczka, kiery pota trefi do babki Zylorki, a neści i na samego diobła – łobejrzycie sami... Diobła – żech przepedzioł? A dyc to je wiadome, cosikej to za dziworody, fimele, leluje, besperoki, farmazoni i podciepy przy kolyndzie sie smykajom, a świyntobliwych i zocnych ludzi napasztujom, pierucha...*

## I

*Ćmi sie, czestom idzie farosz. Łobejrzijmy, kaj pieruch drybdzi...*

Ćmiło sie we Cimoku, farosz uznoł, że trza se dychnonć. Przeca nie jot nic od połednia. – Pierzyńskie parafiany – zafelonil se, chociosz sie nie godziło. Nale nawet farosz je ino człekiem z krwi i kości, a niy jakosikij zjawom, czy strzygom. Tosz pojes se musi – dyc to chłop, a niy baba, chociosz tysz kiecki nosi. Chopisko jako Berlin, kiery pośniodać se musi, a pote bez połednie to jakisikuj łobiod by sie przidoł (ło podśniodka ani nie spominej) abo fest wyłonaczono swaczyna, dyc to niom godziłoby sie ugościć farosza, pra... A tu psinco... Ani biydnego ajntopfa nie uwidzisz, pieronie! Richtig chudoba ftem zasranym Cimoku. Żodyn gospodarz nie stoi wele bramy łotwartej do korzon, nie napytuje wielybniczka, by włoz do sia, do paradowej izby, siot se, dychnoł i se powieczerso. Niy roczy keluszkem fajnistej gorzoleczki (a fto by sie łupiyroł, kej piździ na polu). Kajtam, kajtam! Przepomnij ło tym cołki! Wrota pozawiyrane, psy lotajom po placu, bojonczka cie łobieży, jak ino tam wleziesz. A jak wleziesz – dziura na rzici mosz na zicher, łoberwano sutanna i skokosz bez płot jak młody, niedychawiczny bulok. A farosz już mioł trocha roków i możne eszcze dycha nazot, by sie fechnoł i przeskoczył, ale teroski skuli tego, że był fest bachraty – już niy...

Tosz jako to my padali, borok farosz łod samiuśkiego połednia szeł łod chałpy do chałpy z kolyndom, szeł, a basior mu horczoł, pieronie, kieby z jakimi lajermonami, wsiowymi grojkami szeł, kiszki kajzerowskiego marsza mu szelontały, blamborzyło mu w basoku kej w dupnym barzoku, fkierym żur wyłonaczajom – mianujom taki garniec żurokem. – Zdom mi się, farorzyczku, że cosik furkoto genau kyj fisharmonia w naszym kościeliczku – zdało się jednej starce w łostatni chałpie skraja. A to nie była kościołowo fisharmonia, inoś bebecz wielybniczka. W inszej chałpie padali: faroszu, a czymu śpiywoce majowe, a niy kolyndy, dyc Godni Świynta latosikuj przeszyły. Szofłtys chcioł go wygonić, bo ino słyszol zicpolki, a niy pocierze, kiere farosz kcioł s sia wypedzić. Niy szło. Wdycko ino myśloł ło jodle. – Nie wiyom, cosikej mie zbamonciło – zacudoł sie. Dyc ino ło tym wichcie ftem łepie mu dudniało. Myśloł – Ponboczek, a widziol boże stworszynia na talyrzu. Ja, pożar by tera, tako gryfno gyś, abo babučka by wtrumsił, pra. Pojot by se kyj pszczyński fyrst, pojot by sie biydok. Ale se nie pojy. Bo mu kucharyja łońskiego roku wziyna i łumarła. Ponboczek jom wzion do sia, bo świyntymu Pyjtrowi żodno nie poradziała wygodzić, ino ta, Maryjka, łod farosza. No lon borok teroski łązi po tej wsi, żodyn z parafianów go nie ugości. – To richtig safraporcki prostoki som, te moi farnioki ze Ćmoka – medykowoł farosz. – Nic mu nie domy, bo to straszny prostok je tyn nasz farosz – padały se w gowie ludziska. Toż łuznoł se nasz ksiynżoszek, że neprzod na ta wieczerso musi nazbiyrać. I łąził łod chałpy



do chałpy. Kolynda to kolynda, ciepnonć muszom. Toż ciepali, wiela sie farosz nie majtnoľ. Koźdy gospodarz coś ta ciepnoľ, coś ta doľ na lepsze, a na fara skozali, że cosikej przyślom jako gadzina abo świnina. Nale łoni tak, te pamponie, faroszowi koźdy rok cosik łobiecujom. Tych łobiecków toby sie pora fur nazbiyrało. Żodno kura, kokot, liwa, ani żodno kaczyca ani babuś same na fare nie przilazły... Przyszło by na łostatku hazoki faroszowi gonić abo jako rapituźa capnonć – dyć wielybniczek niy boczoń, pra? Pryndzy by to było, jak te łobiecki. Pryndzyj byś luftnysza chycił do garca, jak sie doczoľ na to, co ci te farnioki dajom. Pierzyńsko ta fara ftem Ćmoku. Nie łaż tu po widoku, bo cie łobgodajom, łobfedrujom, łoszkwliwie łobszeredzom. A po ćmoku do rzici ci nakopiom. A farosz szeľ teroski po ćmoku. A strach tukej było łaźić łosobno. Ćmok był fest na zadupiu. I ino wiater tu fest piździľ, żodyn akuratny, richtig skłodny, człek tuby nie przyszeľ. Inoś samiuśki chachary, darymniki, rojbry, barabosze, bandurym, kradzioki, rabczyki, raubiyryze – łoni to fedrowali po cimoku, ftem Ćmoku. Łoni tamsikej hauzyrowali. Niyzawiela była granica, szmugel i handel. Tosz rzondziły szmulyryze i handlyryze. Toż było i chacharstwo, i kurestwo (a nijedyn starzik niy na bedły, inoś motyki łażik). A skuli tego geszeftu były i dudki, diobelski. I łone na fara nie szły, inoś ludziom do kapsów – ja genau, takoź było. Bo ludzie ino stego tukyż żyli, pola sie nie łopłacalo łobriobiać, a na gruba było dalekuśko i trza było piechty abo na kole zaiwaniać. Ani cuga, ani autobusa. Tosz farosz wylynkany był, bo sie fest zećmiło. Nale kapsa mioľ peľno – po kolyndzie. Musza se pojeś – uznoľ se. Dobrze, że łodprawił kapistrantów i kościelnego, skierym musioľ by sie potajlować piniondzami. A tak wszysko było łod niego. Wszysko. Toż wloz do tejtam szpotlawej gospody łu aryndorza Zefla, kery był koszereny, jakto padajom ło Żydach. Nasz faroszyk był fest zachciywny, kcioľ se pojeś, kej ksioże pszczyński. A jak co naszło farosza, to koniec – mioľ chcica kie baba w cionży. A Żyd zaroz łono wywonioľ. I sie aże łośmioľ. – Coż sie śmiejesz, gupi Żydzie, kie ci stego nic nie przidzie – myndykowoľ se w łepi farosz. – Przidzie, przidzie – łodpar w gowie Żyd i mioľ recht, bo farosz mioľ głod, i to farnoński, tak boroka morzyło. Toż zaczon łod świniny, babuśka – wzion se srogi ajsbajn z biyrem (świnina przyniosła niykoszerno słoźka, puklato Hilda). I farosz cibil ta świnina, kie jaki żrocz, i cibil, chyłtasiľ, aż zeżar coľkigo babucia. I purtoľ przy tymu se jak kajzer Wiluś (a kajzer drzystoľ kie harmata). Mniammmmm. Nale dali głodnoľ, no tosz poraczyľ się kaczycom... – Faroszu, ale wy spust mocie – kcioľ pedzieć Żyd, ale ino durch polywoľ i rachowoľ, wiela za to wszystko przidzie.... I był rod, że faroszowi fest z kapsy ubydzie. A farosz ino wcinioľ. I kie kcioľ jeszcze jedna gys żeżryć, Żyd aż sie zgrzoľ.

ŻYD (*zmartwił sie*):

Wielybny, nale bydzie szkoda, srogo szkoda.

FAROSZ:

Kaj bydzie, co to prawisz?

ŻYD:

Do tych, co jutro przidom se u mie pojeś, wielybny zjot wszysko do imyntu... Ło-stało mi ino to, co na zajrto...

FAROSZ:

Dyć jo ci richtig srogi płať dom, Żydzie farnoński. Czy jo cosikuj wzion łod cia na krycha?

ŻYD:

Recht mocie, wielybny, wy radzi nom, koszernym, dynk dowocie, niech wom Pon-bóćzek Israelski to wynagrodzi, i chlamstocie asz łuciecha sie dziwać. Dej wom Bo-zia zdrowi, nijedyn by kcioľ mieć teli spust, co wy...

FAROSZ:

Spust padosz...

ŻYD:

Dyć tyn wasz świąntobliwy zołónd snadno mo przesmolone... Jo tukyj ino ło tro-wiyniu rosprowiom... Bo wdyczki jak se pojym za fest, to mie mdli, a wy, wielybny, toście mi już całego babucia zeżarli, kaczyca, gyś i trusia, co go Truda jeszcze łoń-skiego tydnia futrowała. A jeszcze kcecie... I nic wom, pieronie, nima!

FAROSZ:

Pra, spust... Toż polyj, Judoszku, tam cosikej ino, na trowiyni!

ŻYD:

Łojezderkusie, wyboczcicie, wielybniczku, już leca... Hilda, Hilda, przyniysz tukyj tej łonej polywki łód babki Ziylorki. Fyrtu, pyrtu dziołcha... Honym goń do spiżarki!  
*Hilda leci nazot z dzbonkem i raczy farosza. Nalywo mu pełne pucharzysko.*

Żyd (*tyrkocze*):

Tosz luchnijcie se źdzybko, wielybny! Faroszu, jo sie ino starom, cosikej zajrto cho-pom dom do żarcio, kej po sumie tu przidom... Nale cosikej sie znojdzie. Hilda, leć pota baranina, coś jom wczora peklowała, a drap.

FAROSZ:

Pra, jutro Trzech Króli... Po sumie chopy tu przidom, no ja.

ŻYD:

I bydom wynokwiać, isze chaternie, richtig lichucznie dowom jim pojeś. I co mom pedzieć, że wielybny wszyjsko zeżar? Dyć w pysk bych dostał, abo cołki gasthaus by mi wyniysli na hasiok, kiebych ino cosikej na waszom świąntobliwość wypedzioł...

FAROSZ:

Mosz prawie, mój Judoszku, niy śmiymy im kozoć pościć, dyć to srogi świąnto je we Cimoku. A jakbyś im pedzioł, że jo żech wszytsko zeżar, toby ci tyn istny gasthaus podhajcowali. Tosz, chopie, srob se remamynt...

ŻYD:

A, pieronie, co to takigo?

FAROSZ:

Że niby musisz towor poschroniać i porachować, czy cie fto nie łochabił.

ŻYD:

Jezderkusie, zaroz zaczna rachować, a to drap. Hilda, Hilda, wyciongej hań drapko rachownika, robimy remamynt. Zacznymy łód jajec, neprzód łońy porachujmy.

HILDA:

Ale kury jeszcze niesom...

ŻYD:

Tosz ady sztopnom, nie byda dwa razy po próznicy rachował...

FAROSZ:

Powiyem ci cosikuj, ino polyj jeszcze...

ŻYD:

Pra, wielybny, zdrowiczko... A co mie tam, biydnymu Żydkowi, poradzicie, wie-lybny, ha?

FAROSZ:

Pyrskkk, Juuudoooszku... Dyć ranie wszechno porachujesz dicht. Ranko, Judoszku, gasthaus zawrzysz, powiysz, że rymamynt. Dyć te prostoki spod lasa, te lasoki,

te łobdrzistane łorgole, dudroki, sopenie, gnypy i grubeloki, łone nie wiedzom, co to je tyn pierzyński remamynt, pra?

Żyd (*polywo*):

Prowda prowicie, wielybny, samo prowda, czysto prowda, kie nasze cadyki, Jezderkusie, wyście som istny, możne w wos mojęszowo krew je? A możne i we familiji wielybniczka jakosikej koszerne korczoki pójdzie wysznupać, pra?

FAROSZ (*Prrrrossst! Juzaś toastuje i krzypie*):

A kajtam, kajtam! Cosikiej ci się, Judoszku, pomyłało, jo kej Pon Jezus – antlich Polok, wielki Polok... (*a Żyd dudroł do sia: Pra, masny Polok, richtig masny...*) Mie tam, dziynka Bogu, ku koszernym korczokom dalekuczno... [a małowiela je siela tych bechtoczy s IPN -u] Ale łoczym my tukej prawili... Ano, remamynt – jo na kozaniu powiyim, żeś gasthaus zawar skuli śwynta, że bezmaś żeś sie łowrócił na Krysta Pana, na nasze zawyrzyni...

ŻYD:

Łopatruj mie, Ibrahimie, jo tam kce łostać koszerne, kyj i moje łojce były... Wy bydziecie Polok, wielybny, jo kce być Żyd. Mie to styknie, jo tam nie kca być krojcowany, czy wyfyrwany, Polok abo Żyd, kapka stego eli ździybko stamtego – jo tam wola łostać Żyd, mie to richtig styknie, wielybniczku.

FAROSZ:

Nie bydź taki nabańturzony, Judoszku, nie bydź. Dyc i ty, i jo musimy być na tym padole, my som tym borokom potrzebni. Ty snich żyjesz i jo, pra, Judoszku.

ŻYD:

No, recht mocie...

FAROSZ:

Tosz, Judoszku, jotam cotam powiyim, a te prostoki wymedykujom, co to jakosikej farońsko zaraza tyn diosecki remamynt. Ty se, Judoszku, ino słonacz tyn remamynt w geszefcie i dobrze porachuj wszystko...

ŻYD:

Pra, wielybny, to sie porachujmy...

FAROSZ:

A, ryyyychtyk, dobrześ spomniół łotym, Judoszku... Dyc jo tu na faty nie przyszeł, prowda... Toż wiela przidzie, padej mi tu, ino chutko...

ŻYD:

Babuć, gyś, kaczyca, baranina wom daruja... Ta nalywka łod babki Ziylorki tyż bydzie za wasze Bóg zapłać... A reszta – no downoch wos tu nie widziół, ale dejmy nato, że mocie abonamynt. Toż dejcie dwanoście śrybrnych talarów i momy zbyte...

FAROSZ:

Ino tela, Judoszku? Dyc jo cie tu richtig wyżar... Tyś je doprawdy uczynliwy i szczyry czowiek, chociesz mosz koszerne duszyczka. I łoboczcie inoś – żoden z mojih farońskich farnioków, tych pierzyńskich ciućmoków z Cimoka, mie tak nie ugościł jako ty, złoty Judoszku...

ŻYD:

Wielybny, wy mi tu richtig marketing robicie. Jak wy tu przydziecie, inne krześcijańskie duszontka też tu trefiom...

FAROSZ:

Dej Panie Boże.

*I rachujom. Roz, dwa... trzy... sztyry piykne strzybne talary... Piyńć strzybników błysknyło przy świyczkach. Potem siedym... dziewiyńć – kupka rośnie. Dziesiyńć*

– farsz sznupie sie po kapsach. Jedynoscie – łogłondo brewiorz, ale tu nic nima. Zaś sie sznupie po kapsach, a nawet po kapsiczkach. Psinco. Ino dziura, dziurka w jednej, bo nimo jich fto zaflostrować. Pra, gospodyni wziyna i sie łońskiego roku pominyła. Pietrowi teroski flikuje i warzy. Farsz sznupie dali w kapsach. Żyd spoziyro. Farsz dziwo sie ku wyrchu, ku świyntymu Pyjtrowi. A świynty Pyjter mo łuciecha – bo downo ni mioł taki zgrajfki. Farsz sie migo i nie chce płacić – medytyruje Żyd.

ŻYD:

Łojejej, wielybniczku, cosikej tukyj chybi...

FAROSZ:

Poczkej, poczkej... To je moji kolyndowe... Koždy gospodarz, co mioł do korzon wrote łotwarte, ciepnoł po talarze...

ŻYD:

Tosz jedynostu...

FAROSZ:

Komorników nie rachuja, łoni psinco ciepion, jeszcze by kcieli...

ŻYD:

Dwanosty talarek by sie prosił z kapsy wielybnego wyłyż.

FAROSZ:

Poczkej, Judoszku, poczkej... Nie chatruś sie tu zy mnom, to wyście wydali Pon Krystusa za dwanoście strzybników, pra... A jo ci to wróca, te dwanoście, inoś niy srybrników, a talarów, i bydiesz fest do przodku... Tosz sie nie starej... Katać jo wraził tyn strzybniocek, jertzinie... Pieronie, dyc jo łu babki Ziylorki po kolyndzie nie szel... A łona boroka na mie czeko...

*I Farsz ani nie czekoł, co mu Żyd powiy, ino pooleeecioooł... A Żyd ino łotwar gymba...*

FAROSZ:

Doczkej, Judoszku, doczkej, zaros przida stym dwunostym, dyc jo nic na krycha łu cia nie biera.

*Żyd ino stanoł w progu gasthausu, wele niego słożka Hilda.*

– Faroński dziurdzioch stego wielybniczka, jo sie nie dziwuja parafiokom z Cimoka, że takigo wysranego faroszyka majom w samej rzici – nadowoł se w gowie Judoszek.

FAROSZ (*padoł do sia, kej szel czestom*):

To skuli tego, żech sie tak sorońsko przeżar, musioł mi Judoszek cosikej hań dosuć... Dyc jo tam nigdy żech tela nie wcinol, zawdy inoś jakisikej bździnki – kosek kurzi-ny, konselek świniny, końszczyczek trusie, kraiczek gysinki, szkyrtek kaczyce, śli-zyczek szkopiny [skuli tego, że capi], farfocel z ubitego cielonka [misyso s cielika je srogo wert], abo cicirindel hazoka... Pra, spust mom, nale żebych aże tela naros ze-żar? Niymożebno... Moźne mi babka Ziylorka cosi poradzi...

*I poszeł farsz na Beboki.*

## II

Wielybniczek niczego sie nie lynko. Nawet Beboków. Toż lezie hań ku chałpie babki Ziylorki.

Beboki, tak sie mianowało ta dziedzina kole lasa. Neprzód szło sie bez taki prze-zińsko dupne barzoły, potym Piekielnik, taki stówek festelny, no a dali była jyno Zapadź, hań za Piekielnikiem. Tam żoden nie szel, cheba ze go beboki hań posmy-kały – nale to sie musioł chop fest uchlastać. We Cimoku to był hyrski ludek, kiery pożywoł richtig po krześcijańsku – i nie doł byś se pedzieć, że to były same chajoki,

bizoki, robry, gizdy, breweryjoki, lagramyntniki i łoszklawe andrusy. Tosz nie dziwota, że sie nie dowali dioblikom, piekielnikom, łutopcom, kiere hazukowały kole Beboków, kajsikuj kole telowecznego Piekielnika, kaj kwatyrowała babka Ziyorka. Łona genau wszechno poradziła. I na krowa, co mlyka nie dowala, i na chopa, kiery był farnoško deptuła i bzdykocz w łóžku – babka porzykała, pofulczala, pofaroniła, poheksowała i majchnyła krykom bez luft, kieby cosik wyganiała. I dopomogło. Conieftoro haduła miała za tela mlyka, a s chopa wyłonaczył sie istny ciecioszek. Coniyftory dostoł takigo cugu, że farosz z krzcunami nie poradzioł nastykać. Łońskigo roku trefiła sie somsiadowi, farnońskimu ochlapusowi, pionto pora cwilingów – a to skuli tego, isz jego baba za fest sie nafilewała medycynami babki Ziyorki – a boczoń zaś se nie doł pozor... I niy jyno hań – łon furgoł po wszelich chałpach ftem Cimoku, a farosz fluchcił se po cichu, bo nie wiedzioł, jak przepedzić ludziom, coby sie tak fest niy łonaczyli... – Mono ło robocie na pańskim abo farskim, dyc żysz je snamno, że zmorzony niy ło kulaniu, nale ło spaniu – medykowoł se wilybny. A stego kulanio som ino młode lasoki... Jakosikej nieskładno sie to wilybnymu zdowało. Niy dziwota, że kcioł sie poradzić babki Ziyorki – bo prawić to prawić roztomajte egzorty, ale to prozno godka szła stej kozatelnicy – a farnioki se ino luft robiły stego faroszyczkowego szkamranio, dudranio, mamranio i myndzynio. Ksijnoszek stroszył cimoków czachmonem, ancyzoszem, pieklorzem, smoluchem, rogoczem, łogoniorzem – nale łoni diobła w żodyn roz sie nie boli. Straszyl boroków kajzerem – że płaty, sztajery moc dźwignom – padali, że cysorz jejich Cimok mo w rzici, że łon bali niy wiy kaj to je. I mieli recht. Nawet ksioże pszczyński, co to gonił za żubrami po lasach, i jego pruski byamtry, co to koždy kont lasa mieli łobcyrkłowany i naszkryflany, a koždy pniok porachowany, tracili sie kole tego zasranego Cimoka. Slyszezi ło tej dziedzinie, jeżdżili kole ni, nale nikaj hań nie trefili (padały starzyki, że przyndzy Wilijo w maju trefi, a niy jakisikuj biuralisty do Cimoka). Prawili tysz starzy ludzie ze Cimoka, że to babka Ziyorka jich łopatruje łode zgłoby. Farosz trocha sie gorszył skuli tego, ale babce przoł, bo coby nie pedzić, babka do kościoła wdycyki łaziła, rada rzykała, piykanie śpiywała, aji kie łorganista zaboczył se grać i drzymoł przy fisharmonii – łona czuwała. I kie faroszowi sie zdowało, że łonego też śpionczek biere, kie tak skwoloł to Modre Królestwo, jaki to je fajnistie i zaroski przidzie do Cimoka, babka Ziyorka niy, łona niy spała, ino dowala pozor – a kie farosz skończył, a łorganista – tyn farnoński drzimoła – miol maślane ślypka (bo sie mu śniło zymski niybo, to przy babie), tosz wtynczos śpiywała kej jako diwa. I cucila inszych, kierzy posnyli, jak farosz łosprowioł ło Modrym Królestwie. A jim barzi farosz godoł, straszyl, rzykoł – tym barzi łoni ślepali gorzoła, grzyszyli wiela wlezie, klyni na całego, chacharzyli, raubowali (tosz tymu cudzi mianowali Cimoki Kradziejowem), łonaczyli sie (teroski padajom, że to sprowny czyn je). I durch farosz nie wiedzioł, czamu te prostoki z lasa go smolom. I zaczon sie boć, bo wyczul, że cosikej tukyj je grane. Cosikej tu wonio, cosikej czornego, strzapatego... A im feścij świyncił lasoków dupnym kropoczem, kery z Rzymu przywios, tym chutnie sie lynkoł... I boł sie teroski, kej szeł bez te barzoły, na te Beboki, kaj miyszkała babka Ziyorka. I sie cosikej dyrgotoł. Nale nie wiedzioł skuli czego. Zaczon bodej rzykać pocyrze – a robił to naprowda downucznie. Tosz rzykoł – tak richtig ofyn. I som sie udziwił, iże to durś poradzioł. Pieronie, pomedykowoł se farosz, dyc jo ino zaklupia do babki, przeżegnom jom i popytom ło tych dzieckach, co sie plongnom kej

hazoki abo trusie (a padajom, że jak zatela dziecek sie narodzi, bydzie wojna!). Wezna kolyndowe i drapko do Judoszka, kiery na mie hań czeko.  
W chałpie łu babki sie świyciło, dźwyrzi były łotwarte do korzon. Farosz zaklupoł i wloz. Przy stole siedziała babka Ziyorka.

FAROSZ:

Dej, Ponboczku, pokoj tej chałpie i wszyskim kwatyrnikom, kierzi samtukyj hau-serujom!

BABKA ZIYLORKA:

A witejcie, faroszu, witejcie, a przydo sie tyn spokój, przydo, koźdymu fto tu cyl-nie... A przydo...

FAROSZ:

A co to prawicie, dyć żeście tu sami...

BABKA:

A niyprowda, nos tukyj je horma...

FAROSZ:

Drzymaliście, cosikej sie wom śniło... A teroski wom sie cosikej zdo...

BABKA:

Psinco mie straszy, wielybniczku, psinco. Czeakałach na vos z wieczersom i żech usnyła. A śnik żech miała ło vos, faroszczyzku, żeście mieli farnoński głód, skoro samego diobła z kopytami kcieliście ruk cuk wpucować... Telki dziwy...

FAROSZ:

Dziwoczne. Padocie, żech boł głodny. Pra, byłech – nikaj mi pojeś nie dali, nie ługościli. Kie jakigo kiepa przyjmowali, te moji parafiany, lasoki jedne posmolone. Prostoki...

BABKA:

Łoj, faroszu, faroszu, przyhaltujcie trocha godka... Stopnijcie, wyście tysz świyn-  
ci nie som...

FAROSZ:

Babko, rod vos widza i wom przaja, pra... Nale to jo je farosz, a niy wy, i to sie no-  
leży, coby łoni mie suchali. Łoni winni być spolygliwi, dyć jo je dlo nich kej łojciec,  
kiery jich kludzi ku wyrchu.

BABKA:

Faroszu, godaniym ło dudkach i cysorzcu, jaki łon dobry – choć na wojna i zatra-  
cyni ludzi posyło i skóra śnich dre – politykowaniym tych ludzi ku świyntymu nie  
poradzicie zakludzić.

FAROSZ:

Łoni majom rzykać i mie suchać...

BABKA:

I co, suchajom, faroszu, suchajom vos te pierzyński lasoki?

FAROSZ:

No niy, nie suchajom...

BABKA:

Po jakimu, faroszu, vos nie suchajom?

Farosz mioł richtig zożyra stemi lasokami ze Cimoka.

FAROSZ:

A fto to wiy, babko. Świynty żech tesz nima, pra. Ale łoni, to richtig grzeszom i jak  
nie bydom mie suchać, do piekła przidom.

BABKA:

Łoni, faroszu, z waszej godki luft se robiom. A piekło je samtukyj po blisku, zaros wele Piekienika, trza inoś na Zapadź trefić, nale łoni, te proste lasoki, jako to prawicie, łoni tam po dobroci nie łożom. Cheba że jich cosikej posmyko. To je co inzego. Łoni wiedzom, jak żyć – i wiedzom to lepi łod vos, faroszu.

FAROSZ:

Niy gymbujcie, babko, łosobie świyntobliwej...

BABKA:

A wiele s vos s tego ducha łostało, faroszyku?

FAROSZ:

Co to prawicie?

BABKA:

Kieście byli młodniok, a ze zwanzig roków tymu nazad, kieście z Rzymu tukyj przysli, a miarkuja tymu dicht, blickało łod vos, wielybniczku, choby łod świynto tego, diobły sie vos lynkały, a citały, hibały, śmiatały, skoro sie kurzyło, a ludziska sie wom kłoniałi. Czornawa żeście toć žysz wdycki zegnali, stykło inoście chycili brewiorz i porzykali...

FAROSZ:

Ja, prowda, przeganiotech. Betoż tukyj nikyj niy strziżło krupami, tukyj nikyj łobiyli niy było powalone... Kajindy to zwoniom skuli telki sumeryjo, nale nasze farnioki nie łumiom sprawić ledy jaki sygnaturki na nasz kościółek...

BABKA:

Kyj tukej chudobno dziedzina, wielybniczku, je. Dyc łu nos sie tak kraje, jako materiału staje, a niy na odwyrтка. A wy co? Ino ło dutkach...

FAROSZ:

Plot na cmyntorzu sie sypie, zima mom na farze, żywia sie u Żyda, baby na farze ni-mom, co wy jeszcze kcecie?

BABKA:

Cobyście ło pijondzach i cysorzu, i ło tej łusmolonej polityce latosi tyła nie prawili. Łostowcie to co cysarski – cysorzowi, wyście, faroszu, som łod Ponboczka, i ło-nim ino mocie prawić...

Farosz (*łusmiół sie*):

Ło pierzynie, babko, aleście mie łobsztorcowali, łobjechaliście mie jak świynty Mi-choł diobła... No ja, nale prowda padocie... Ale pamiyntejcie – inacy byście godali, kiebyście kajindy siedzieli.

BABKA:

A kie tak narzekocie, faroszu, kie wom tak ciyszko ftem żywobycie ziymskim, to po-wydzcie jyno drapko, kerym stworzynim byście kcieli łostać?

FAROSZ:

Hmmm... Wiyecie, babko, ptokem to niy, nie kca być, bo jo mom bojonczka, lynkom sie, że śleca z samiuśkiego modrego wierchu, pieronie... Zwieligucznym kie giyrafa tysz niyskładno być, bo do kościoła by nie szło wlyż bez dźwyrza. Mono kocikiem? Pra, kocik – tyn borok zaś musi gonić, i richtig sie bydok festelnie naloto, podwi-el cosik sie mu trefi, jako mysza, i dej, Ponbóczku, coby było masno, bo wiela taki bo-rok kocik wdycki musi wtranzolić telkich szpiterloków, coby łużyć i mieć druk...

BABKA:

Cheba że go na farze trzymiom...

FAROSZ:

Babiczko! Kajtam, kajtam, farmazonicie farnońsko! Kucharyja s fary, jakech to jusz wom erklerowoł, wzion jom świynty Pyjter! Dyc załońskigo tydnia tyn Murcek, ło kierzom tukyj rosprowiomy, wykitowoł, boć inoś telki kyrcek sniego łoštoł...

BABKA:

A ło wos tego pedzieć nie idzie, faroszczku, pra... Wyście nie som podani do tego kyrcka-kociczka. Pryndzy do tego masnego kocika, co mu przoła na farze, ta łona, wasza kucharyjo...

FAROSZ:

Jaki pon, łonaki krom. Dyc, babko, jak je płony gospodarz, to lichu gospodarzy.

BABKA:

Tosz cosz narzekocie, wy – farosze, wielybniczki, ksiyżoszki, biskupy i inksze, czego wom nie styko, pierucha – inoś władzy i dutków byście kcieli, kaj jyny sie do, coroz wyincyj i wyincyj, przepadzite, pierzińskie basetłoki jedne!

FAROSZ:

Babko, coż sie ciepiecie jako sagi w pokrziwach... Som żeście zwiedowni, kerym go-wydnikiem kciołbych łoścac? Niy, yno niy tom łonom łusmolonom rapituzom, boby mie boczoń mog zeźrić abo ftośikej roztrajać na dorniku, pieronie... Roztoboże! Jo isto blyndza, śnia ło te, by sie takož pominić w babučka, takigo pyrtka. Ciapłoł bych sie rod w ciaplycie. Futer by mi nosili. Mie by tyła stykło, jo tam nima przepadzity... A żyłbych se w chlywiku, kie kajzer na zomku. I miołbych wszechno kole kryncno-go łogona. Cało ta chwanciato parafia, wysranych Cimoków, Beboków i inszych...

*Babka chnedtka boła cichuško. I padała:*

BABKA:

Faroszu, mom coś do wos. Pokoża wom kamracto, kiere bydzie wom rade przoć, a łono se chutnie pokwiyńczy s wami ło cołkim świoicie. Do kupy bydziecie se mogli bromblować i jamrać, wiela inoś kcecie... I zakludziła Babka Farosza do chly-wika. Farosz, jak łooczył jedyności fajnistych fryśłoków, festelnie sie polachol.

FAROSZ:

Tosz tych kompanów żeście kcieli mi babko pokożać...

*I zaczon podrzyźniać babučki: Kwiii, kwiii, kwiii...*

BABKA:

Możecie sie nabadać ku nim – łone som gryfne świnki, a wy farnońsko masny babuć...

*Farosza aż zatkało...*

BABKA:

Ludzie świniom swojoki, a krewnioki sie wzajemnie sjodajom. I wy, mondry wie-lybniczku, tego niy wycieć?

*Farosz zawar dziób, nie śmioł babce odpedzić. Świnine rod zmaszkecił, nale durś nie wiedziol, łoćo babce sie rozchodzi.*

BABKA:

Wycie fto to je Paterples?

*Farosz nie znoł chopa, a dyc wszyjskich farnioków s Cimoka mioł aku-ratnie porachowanych kej Żyd Judoszek strzybnioki.*

BABKA:

To je fater łod nos wszyjskich, stworoków i lasoków, łon sie ło nos staro, łon nos ło-patruje. Bali wos, faroszczku, łon wom i hań tytmam babućkom jednako przaje. Wszyskim nom jednako przaje. Bo łon je nasz beglajter.



FAROSZ:

Babiczko, wyście sie pierońsko chachnyli, richtig sie wom fyrlo ftej łepie (*i ryczy*):  
Wy mi cheba ło Ponboczku kcecie prawić, pra?

BABKA:

Niy, niy, wielybniczku, to jo wiym. Moźne jo je podano na jakigo ciepiela cielemek-  
kigo, abo inszego ćmiyla, fimela, ciubaryka, ćmoka, pitucha, chaberloka... Moźne-  
ście tak uznali, boch je blank sino, głacato i cało mom zgrziby i foudy... Nale mie,  
farioszyczku, żurem nie kcili, niy... Teroski prawia wom ło Paterplesie, nale kiego  
nie znocie – to poznocie. Mianujom go tysz Czornybon, a to cheba wyście, to je in-  
akszy „Czorny Pon”. A cósż tak wyblyszczocie łożka, kie rapitouza? Kieście już tu-  
kyj przyśli, pieronie, to sie musicie snim skamracić. Łon zjot wasza wieczerso, boście  
sie fest zasiedzieli łu tego Żyda. A czekoł na wos, bo se kcioł s wami porosprowiać.  
Dyć wyście som richtig mondrok, pra?

*Farosza zatkało.*

# KOLYNDY II

**Grzegorz Sztoler**

*Cima ftem Ćmoku, lepi tu łazić za widoku. Nale farosz spomniol se (kej powieczerzol tu Żyda Judoszka), że nie wzion kolyndowego łod babki Ziyłorki. Tosz trefił hań, nale skuli łonego diosecki dziwowiska sie mu trefiajom...*

## I

*W chlywiku przitrefiajom sie roztoliczne dziwulki, niy ino gryfne babučki. Farosz wloz do chlywika. A tam ku starzykowi łašlo się sześć kormików. Chumkały, ciapkały, a stary im łodpowiadol. Stary miol kryka powyginano kie łostatni haszpel. Łachy s niego swisały ušlimdranymi farfoclami. Kudły miol ziyłono-modre, a ślypia wybałuszone genau kej rapitouza. Gympa plakato, cylinder kie gryfny muzykant, nale fest wychamrany.*

BABKA:

To je nasz rychtyczny fater. Łojciec wszyjskiego i wszyjskich. Paterples, beglajter wszyjskich stworoków – łutopców, topielic, poędnic, chabernic, nocnic, strzyg, łotawic, srolów, gizdów, pokutników, jaroszków, światli i inszych. Łon boł tukyj zowdy i wdycki bydzie. Łon je wszandy, łon wszyjsko zmiarkuje. Łon je rychtyk dobry, faroszyczku.

FAROSZ (*ino sie przeżegnoł*):

Żodyn niy je dobry inoś som Ponboczek, fto pado inacy, łoszkliwie cygani...

PATERPLES:

Tosz wy, wielebny, tysz cyganie, pra. Stawiocie sie za przykład, samochwolicie – a te roski co sie łokazuje, żeście ludzi czachmarzyli? Fto wyście som, farosz abo machlyrz?

*Na łonaki dictum farosz zawar dziób. A Pater zaś się schylił ku kormikom. I spytał sie farosza:*

PATERPLES:

Powiydzcie, wielebniczku, kogo abo co tu widzicie?

*Farosz rod, że tyn diosecki stworok łonego honoruje, wypedziol:*

FAROSZ:

Dyć gryfne babučki tu sie cioplajom fta chlewiku. Piykne golona s nich bydom, chutne szpyrki, krupniki, żymloki, werflajsze, byle ino bydom mieć dobry futer i luft do lotanio po placu.

PATERPLES:

Faroszu, wy ino jedzynie widzicie. A dyć to stworzyni boże, pra? Dyć to dzieła boże lotajom fte chlewiku, pra?

FAROSZ (*juzaś łoniymioł*):

Ano, nale to Ponboczek łone stworzył, coby sługowały czowiekowi, pra?

PATERPLES:

A jo wom powiyw, że wy widzicie ino jodło, a Bibliom przykrywocie swoja niewiedza. Bo to nie som ajnfachowe babučki...

FAROSZ:

Cheba dobrze widza, Pater, żodnego inszego zwiyrzoka krom łonego, kiere kryn-ci łogonym, macho raciczkami, a ruszo szwarznym ryłkiem, żodnego inszego zwiy-rzoka tukyj nima. A to co widza, skazuje iże to łono, tyn zwiyrzok, to rychtyk musi być świnią, a niy krowa, niy żuber i niy koń. Katać wy mie mocie za jakiego łonego ciepieloka, ćućmoka abo inszeka gupieloka? Wy mie tu za błozna nie róbcie, Pater, jo tu nie przszeł na gupoty, inoś po kolyndzie!

PATERPLES:

Ksiyżoszku, nie gorscie się... Żdziyko se fi-lo-zo-fu-ja... No skim se mom pokla-chać, powiydzcie. Babka mi jeś łuwarzy, pieronie – to co wom naszykowała, było faj-niste, nale wyście sie tam łu Żyda fest zdziordali... Prostokom z Cimoka, jako mia-nujecie, tych lasoków, te łowieczki swoji, ani wy jim nie poradzicie wytłuplikować wszyjskiego. Sami dobrze wiycie – godocie, godocie co niedziela stej kozatelnicy, co majom robić, a łoni co se stego luft robiom... No, powiydzcie sami...

FAROSZ:

No rech mocie, starzyku, recht... Można se samtukyj porosprowiomy, kej wyłuczone i kulturalne czowieki... Eeee, my, pater, niy do tych prostoków som stworszyni, pra...

PATERPLES:

Tosz, faroszu, ino sfami śmia se porosprowiać... Tosz podziwejcie sie na te świni-ki, jaki gryfne... Wiycie, iże takimu zwiyrzowi je doprowdy po blisku do czowie-ka? I to niy ino skuli natury...

FAROSZ:

Wiy, wiy, jak se chop wypije, chronko kej taki kormik, baba na niego labiydzi, że sie jako babuć sprawuje, iże wyglondo, kieby sie cioproł w ciaplycie...

PATERPLES:

Ja, ale jo wom powiyw cosik innego – świni nojbliżyj do czowieka, bliżyj niż do afy...

FAROSZ:

Tfu, co to prawicie starzyku, aboście se cosikej wyduldali...

PATERPLES (*łonaczy lulka przy dźwirykach chlywika*):

A rychtyk, skleroza mie dopadła. A zdrowiczko, faroszu...

*I ledwo to wypedioł, w łufcie ukozały sie dwa bechery z dobrom gorzołom.*

FAROSZ:

Pieronie, to swos dupny cauberman je, pater... Niydobre, diosecki siły bez wos go-dajom, he...

PATERPLES:

Diosecki, wiyrchni, dobre, złe – teroski wszyjsko sie miysz, faroszczku, i durś nie idzie wyłonaczyć, co skuli tego wylezie na łostatku...

FAROSZ:

Toż co je dobre, a co je złe wedle wos, pater...

PATERPLES:

Tego niy idzie tak snadnie wyłonaczyć, faroszu. Czy świnią je zło, abo dobro? Skoż-cie sami...

FAROSZ:

Dobro, bo każde dzieło Boże je dobre z natury...

PATERPLES:

A widzicie, a Żydz widzom to inac. Że świnią je nieczysto, niekoszerno, że dioboł w ni siedzi. Kie w człeku.

FAROSZ:

Koszerne prawiom tak, żeby mieć ino interes pełny, kapsa nabito...

PATERPLES:

Świnia i ftym je podano czowiekowi, że mo tuplowano natura – je dobro i zło, czysto i nieczysto naros, genau kej człowiek... Zdrowiczko, faroszu...

FAROSZ:

Kcieliście pedzieć – nasze i babuńców.

PATERPLES:

Dyć to nasza familijo, faroszu...

FAROSZ:

Starzyku, był już taki jedyn, kiery padół, że czowiek i afa to swojoki. Łuznali wszyscy, że łonego cheba ta afa epla, kej tak smoli... Dyć Adam nie łąził po gojach, pieronie...

PATERPLES:

Darwinowi dejcie pokój. Zajmnijcie sie lepi tymi waszymi afami s lasa...

FAROSZ:

Ha, ha, mocie recht, dobrzeście pedzieli...

PATERPLES:

Ale wy tak rychtyk se medykujecie, faroszu, a jo czytom ino to, co kcecie wypedzieć...

FAROSZ:

Rzykom za te afy, coby ta łona inteligencyjo ku nim przijszła, pater. Coby sie tak nie smoliła, toć ta czesta ku tym afom cosikej je dalekuško. Tosz cosz mom robić – inoś rzykom i czekom...

PATERPLES:

Darwin by sie nie doczkoł na to, coby afy miarkowanie nabrały.

FAROSZ:

Bo pieron nie rzykoł, łon był farnoński ancyryst...

PATERPLES:

Nie napasowujcie, faroszu, tyj coli drugim, bo łoni i wos niom łobcyrkujom. Pewnikiyim wy rzykocie szczyrze do Ponboczka?

FAROSZ:

Barzi szczyrze niż wy do diobła...

PATERPLES:

A to sie porobiło. Zaros mie bydziecie ciompić kropoczem ze świnyconom wodziczkom? Faroszu, wypijcie se, nawet silnik potrzebuje luzu.

FAROSZ:

A co to takiego, tyn silnik?

PATERPLES:

Pieronie, za daleko, prrrr... curik, nazot – i tak tego łonego niy spokopicie, faroszu. I tak byście to łod diobłów zwyzywali. To sie jeszcze w waszych czasach nie pokozalo. Nawet tego nie pojmiycie, że miyso świni i miyso ludzi gynytycznie je podane do sia...

FAROSZ:

Fanzoliz mi tu, chopie, jakejsimi ausdrukami, godej do rzeczy.

PATERPLES:

Powiyom wom to tako, kej wcinocie świnia, to choby brata... Abo lepi – kuzyna byście paplali. Dyć łon je przynależy do waszej familie... Tosz tymu babuń czowiekowi je swojok, przociel. Nale wy, łuczone, ło tym nie wiycie...

FAROSZ:

Tfu, siło nieczysto, co to prawisz, luterski nasiyni...

PATERPLES:

Ha, Luter akurat samtukuj je niy na miyjscu, łon kcioł wom sprownie wszyjsko zrychtować, dyć inoś wasza hyrskość wos fest potajlowała i skuli tego zgorszyni, zwadzby, rozłam i wojny były, skuli tego, a niy skuli Ponboczka czy diobła. Dyć wy mocie, pierucha, wolno wolo i robicie, co kcecie. Do tego Bogu i Diobłu psinco. I wy, łuczony w piśmie, tego nie wiycie – faroszuuuuu!!!

FAROSZ:

Zaroz se stond pońda, bo widza, zech na rychtyk pofyrtanego trefił. Sakremyncki pomylenieć, dziód łodpustowy.

PATERPLES:

To wy bez ta wasza hyrskość ta wiara szpetnieście ściorali. Niy, my stworoki rostomajte – jaroszki, lotawce, łutopce, strzygi abo hekсы... My inoś na pożytek boży tukyj som. My sam tukyj wachujemy, cobyście łonego świoća nie schacharzyli na łostatek. Coby cosikej łostało na zaś, dło potomnych. Keby puszcza, stawy, stowiki, barzoły, rzeki, jeziora, łonki dali były i nos futrowały. My żodnemu nie łubliżymy, a wszyjskich łopatrujemy łode złego, co sie mianuje, iże wdycyć łod wos – łudzi.

FAROSZ:

W imie Łojca...

PATERPLES:

Wylybny, ty som nie trufosz, fto co godosz tym prostokom. Tyś nie je świenty i mosz – coby tukyj niy łuchybić tym łonym gryfnym fryśłokom – natura świńsko. Hań tukyj som wasze bratrzyki...

FAROSZ:

Prawisz kej świynty Franciszek... A dioboł s ciał wyłazi.

PATERPLES:

Wylybny, te sześ gryfnych świnek mianuje sie tako: ta z długim rykiem to superbia (to znocie, to pycha z polskigo – po naszymu hyrskość), avaritia (skąpstwo – eli ftoś je chamiaty) – mo piegi na rzici kole krynciołka, luxuria (szykowno, to zbytek po polsku, a po naszymu to je rychtyk szumno dobrotā) je nojłokroglyjszo i fest leniwo, invidia (zazdrość, zawiść) – tej to źle z łoczū patrzy, ira (gniew, zgorszynie) – tej ino harmider na gowie, ciągle inoś kwiczy, acedia (lenistwo, darybactwo) mo wszyjsko genau w rzici...

FAROSZ:

Dyć to, pater, dyć to som grzechy główne te miana... To je świyntokradztwo.

PATERPLES:

Niy, faroszu, to je uwoźne gospodarzynie. Co po takich świni w piekle – dyć cheba nie wierzycie, że to świniā! Przeca ta hańtukyj, to je superbia – jako zech padoł, to je wdycyć jak fto sie za fest asi – dyć to wy to sami nojlepi wiycie, pra.

FAROSZ:

Niy śmiyć mie tukyj dykturować kej bajtłowi, pierona kandego, diosecki dziadzie jedyn...

PATERPLES:

Faroszczku! Nale, że to je cysorz, tyn masny babuć, to wom nie przijszłō na idyjo, pra?

FAROSZ:

Cysorz? Dyć łon downo borok niy dycho...

PATERPLES:

Nale tyn młody, szwarny kajzerk durś dycho i eszcze duguczno pożyje. Jo wom er-  
kleruja ło tym łonym purcie, grzondzielu podrzistanym, kiery na wojna posłoł tyła  
naszych synków... Po pierona? Na kanonfuter... Wiedziół, że jich szpetnie roztyr-  
chajom harmatni kule... Ale łoni śli prać sie za kajzera und Heimat naturlich – pra,  
faroszczyku. A czamu? Bo łon tak kcioł. Pra, kajzer – pedziół masnymu babučko-  
wi, kery rod mu zachrumkoł.

PATERPLES:

Ty tam mi sie tukyj nie podlizuj, chachorku, ździybko cie podfutrujemy, coby boł  
z cia taki festelny kormny wyposek i pojdziesz drap do masorza.... ani sie obej-  
rzysz, pieronku.

*Wylynkano superbia skycrzyła se łep, łogon, zakwiyńczała  
niiherskoniharaśno i festelnie skukała sie w koncie.*

FAROSZ:

Jezderkusie, co wy tu za hekse wyrobicie i skisz czego? Skuli łoonego, pra? Czor-  
ny diosek wom przaje, dziadzie łoszklivy?

PATERPLES:

Eeetam, zaros to waszo pofyrtano godka ło tym piekle. Faroszczyku, żodyn wom  
fio niy zwierzy! Dyć to sie już nie przedo. Wom sie faroszu przido szkolyjni stej ło-  
nej, inoś se spomna, ja – stej komunikacji społecznej i... tym łonym, no – zarzon-  
dzanim zasobami ludzkimi... Tfu, pieronie, lynzyk idzie połomać, nale sie wom to  
przido, wielebniczku.

FAROSZ:

Pociskocie mi tu fleki... Ida do dom, bo mi zegarek wancki ciśnie... Zasiedziółech  
sie samtukyj, pierucha...

PATERPLES:

Doczkejcie inoś, wol niy wol to sie i wos sie tyko. Dyć faroszu, katać taki farnoński  
grzysznik mo gnić w piekle, abo hań kajsikuj je fyjgerfojer, niech bydzie sniego uży-  
tek tukyj na zymi, pra?

FAROSZ:

Abo wy mocie taki znajomości, że takich pieklorzów skludzocie? Toście som rych-  
tyk pierońszczok...

PATERPLES:

Ha, faroszu, my samtukej sroguczne eksperymynta łonaczmy, stych pieklorzy, stych  
sześcich bydzie wielki cichtowani, łobejrzycie. Bydom sie nom babučki, piekielniocz-  
ki jedne gryfne, bydom sie nom fest plynynoń, jeeerooonie... Pra, momy sześ ba-  
bućków, nale niy styko nom inoś jednego, duuugo my łonego chledali, duuugo...

FAROSZ:

Wiy, nima gula, obzarstwa...

PATERPLES:

Niy, niy, faroszu, już je...

*I Pater dziwo się na Farosza. Farosz dziwo się na Patra, potem na  
świnki. Pote jużaś na Patra. I naroz fest zlichnoł i klapnoł na rzić.*

FAROSZ:

Ponbóczku, niy, czemu jo...

PATERPLES:

Tyś je perfek t kondydot, durś niynażrany, wdycki ci mało, mało piniyndzy, mało władzy, mało żarcio. Dyc żeś Żydka do zola łobzar...

FAROSZ:

Co ci stego przidzie, Pater, co ci stego przidzie?

PATERPLES:

Mie? Psinco. Nale babeczce ja, powielgszymy hodowla, z siydmiu do siedymdzie-siyńciu siydmiu babuńców, pra. A wasz grzych, faroszyczku, bydzie mioł eszcze szejś wersyi, jednako kej koždy ze srogich grzychów.

FAROSZ:

Ponboczek ci wróci ta moja krziwda, diosecki dziodzie jedyn...

PATERPLES:

Momy licencyja z łobu stron. Tyś se żywot wybroł, my ino dowomy ci jeszcze je-dyn welunek.

FAROSZ:

Bezmaś skuli mojih grzychów, pra?

PATERPLES:

Jak cie skłodnie spaszom, to radzi cie słonaczom... Dyc ta świna lu Żyda to żeś rod zmaszkecił, pra? Nie podpadło ci, że łon to serwuje? Łon tysz nawynokwiół, pieronie – bo zeżgoł piesa łod babki skisz tego, że mu gadzina zamorzył. Mało że go ubił, to eszcze przelonaczył w gasthausie na łowiynzina (*treřilo na miastowych*) – tosz za kora musi rychtować babuńki, chociesz dlo niego to je fest łoszklive. Nale to je dlo niego pokuta...

FAROSZ:

Jeronie, rychtyk, czymu mie tak zamuliło...

PATERPLES:

Nie starej się nadarymno, nie kwilej. I tak trefisz na bachratego abo piniynżyte-go klijynta.

*Łoroz farosz kcioł eszcze cosikej pedzieć, zagymbować, postraszcować łonego – nale darymnie. Inoś zachronkoł, ino tela... I wziny go festelno drzymota.*

*I śniło się faroszowi, że se leży na szeslongu, kie kśioże pszczyński. I je fest lyyyyniwy, nyy kce sie łonami ani kapka sztartnońć, ani sie zwyrtnońć na drugi bok, a wdycki inoś miarkuje ło kuscie, a ło tintaniu gorzoły. I talyrze z jodłem samiuški ku niymu przyfurgujom... Kejgo inoś suszy abo mo łobmyślonek łota, zaroski ftośikej przysmyczy łonamu farnońsko festelny zajdel biyra. I zdało sie mu, że je wożny na tej farze kej som szejk z Dubaju, jezderkusie... Psinco sie mu kce, ani łodprawiać, ani rzykać... Inoś jeś, durś jeś... Co jo godom – żrać.*

*I naros słysz y głoś. Dyc to tyn dziaduszek, Paterples, co łon to prawi?*

PATERPLES:

Widzicie, faroszu, to je grzych nad grzychy, wyście rychtyk som istny zeżroł...

*Farosz kcioł sia tamu przeciwić, nale ani łonego sia mu niy kciało wyłonaczyć.*

PATERPLES:

Pra, faroszu, teroski łogarnio vos darybactwo... Nic sie wom nie kce. A to je jedyn z łonych srogich grzychów. Żdziybko vos, faroszu, przymuliło, nale to je przidajne, kyj eszcze coś wom musza pedzieć. Wy se myślicie, że to wy dobrze robicie światu i ludziom. Niyprawda. Wy poniżocie tych boroków. Kożecie im sie boć dio-bła, Boga, janiółów, wszyjskich świyntych, a najbarzi vos, zocnych faroszów. Dyc

samiście czorni, a przed czornymi ludzi straszycie! Byleby ino rzykali, was suchali, a dowali do koszycka, a ciepali kolyndowe, pra. Inacy to jim nudle wiyszocie na pyskach, pra, wielebniczku? Padocie, że to prostoki. Hmmm, faroszu... Prostek to rychtyk wyście som, jeli se miynicie, że przy tymu dobrotą łonaczyście. Łone, wasze parafiany ze Cimoka, barzi sie nos, stworoków, bojom jak was, pasibrzuchów w czornych keckach. Wy ani baba, ani chop – ani przyklonc, ani se wypić nie poradzicie. Ani dziecek mieć niy śmiycie – nale niykierzi swos sie doczekali, inoś to je jakosikej niyskłodnie, pra. Co s was za pożytek natura mo – bo my, stworoki, faroszu, my s natury wyśli, naturze przajemy – lasom, łonkom, rzykom, stawikom, zwierzom i ludziom tysz... I chociesz wasze farnioki nos niy widzom, nale łoni nos wdycki poważajom, my se, faroszu, przajemy. Padocie wyilybny, iże my, stworoki, som siły niyczyste. Nale co tuckyj je barzi niyczyste, faroszu? My, stworoki, czy wy – wyilybne grzyszniki? Dyc ta świnią, coście jom łū Żyda zmaszkekali, w nia był grzesznik zaklynty, lūn wszeteczny i chachor. I tysz chodzil ftej czarnej kecce, sutannie, jako i wy... Wyście, faroszu, jakigosikej pasibrzucha zeżarli ftem gasthanie, kamrata-swojoka podanego durś do was, a telkich – Ponboczek to wiy – samtukyj, na łonym ziemskim padole wdycki styknie. Tosz, faroszu, nasza gospodarka, łone chowani babuńków, przidzie za niedugo na lepsze i już niy siedym, nale siedymdziesiont siedym świnięk bydzie kwiyńczało, toplało sie we farskim ciaplyce. Ano, faroszu, kiwocie gowom z gryfnym ryłkiem, a rychtykucznie fajniście wyglondocie, masny z was babuć je... A tym waszym spółkamratom, swojokom, kierzi radzi wom przajom – waszej zocnej świński familiji, dyc to na farskim, hań wom wszyjskim bydzie nojlepi, choby w raju. Niy scyganilech, pra... Przecają te chlywy kole fary, kere teras stojom prozne, dziyrzy łod was Żyd, łū kieregoście tego łonego babucia wpucowali... A chneda, fto to wiy, zacznymy przedować te gryfne świnioki na cołki świat, zur ganzen Welt, jezderrrrkusie... Co, faroszu, pamiyntosz takigo małego z wonsikem, niy – na niego toby chlywików niy stykło, pieronie... Łon miał extra sztatus, łonego duuuugooo hańtam na dole peklowali... Teroski my sie załonaczymy lepszym sortem grzeszników... A tyn, co tak rod sortuje na lewo i prawo, łon, pieronie, tesz jest na liście... Zaros kole tego łod tyj łonej szczykaczki, kery woźnijszy je łod samiuńskiego papiyża... Jak bych ci przepedziol, kogo eszcze momy na tej liście – choopie, cały rzond, co jo to godom, cołki syjm – jo byda musioł chneda arendować wszyjski chlywy i chlywki w cołym dekanacie, a co jo padom – w dieczyji, a możne i w poru... Dyc skuli łonego chowanie babuńków to za niydugo bydymy chować siedymset siedymdziesiont siedym gryfnych wyposków, i to som ino wariacyje na tymat tych srogich grzyszków. Pasibrzuchy to bydom mieć szpecyjalne koczorki, ze szeslongem ze słomy z czyrwionym tepichem, pierucha! I koždy bydzie mioł dupny placyk, coby se polotać. Dyc miyso musi mieć gmyr i luft, pra, wyilybny? Farosz sie sfuczoł... Psinco umioł wypedzić. Inoś go duchota przylygła. Jeli to skuli dupnej wogi, jeli skisz srogigo basiora, jeli sie borok wylynkoł pofyrtanej godki starzyka – łonego som już farosz nie wiedziol... Katać zeżar łū Judoszka kamrata zaklyntego w babucia? Pieronie... Farosz zgupnoł do imyntu... Katać śpionczek, eli śnik abo synno mora go tropiom... Psinco mu sie kciało, boć go doimyntnie darybactwo wzyno... Niy kciało mu sie myndykować – ani kapineczka... Nale powiydzcie po prowadzie, kierej świni kce sie medytyrować – cheba że ji cosikej piznie na łep abo ryło... A widziol ftosikej babucia, kery se myndykuje ło Ponbóczku abo ło bożym świycie?



Zaros z rana farosza łobudziło zwoniyni w kościele.

FAROSZ (*padół som do sia*):

Pieronie, dyc sie musza zbiyrać, dyc zaroski msza bydzie... Musza is łodprawiać.

*Ale po próznicy. Nie kciało mu sie ruszyć...*

*I łustyszol, kie ftoś woło: – Faroszu faroszu, kaście som! Faroszu...*

*– To musi być kościelny Zeflik – wytuplikował se farosze. Próbowoł sie leko szastnońć, coby wyleż na dwór. Nale był cosi niegramotny, łociynżały i pierońsko szmotlawy. Nie łumioł stanońć na nogi. Bali tysz te jego szłapy były jakisikej krziwe i niydugi... Próbowoł stanońć i naros sie łobalił – nale niy polecioł na szeslong, inoś na łociypka słomy... Pieronie, fto mi na fara słomy naniioł – zessterowoł sie. I próbowoł cosikej pedzieć, nale gamba mioł jakosikej festelnie dugo i zdowało mu sia, że sie dziwo na cołki świat, kej jako rapitouza, z samiuški ziyymi. – Dyc jo, pieronie, downij bylech zwielgszy! – łonego wielebniczek był zicher.*

ZEFLIK zaś rycół:

Faroszuuuuu!

Odezwoł się DRUGI CHOP:

Cheba juzaś sie łozar i drzimie, farfocel graniasty.

I to był gospodarz, kiery łobrobioł łu farosza kościelne pole. Tyn pampoń to był lyn gramatny, kierego niyros farosz sponiywiyroł biczem i na kozaniu w kościele przy wszyjskich ze Cimoka łosztorcowoł, bo łon śnierdzirobotka i gorzołalejben był fa-roński. A robota mu nie przoła kej gorzoła. Nale farosz tysz janioł nie był, pieronie. – Łostatnio, kej sie nadrzystoł łu tego Żyda, to sie drzymnył w chlywie – pedzioł chłop. – Ida tam łoboczyc.

– Gówno prawda, gówno prawda – kcioł wypedzieć farosz, nale jynzor mu sie łobmotłoł ftem dugim ryle, tosz wylażło mu inoś tela:

– Kwwwiiiiik, kwwiiiiiiik, kwiiiiiiiiillliik... Cliwo trocha babuć-farosz kwiynczoł.

*Łoroz do chlywa wloz chłop. I zacudoł sie krzinka.*

– Pieronie – pedzioł chop do sia. – Zeflik, farosza tu nima, smoleć go, snojdzie sie, ale suchej ino, kamracie, pierzinie, cud sie nom samtukej przitrefił... Momy ekstra babucia. Bo cheba skłodnie rachuja... Było sześ, a je siedam gryfnych babučeków... Tosz jedan je na pozbyci... Leć gibko po Żyda, pieronie Zefel, zaros bydymy zbijać...

– Judoszek jusz tu przyszeł, nie trza po miynionego gonić – przegodoł hanej Żyd. – Przyszelech samtukyj po niyczyste, bo zeźrom je niyczysći, a Judoszek zarobi dutki, a za dutki sprawi se koszerne, czyste to łono....

KOŚCIELNY:

Judoszek se sprawi, co kce, pra, a nom piykny dynk do.

ŻYD:

Nale farosz je mie winowaty źdzybko dutków...

FAROSZ (*a żodyn niy spomiarkowoł to co mu idzie*):

Kwwwiiiiik, kwiiiiik... [co znoczy: wszyjski kostyry ci, Żydowino, porachuja...]

ŻYD:

Niech sie tyn babuciek tak fest nie chamro, bo eszcze bruch chyci. A miyso zesztresowane je do rzici wrazić...

KOŚCIELNY:

Żyd mo recht, a Jonek klepnij ino letko tego babucia.

*I farosz abo babuć dostoł łobuchem kole ryła w łep i mu w łepi zafionczało – kieby se wypił, a na drugi dziyń mioł kaca. I se lygnoł, i zaś spani go zmorziło.*

CHOP:

Trza go przedać, bo nom szkyrtnie, je przefutrowany, spora cytnorów woży, nale-  
dyc schlywa go niy wymyzyjemy....

KOŚCIELNY:

Suchej, chopie, przeca tukyj srobiymy świniobici... Farosz, jak sie znojdzie, bydzie  
rod, conieco dostanie do zmaszkiecznio.

ŻYD:

Wy se róbcie tu zbijani, jo płat dowom za pół babucia, a chlyw kca dali dziyrzyć, pa-  
dajom, że świnioczków bydzie wiyncyj.

KOŚCIELNY:

Farosz bydzie rod, niech ta se lotajom po farski zegrodzie, dyc to boże stworzynia.  
*I Żyd poszeł, by sie nie dziwiać, jako zbijajom niyczyste.*

CHOP:

Kie farosz sie stracił, a nimo fto łodprawiać, tosz uznejmy, ize to je dziyń roboczy,  
a niy świnynty, toż kamrat zbi-jo-my... Bydzie fajer z babuciem, pieronie!

KOŚCIELNY:

Ida babučka klepnońć, przyniys jakiego gnypa.  
*Farosz łobejrzoł, eli ku niymu idom. I zaczon rzykać po swojemu.*

FAROSZ:

Kwiii, kwiiii, kwik, kwik...

KOŚCIELNY:

Dziwejcie sie, jako to mondro gadzina je, jezderkusie, a padajom gupie ludziska, że  
babuć niy wyczuwo, kej na niego mo przis fertich.

CHOP:

A mało to razy cie babucie widziały, kyjsikej żeś gnypem wywijoł. Spamiyntliwe  
som bestyje...

FAROSZ (*juzaś*):

Kwiiiiiiiik, kwiiiiiiiik...

KOŚCIELNY:

Dziwejsie, kieby ślimtoł...

CHOP:

Klepniy go chutko, a niy żałuj go...

FAROSZ:

Kwik-kwik-kwik-kwik-kwi...

KOŚCIELNY:

Jezderkusie, nimoga, łon je na keregosikej podany.

CHOP (*gapczył sie na faroszowego ryła*):

Pra, jakisikej znajomy... Przaciel sie sniego srobił... Przoć by kcioł jako pies... Klup-  
na go...

KOŚCIELNY:

Poczekej... (*i do świni*):

Kubuś, Kubuś, przajesz mi, pra.

*Farosz był rod, bo se miynił, że go poznali, tosz chutko skoczył na  
kościelnego, łon kcioł sie ino do łonego przitulić, nale obalił boroka. A skuli  
tego, że wozył spora cytnorów, kościelny zaczon sie dłowić.*

KOŚCIELNY:

Hilfeeee, mein Gott, Hilfeeee!

*Chłop na szlag wzion festelnie dupny klepocz i walnoł bacuciowo bestyja w srogi łep.  
Farosz zaczon sie tracić...  
Zdowało mu sie, że idzie po kolyndzie bez Cimoki. Ku Bebokom.*

## II

*Dali w chlewiku.... Farosz sie kapka łocucnoł...*

*– Faroszu, stowejcie, trza iś łodprawiac – ftoś wrzasoł. Był to głos Paterplesa. Farosz sie skulił i wylynkoł, zaczoł kwilić niczym prosie – kwiiik, kwiiiiik, kwiiiik...*

PATERPLES:

Cosikej moja babiczko żeś ciepła za ziylsko do tyj łonyj nalywki, katać nos tak dio-secko zmorziło! Żyd zaroski poszeł se lygnonć do gasthausu na stoł, a farosz lecioł do chlywika, ku naszym prosiokom. Babko, cosikej żeś nom tuki pofyrlała?

BABKA ZIYLORKA:

Wiysz, stary, cheba mi sie te ziele, kere mom na łonaczyni sie, z ziylskem na drzymota poheskłowały...

PATERPLES (*skazuje na farosza*):

Czy łonemu skisz tego sie na łep nie ciepło? Dyć jo go z schlywika wygonić nie łumiół, ciopłoł sie s naszymi babučkami, futer jim podbiyroł z koryta, pierzinie, co to sie mu porobiło...

BABKA:

Jo tam nie wia, ale żodyn takiego knura nie żeżre. Żdziybko za stary. Jakoś go na fara zagonia, z kożdym kyndrozem rada se dowom. Inoś co łon w kościele powiy, jak bydzie łodprawiół...

FAROSZ:

Kwiiiiik, kkwiiiiik, kwiiik.

PATERPLES:

Babka, co łon flaczy, tyn rzecy-babuć.

BABKA:

Że mu tu rychtyk libeźnie, iże nie kce mu sie iś na fara. Pra, faroszyczku?  
*Farosz był cały fort – tosz skisz tego zakwiyńczoł kej ptozbek, dziyrgolił kej dziyrgol, pofachlowoł kwostkem i wecis gryfne ryłko w kecki łod staroszki.*

BABKA:

Pohalej hań go po ryłku, chopeczku, poprzyj mu...

PATERPLES (*chwiliczka doczoł skuli tego, że medykowoł, i rzeknoł galantno*):

Som żeś se, faroszu, wybroł taki życi, klupnonć cie nie klupna, nale lotać se bydziesz miyndzy rowniokami. A tyn chachor Judoszek łostanie dzikom świniom.

BABKA:

Byda se snimi hledać te łony, trufle, hań na dymbinie...

PATERPLES:

A żabojady bulom za te grziby lepi, kej Niymcy za masne wyposki. Dziynga Bogu my sia, jako to padajom ftem radyjoku, przebranzowali. Te wieprzki stych pasibrzuchów, łone majom dobre niuchani, wywonajom trufle choby hań na Zapadzi, pra, moja staroszko?

BABKA:

Pra, starziku, moj ziyłony pierniku. A fto łązi po Zapadzi, tymu dioboł do rzici włazi – ha, ha, ha... Znosz to?

PATERPLES:

Abo to: Nie łaż, boroku, po Cimoku, bo cie posmyko ku Bebokom – pra, faroszyku? Farosz zakwilił... Był rod, że wszyjsko lotało mu kole łogona... Dyc teroski nie musioł żodnego stroszyć diobłem, nie musioł za żodnego farnioka rzykać, nie musioł sie rychtować do łodprawiano, nie musioł polepszać prostoków – po pierona, dyc to zawdy je darymne łonaczyni!

*Teroski był cały fort. I rychtyk fraj. Frajlaufen.*

# PORANEK NA PIASKOWNI

Wojciech Szwiec

Pragnę wyśpiewać swój pejzaż wewnętrzny z naiwną prostotą dziecka.  
Z pewnością ta niewinna gramatyka sztuki nie przejdzie tak gładko.  
Zawsze będzie szokowała zwolenników sztuczności i kłamstwa.

Claude Debussy

*Bina podzielono na dwie nierówne tajle. Jak wejrzenie po lewo, to macie tam byfyj i stół, przy kierym siedzi Erna i sztrykuje. Jak wejrzenie po prawo, to macie dość srogi stół, przy kierym siedzi Leon, nojprzód zadkiem, potym może być bokiem abo i przodkiem. Obydwa majom dobrze po 60 lot. Klamory we izbie dowajom nom znać, że wszystko dzieje się na koniec lot 80. XX wieku. Na stole stoi dupny projektor na celuloidowo taśma 16 mm, z kierego na ścianie przed ludziami blikujom roztomajte bioło-czarne filmy. Najsamprzód słyhać dość głośno tyrkanie projektora. Na ścianie uwidzicie nagrane pora scen. Widać jakieś gałynzie, harapucie i jakieśik krzoki, można i co inszego... Łoroz film się urywo.*

LEON (*majstruje przy projektorze. Durś coś tnie i kłajstruje*):

Erna, ciepniej to sztrykowani! Weź ino ta lajera i puść mi Debussy'ego. Jo tego tak nie uwidza. Dyc to ni może tak być... Po leku dońdymy do tego łonego.

ERNA:

Nie nerwuj się, Leonku, już do ciebie ida. Mom ci zrobić po drodze tyju eli kawy?

LEON:

Nic nie chca. Puść mi ta jako etiuda.

ERNA (*nastawio taśma na magnetofon szpulowy*):

*Pour les ocaves* może być?

LEON:

Jak to połonacza, to sama zoboczysz... Wejrzyj jako to je robota. Tuki musisz tnać, a jak poszmarujesz, to możesz zlonaczyć, jak chyci, to zaś mogymy puścić na projektor i łobejrzyć.

ERNA:

Kiedy mom puszczać?

LEON:

Doczkej, przykłajstruja ta staro rozbiegówka... Na... terazki dej pozór, nojprzód uwidzisz cyfra trzi, potym dwa...

ERNA:

Potym jedyn i naciskom?

LEON:

Niyyyy, potym bydzie taki krziżik, wiysz ty jak wyglądo krziżik?

ERNA:

No toć!

LEON:

Jak uwidzisz krziżik, to sztartujesz lajera i jadymy z tym koksym.

*Słysząc terkot projektora, za chwila uwidzimy film, a z magnetofonu gro Debussy, zarozki taśma z filmym się zrywo, a Leon siado do stoła, do sklejkarki, obraco się rzuciom do ludzi i durś coś klajstruje.  
Erna wstaje, wylazuje na środek biny i łosprowio.*

ERNA:

Jo Leona downo znała. Dyc to się ludzie w Panewniku znali... yno byłach trocha smarkato i lon mie ni poznwoł. Jednego razu przyiszeł do moigo kuzyna do Mokrego, a tam na komódce kole wertikolu stoło moi zdjyncie. I Leon tak se wejrzoł i się jak mamlas pyto: Kim jest ta kobyta? A musza wom pedzieć, że jo już wtedy trocha wyfajniała... Leon pado: Poznejcie mie z niom. I te moje kuzyny, chyba do jakigo szpasu, na pierwszego maja mi go przywykli do dom. A idźcie mi z nim... Mie się tyn chop wcale nie podobo... Takech im padała.

*Słysząc klupanie. Erna przerywo, krynci łepom na lewo i prawo. Leon zaglądo w kierunku drzwierzy.*

LEON:

Erna! Zobocz wto to klupie do drzwierzy.

*Erna podchodzi, otwiyro. Do izby wchodzi chop dość młody, mo bryle w ciymnyj oprawce i dość długie włosy. Je trocha poczeszczały.  
W jednyj rynce trzimie kamera VHS, w drugij statywo.*

DZIENNIKARZ:

Dobry. Moga godać z panem Leonem?

ERNA:

A w jakij sprawie pan przychodzi?

LEON (*ryczy z izby*):

Jezder... nima to tyn synek z Chorzowa? Erna, puść go do dom! Zrób nom tyju. Jezder! Jaki jo je rod...!

ERNA:

Pojakimu nic żeś nie pedzioł, że bydymy mieć gościa? Upiykłabych babka...

DZIENNIKARZ:

Panie Leonie...

LEON:

Antoś, jezderkusie... Siadej, prawie klajstruja film...

ERNA:

Dyc ty durś yno klajstrujesz film... Cołki życie klajstrujesz...

LEON:

Nie dogaduj, to je fajny młodziok. Antoś robi filmy, jo mu pszaja. Byś widziała jak łon poradzi roztomaite chopki animować. Z papióru abo i z papyndecla. Jednego roku wygroł amatorski festiwal w Oświęcimiu!

ERNA:

Dyc jo myślała, żeś ty to wygroł?

LEON:

Piyrszo nagroda była ex aequo... Zrób nom tego tyju...

DZIENNIKARZ:

Panie Leonie, jo do vos przyjechoł skuli tyj Nagrody imienia Norberta Boronowskiego, kiero wom latoś prziznało Śląskie Towarzystwo Filmowe. Kozali mi tu przyjechać i z wami pogodać. Musza vos nagrać przy robocie, a potym zrobimy wywiad.

ERNA:

Jak to mo iść do filmu, to jo przyniesia Leonowi jaki fajny cwiter.  
(wychodzi)

LEON:

Co to mosz za klamorstwo?

DZIENNIKARZ:

To je nowość! Chned koždy, kiery kupi tako kamera, bydzie poradził filmy robić. Wejrzicie jakie to je proste. Tu wraźocie kaseta. Tu naciskocie czerwony knefel i roz, dwa nagrywyo się...

LEON:

Mie to chopcy w klubie filmowym godali, coby kupić tako kamera, ale czy jo wiyem? To je graczka, moda gupio... Wejrzyj, jo tu mom film. (*wyciągo celuloidowo taśma z perforacjom i pokazuje młodziokowi*) Chyca to do pazurów, wejrza na každo klatka... sklajstruja nazot, o...

I zaro uwidzisz... To je film...! Taśma możesz nawet powoniać! A to je psinco...

DZIENNIKARZ:

To je wideo! To je prziszłość, panie Leonie. Nacisna czerwony knefel i moga i dwie godziny nagrać, a nie yno chwila. Peñny kolor...

LEON:

Hamozie. Pokoż mi kaj je tyn film. Tu mosz szkło powiynszające, weź ta taśma i zobocz kaj łon tam je.

DZIENNIKARZ:

Je magnetyczny i do tego z głosym. Moga się nagrać godka i puścić na cały karpyndel!

LEON:

Wiyem, że to poradzi nagrać godka. Ale co jo by tam mioł za godka nagrać? Pokoż ci jaki film robia...

*Ekran rozbłysko przy muzyce Debussy'ego. Film je biało-czorny. Na ekranie uwidzimy roztomajte ptoszki i harapucie, kiere rosnom na piosku. Dookoła wydmy. Ptoszek na zbliżeniu ćwyrko do kamery, ale ćwyrkano nie słychać, yno muzyka.*

ERNA:

Piykne.

*Film się zrywo.*

LEON:

To jeszcze nima fertig. Muszę to poklajstrować. Plansza dać. Tytuł wymyślić. Abo ty Erna wymyśl!

ERNA:

Dej pokój...

*Spoza biny słychać ćwierkanie ptoszka. Erna głaszcze Leona po siwym łepie. Wstaje i wylazi na przodek biny. W tym czasie dziennikarz rozstawio klamory, rychtuje mikrofon i choć niczego już nie słyżymy, widzimy, że przeprowadzo wywiad z Leonem. Erna zaś staje przed publicznością i łosprowio.*

ERNA:

Leon chcioł być fesztrym abo muzykować, ale fater mu nie dali. Bestuż wielkom pasjom moigo męża był film i fotografia. Łon nikaj z doma bez aparatu nie wylaził. Jak poszeł na pyndzyjo, to zapisoł się do Amatorskiego Klubu Filmowego „Śląsk” we Katowicach i tam się szkolił. Żodyn nie rachowoł, że łon, taki stary, przejsćignie tych młodzioków i zrobi som film. I zrobił. I nawet nagroda dostoł. Szkoda yno, że mu

w cugu koperta z piniondzami z szakieta wyciągnęli jak społ. Zowdy społ w cugu i nieroz go okradli. Kiedy zrobił piyrszy film, to koždy się dziwowoł, że lon tak poradzi ta muzyka, ta poezja, ta przyroda pokozac. Jo tyż się dziwowała...

*Erna stoi, ale już nie godo. Terozki dochodzim naszych uszy konski godki wywiadu nagrywanego na kamera VHS. Nie słyszimy jednak Leona, yno jego głos dochodzący kaś spoza biny.*

LEON:

AKF „Śląsk” się rozlecił. Wszyscy poszli robić do Telewizji do Bytkowa. Mie tyż werbowali, ale mie to nie interesowało. Jo koždy film robia pomału, mie się nikaj nie uwijo.

DZIENNIKARZ:

Co wos ciekawiło w filmie?

LEON:

W moich filmach zajmowały mie trzy tematy: po piyrsze robota ludzko, po drugi góry i po trzeci przyroda...

DZIENNIKARZ:

Musicie mi jeszczec pedzieć, wto to je amator.

LEON:

Amator to znaczy miłośnik. Jo miłuja przyroda i miłuja film...  
*Na ścianie za Leonem pojawio się bioto-czorny film, na kierym starzy ludzie choby chochoły niesom na puklu chrust ze lasa. Widać piykne, ośnieżone góry. Polana starego Migdali we Szczyrku. Same pocharatane czasym i ciynżkom robotom gymby starych beskizkich górali. Robi się cima. Zarozki widno. Som my nazot. Erna siedzi przy byfyju i sztrykuje. Leon siedzi w swoij kanciapie i klajstruje celuloidowo taśma. Kurzi przitymu cygareta i cosik do siebie godo, żodyn nie wiy co. Łoroz słychać klupani.*

LEON:

Erna, odwrziz, wtoś klupie do drzwiryzy.

ERNA:

Sztrykują, nie poradza wstać. Idź ty.

*Zaś słychać klupani, terozki trocha mocnij.*

LEON:

Erna! Idź yno, bo wtoś klupie, a jo mom poklajstrowane pazury.

ERNA:

Jezderkusie, ida.

*Klupani przeradzo się w walynie.*

Chop za drzwiami ryczy:

Milicja, otwiyrać!

*Erna i Leon na chwila zastygają, dzwigajom łepy, zaglądnają na drzwi. A tam zaś to samo.*

MILICJANT:

Milicja, otwiyrać!

*Erna otwiyro, kole nij stoi Leon. Erna patrzy na milicjanta, kiery w rynce trzymie jakieśik briefy.*

ERNA:

Leon, coś ty zaś popochol?



MILICJANT:

Po jakimu nie odmykocie, jak klupia? Mom do was urzyndowo sprawa. Czy miyszko tuki Leon Wojtala?

LEON:

Toć miyszko. Jo miyszkom, Erna miyszko...

MILICJANT:

Skuli tego, że nie przyszlście ze swoimi filmami w ustalonym terminie do urzędu cenzorskiego w Katowicach, nakładom na was mandat 150 złotych.

ERNA:

Dyć Leon był chory, charłoł fest i nie poradził nikaj jechać...

*Za milicjantem pojawio się jeszcze jedna postać w ciymnym mantlu i hucie. Chop wlazuje do izby choby do siebie, wyszo hut na hoku przy drzwiryzach i godo.*

CHOP:

Marcol, dejcie już pokój tymu chopu. Jo się z nim trocha inaczyj pogodom. Idźcie do auta, zakurczcie się cygareta, bo to kieroś chwila potrwo. Żodnymu się nie uwijo. Pra?

*Milicjant salutuje i wychodzi. Erna i Leon wylonkani patrzom na siebie.*

CHOP:

Nie chcioł Mahomet wyłyżć na hołda, to i hołda przyszła do Mahometa.

ERNA:

Leon, wto to je? Jo się pytom – wto to je tyn chop?

LEON:

Som żeście z milicje?

CHOP:

Przyszlech zoboczyć wasze filmy. Cynzor to jo. Jak wy, amatorzy, se myślicie, że możecie w chałpie film robić, to mie się zdo, że wom się pod deklm poprzewracało, abo wom durś na tyn dekel piero.

LEON:

Dyrekcja Domu Kultury miała wszystko załatwić... To som filmy Amatorskiego Klubu Filmowego z Mikołowa! Jo tam je za instruktora. Ucza młodzioków robić filmy!

CHOP:

Mie to psinco obchodzi. Jo czytom gazety. Jo wim, co wy wyrobiocie! Zdowo wom się, że możecie pokazywać, co wom się podobo? A dyć amatorzy filmowcy tyż majom obowiązki, tyż majom odpowiedzialność przed socjalistycznym ojczyznom. Jo, panie Wojtala, czytom gazety, jo każdy wieczór patrza na dziennik we telewizorze. Jak myślicie, że nos wszystkich zrobicie za błozna, to wom się to nie udo.

Ale... ale... ale... zaprosicie mie do izby, eli dalij bydymy tak stoć we antryju?

LEON:

Erna, zrób tyju. Jak jeszcze mosz, to przynieś cukier, eli jeszcze co łostało, a jo nastawia film.

*Na ścianie pojawio się film. Powolny poetycki obroz, na kierym górole wlekom po biołym śniegu na saniach czorno truła, a za nimi stojom roztomajte drzewiane budy, chlywiki i opuszczone umierające chaty. Erna wychodzi na przodek biny i godo do publiczności.*

ERNA:

Leon nojbardzij ukochoł góry. To łon odkrył ta migdalowo polana, tak my to nazywali. Jeździli my tam na koźde wczas. Leon z samego dołu, ze Szczyrku, nosił wielgi kofer, a tam te kamery, aparaty, ciężki statyw – taki drzewianny. On ukochoł

tych starych ludzi, kierzy tam miyszkali, i cołki urlop był blisko przyrody. Tam nie potrzebowoł ani muzyki... Siedzioł całe lato i kryncił filmy...

*Film się urywo i zaś słyhać tego cenzora, kiery durś krynci łepom.*

CENZOR:

Panie Wojtala, jo się to pisza, jo tuki mom blajsztif i hefcik. Pokozoł mi pan już trzy filmy o górach. I pan powiado, że dostoł za to nagrody? Jo je rychtyk ciekawy, wto wom te nagrody doł! Wy w tych filmach pokazujecie jakiesikiej zgorzynie! Sami starzy ludzie, samotni, opuszczone domy. W jakij wy, Wojtala, żyjecie Polsce?

LEON:

W ludowyj Polsce, panie cenzorze. To je kwestia ludzkij wrażliwości.

CENZOR:

Jestech zszokowany. To je cygaństwo, a nie wrażliwość. W ludowyj Polsce nie trza pokazywać takij łostudy. Weźcie kamera, jedźcie na osiedle R w Tychach – zoboczcie budowa, wejrzicie jak gibko się mulorze uwijają, coby ślaski robotnik mioł kaj miyszkać, oboczcie jak polski inżynier rozwiązuje problemy młodych małżeństw. Koždy bydzie mioł fajne pomieszkanie. Tam się dzieje Polska! Tam stawiajom wielkie bloki! A wom je żoł starych chałpów kajś sam na gorolyi. My tu nowo Polska budujmy i tym trza się zająć! Chyćcie się roboty, Wojtala!

LEON:

Jo już swoje przerobił. Jestech na pyndzyi!

CENZOR:

Jo już nawet na wos się Wojtala nie gorsza, boście som dość starzy. Jo się gorsza na tych artystów i reżyserów, co wom za ta wasza „twórczość” nagrody dowajom. Żłoty medal w Toruniu oczywiście od UNESCO. Łoni tam za granicom by chcieli, coby tak nasza Polska wyglądała, jak wy jom pokazujecie... Jeronie... puście, co tam jeszcze mocie...

*Leon puszczo projektor. Na ekranie ukazują się niskie piece wapienne. Zarozki widzimy tytuł „Blisko piekła”. Z wapienioków się kurzy, chopy przy ciężkij robocie gaszom wapno. Cisnom ciężki wózyki z kamiyniym, cali zmazani i spocyni. Na bina kolejny roz wychodzi Erna.*

ERNA:

Roz mie Leon wzion na taki festiwal filmów amatorskich. Nawet mi się podobało. Łon fest się zawsze nerwowoł, jak puszczałi jego film. Zawsze się coś mogło rozklajstrować, urwać abo spolić. Ale jeszcze wiyncyj się nerwowoł, jak juryry oglądały te fimy, a potym o nich rozprawały. Leon cołki się wiercił i dropoł, tak mu zależało, żeby dobrze o jego filmie godali. Jak szło nie po jego myśli, to cały aże fuczoł. Jednego razu puścili film „Blisko piekła” i był tam taki reżyser, Kutz się nazywoł, i łon mu pado, że jak tak wejrzy na ta robota na tych wapieniokach, to aże czuć, jak śmierdzi z tego ekranu – taki to je film. Jo wom powiadom, jo była w zocy. Jo jeszcze nigdy nie była tako rada ze swoigo chopa! Dostoł wtedy nagroda!

*Film się urywa.*

CENZOR:

Panie Leonie, o czym som te wasze filmy?

LEON:

Dyć godom – o ludziach, o górach, o przyrodzie, o ciynżkij robocie...

CENZOR:

I wy to pokazujecie ludziom, tako robota? Nojprzód pokazujecie mi film o kanałarzach, jak w tym smrodzie po gulikach choby utopce się smykajom, terazki te wapienioki! Tak wyglądo robota w Polsce? Jo wos, Wojtala, musza spamiyntać! Tu je Górny Śląsk. Tu trza pokazywać hutnictwo, wydobyć. Weźcie ta waszo kamera i jedźcie na uroczystość barbórkowo i pokoźcie, jaki rod ze swoj roboty je śląski górnik!

LEON:

Mom jeszcze jedyn film. Wczora zech poklajstrowoł ostatnie ujęcia. Można wos nie znerwuje. Jo tego jeszcze żodnymu nie pokozoł. Erna! Puć sam, pokoźmy panu cynzorowi film o ptoszkach.

ERNA:

Ni momy jeszcze tytułu, nie wiomy, jak go mianować. Leon mi kozoł wymyślić, ale katać jo co wymyśla!

CENZOR:

Chned musza jechać nazot. Puście mi tyn film.

*Zaś pojawiajom sie ptoszki, ważki, muchy, kiere w zbliżeniach furgajom przed kamerom. Dookoła wszyndzie piosek. Cenzor komentuje głośno.*

CENZOR:

Wszyndy piosek, pojakimu piosek?

LEON:

Dejcie pozór...

ERNA:

Jakie to je piykne. Te ptoszki, te owady... Leon, to je taki romantyczny film.

*Na ekranie widać szłapy, kiere idom w guminiokach po piosku. Widać chopa, kiery wlazuje do fest dupnyj machiny i łodpolo silnik.*

ERNA:

To je mój ulubiony moment, jak tyn ptoszek pito.

CENZOR:

Wojtala, kaj wyście to kryncili?

LEON:

Jak to kaj? Na piaskowni.

*Na ekranie maszyna równo teren, niszcząc owadzie osady i gniazda ptoszków. Machina niszczy wszystko, na co trefi po drodze.*

ERNA:

To je takie wzruszające.

LEON:

Yno jeszcze ni momy tytułu.

CENZOR:

Pani Erna mo recht. To je fest romantyczne. Nazwijcie to „Poranek na piaskowni”. Jak przydziecie do mie do biura, to wom podpisza zgoda na projekcja. Terazki musza już iść.

*Film się urywo, robi się cima, Erna stoi przed publicznością.*

ERNA:

Łobalił się i trzimoł za serce, nie wiedziałach, co mom robić. Sąsiadka zadzwoniła i na noszach wzyni go do sanitarki. Pojechałach do tego lazaretu w Tychach, chodza po salach, szukom, słysza, a tam kaś jakosik haja. Pytom się chopów, co się tu dzieje, a łoni do mie, że Leon mioł zapaść i spod z łóżka, i wzyni go na oddział.

Nie umiałach spokopić, co łoni godajom! Chned taki młody doktor prziszeł i pado, że nima za wiela szans i że mom rzykać. Tyn doktor już downo nie żyje. Leon wpod w głymboki jakiś śnik, doktor pado, że to je kliniczno śmierć i bodej, czy przidzie nazot. Po trzech dniach łotworzył oczy i wstoł. Nie śmioł chodzić, yno polygiwać, ale po dziysyinciu dniach puścili go do dom. Za tydzień był wielki festiwal dlo filmowców amatorów w Katowicach. Leon – zamiast leżeć w pryku – wzion i tam pojechoł. Film zowdy był nojważniejszy. Pojechoł i dostał głównie nagroda. Żył po tym jeszcze dziysyinc lot. „Poranek na piaskowni” z muzykom Debussy’ego to je mój ulubiony film...

Pamięci Leona Wojtali i jego żony Erny. Leon Wojtala (1913–1993) był jednym z najwybitniejszych filmowców amatorów w Polsce. Związany z legendarnym Amatorskim Klubem Filmowym „Śląsk” w Katowicach. Od 1974 roku do śmierci był instruktorem istniejącego, dziś najstarszego działającego w Polsce AKF „Iks” w Mikołowie. Zwany był nestorem filmu amatorskiego. Jego filmy, mimo że nie lubiane przez cenzurę, otrzymywały nagrody na wszystkich ówczesnych festiwalach filmów amatorskich. Cytowane w tekście krótkometrażówki „Migdałowa polana”, „Umierające chaty”, „Blisko piekła” oraz tytułowy „Poranek na piaskowni” można oglądać na YouTube.

# TRZI GODKI RAFAŁA ZE ŚMIERTKOM

Krystian Węgrzynek

Przepelniała go żądza męczeństwa.  
Gerhart Hauptmann, „Szaleniec Boży Emanuel Quint”

BINA 1.

*Izba z lyżem. Rafał śpi. Idzie Śmiertka z kosom, a kości jej grzechotają,  
aż strach oblatuje. A Rafał śpi, ale sie wierci. Śmiertka staje przy  
zygówku i spod poduszki wyciągo biołe ziarno. Rafał sie budzi.*

ŚMIERTKA:

Aleś, synek, społ! Choby na grubie zabity.

RAFAŁ:

Jeronie, kto sam jest? Zdo mi sie, jakbych wos już kiedy widzioł.

ŚMIERTKA:

Przeca wszyndy mie widzisz: w lasach i (ł)ogrodach, u farorza i u pigulorza, we po-  
ścieli śniega i we kolybce słowa. Siehst du?

RAFAŁ:

Ja, jo wos widzioł i do wos zech pisoł. Aber ich habe gelesen dass Sie ein Meister aus  
Deutschland sind. A wy godocie po noszymu.

ŚMIERTKA:

To som ino słowa, synek. Jo lubia godać i po waszymu, bo sam sie wiencyj robi,  
a mniej godo. A takie coś zawždy poważom.

RAFAŁ:

Ale ze mnom sie pogodocie? Tyla zech słów od kolybki wom poświęcił.

ŚMIERTKA:

Święto zech sie nie zrobiła, ale ciekawsko. Jak już siekna kosom, to lubia wejrzyć, ja-  
kie ostatnie słowo sie odrywo z odcientyj gowy.

RAFAŁ:

A jakie?

ŚMIERTKA:

Ty powiysz „Amen”.

RAFAŁ:

Jo? Jo, lyjber i pijok byda godać „Amen”? Jo powiem jak tyn Bernard:  
„A skoczcie mi do rzyci”. Ja, łabyndzi śpiew... A nie wyśpiewujom na ostatek jakich  
trzech życzyń?

ŚMIERTKA:

Synek, dyć, że godajom, a nojwiencyj to jedno – czy przyjść moga późnij.

RAFAŁ:

A jo mom co inszego na myśli... Co jo godom? Jo to już mom na jynzyku – jo mom  
głód! O, to wom powiym na ostatek – jo mom głód!

ŚMIERTKA:

Ty to mosz pica, a nie głód. Chcesz jaki (ł)owoc, pra?

RAFAŁ:

Przeca wyicie, że to je głód, co nie zno żodnego owocu... Dejcie ino sznitka suche-go chlyba.

ŚMIERTKA:

Na.

*Rafał je sie chlyb pomału i po cichu.*

RAFAŁ:

Jak sam sie cicho porobiło... A tam mie zaczęła zaś siostra wołać:  
„Rafuś, Rafuś”. A taki jankor chyto człowieka, że aż taki lynk człowieka zdymuje.  
O, terazki idzie, słysza. Słysza, ale nie widza.

ŚMIERTKA:

Dej ino rynka do kosy... Dej se pozór, pieronie – krew nie śmie na zol polecieć, ino na chlyb.

RAFAŁ:

Jezderkusie, Kasia, jak żywo. Taki bioły klajd choby ze chmurów wycienty. Sio-strzyczko... Jako poważno... Kto tam za niom idzie... Nie widza.

ŚMIERTKA:

Dej drugo rynka, biedny płaneciorzu!

RAFAŁ:

Jezderyny, onkel Wilhelm. Na rynce jom biere... Ostow jom, ty hajmatrojerze sakra-mencki! Co godosz? Nie słysza, co mi prawi... Jerona, jak z krzyża zdymynty. I krynci gowom. I wyciągo bioło kartka. Tam stoi napisane, doczkej ino... Geist? Erdgeist? Nie, nie... „Das Geheimnis des Reichs”? Ja! Rajch? Przeca nie o tamtyn Rajch ci sie rozchodzi. Ale o tamto...? Płaczki mo w oczach. I z zadku idzie takie światło, takie światło... Stój, nie teraz! Mie sie to zaczęło zamazywać. A w gowie mi sie krynci...  
*Lomotanie do dźwierzy. Pynkanie zawiasów. Wpado Manek.*

MANEK:

Rafał, coś ty zaś wymyśło!

*(zdziero koszula i nadgarstki mu obwiązuje)*

RAFAŁ:

Jo? To Śmiertka mie wymyśloła.

*BINA 2.*

*Manek i Rafał siedzom przy stole. Pijom.*

MANEK (*oglądo buch*):

Jaki elegancki geszynk! Co żeś mi sam napisoł? „Dlo Manka, kery zowždy przidzie w nojodpowiedniejszej chwili”. Naprowdy? Dlo mie?

RAFAŁ:

Ja, to zaś prowda.

MANEK:

A sam jeszczce niżyj, co sam stoi...? „(Ł) Ostatnie roz napisane we starożytnym Mi-kołowie”. (Ł) Ostatni roz? Bieresz sie furt? A kaj cie to niesie? Zaś Festung Breslau? He, he, tam już cie wyretować nie poradza.

RAFAŁ:

Nie słyszysz, jak woło?

MANEK:  
Kto zaś? Ino wiater sie sam dobijo. Abo i jaka trąba powietrzno.

RAFAŁ:  
W żodne nie dujom trąby, ino w (ł)organy cisnom.

MANEK:  
Czekej, moja starka godali, że tyn wiater to som duszyczki, kere czekajom na zdro-  
waśka. Abo jak sie kto obwiesi, to jynczy tyn duch, co mu sie obwiesić kozoł.

RAFAŁ:  
Pamiyntosz, jak my byli na rejsie i prziszoł taki szkwał, co mi maszt złomoł?

MANEK:  
Pamiyntom, to było wtedy, jak sie noszyj pani, noszyj rectorce zmarło. Koždy pa-  
miiynto, boś mioł rano czorny żagiel, a jei sie pode wieczór zmarło.

RAFAŁ:  
Ja, to boł tyn som dzień. A potym my jom zanieśli na tako wielgo góra i my jom  
darniami z trowy przikryli. Do gymby my jej ziemi nasuli i było na chwila, na jed-  
na krótka chwila, cicho. A teraz to ona tyż woło.

MANEK:  
Rafał, kaj zaś woło?

RAFAŁ:  
Na naszym smyntorzu, Manek, kery – jak pizsom w bedekerach – „położony jest  
bardzo malowniczo”. I my jom tyż ułożyli „bardzo malowniczo”.

MANEK:  
Zaś cie biere?

RAFAŁ:  
Ino ona jedna we szkole poradziła tak elegancko łozprawiać o roztomajtych morach,  
barborach i skarbnikach. Pamiętosz co o tym Erdgajście?

MANEK:  
Godosz o Szarleju z Bytomia?

RAFAŁ:  
Nie, mie już sam nie ma, Manek. Godom o tajemnym królestwie, kery jest pod tom  
naszom góróm, pod tom skałom trachitowom.

MANEK:  
Czekej, czekej. Abo to je ta grota we Ligocie, na kalwarii? Pamiyntosz, jak my na  
wierchu, we krzokach cygarety kurzyli i pili gorzoła ze czerwonom kartkom?

RAFAŁ:  
Ja, tam tyż Jungfrau była. Cało we gwiozdach.

MANEK:  
Przeca tam musi dalyj być.

RAFAŁ:  
Nie, Manek, tam jej nie ma. Oni jei tam nie majom, a szukają sposobu. Onkel mi  
jom pokozoł. To je blank inszy Rajch.

MANEK:  
Ty zaś godosz o Breslau. Nie jedź tam, Rafał, mom złe przeczucia.

RAFAŁ:  
Musza, ty jedyn wiysz, że musza.

MANEK:  
Ale nie zaroz, chopie, doczkej ino.

RAFAŁ:

Nie, Manek, to nie je tak, jak ty rachujesz wele swoji cebuli. Wyciep jom zaroz!  
Z tym czasom to je jak z babom – im prędzej, tym lepij. Tego zygora żodyn nie poradzi przystopować.

*BINA 3.*

*Rafał śpi. Śmiertka przilazi ze dugom sznurą i staje przy zygówku, zakladio mu sznura na szyja.*

ŚMIERTKA:

Wstowej, Rafał, długo rajza przed nami. Zjeżdżomy na gruba.

RAFAŁ:

Ale duchota! Choby mi Mora na piersiach siodła... A to wyście, potko? I na szych-ta mie wysyłacie? Jerona, ale jo mom głód!

ŚMIERTKA:

Tyś to jest, Rafał, przepadzity! A co byś dzisiej jod? Owoc jaki?

RAFAŁ:

A wiecie co? Róża bych jod.

ŚMIERTKA:

Ach ja! Na, mosz sam i róża... Aber ist sie wirklich noch Jungfrau? Ha, ha, ha.

RAFAŁ:

Aleście som prześmiewni. Sie ist immer Jungfrau!... Ale wiecie co? Jo tak czuja, jak-bych nie jo ta róża jod, a ona mie żarła. Wejrzyjcie sie sam na nia, otwarto jak gym-ba modliszki.

ŚMIERTKA:

Tyż przepadzito! Szlus. Pojod ześ, to chytosz sie roboty.

RAFAŁ:

Ciężko mi sie dycho.

ŚMIERTKA:

Chcesz tam do nij dojść, do tego Rajchu, abo nie?

RAFAŁ:

Zawždy i każdego dnia.

ŚMIERTKA:

To może i bydzie tyn dzień, ale musisz sie jeszcze narobić. Dalyj. Na dół.

RAFAŁ:

Na kero gruba?

ŚMIERTKA:

Emanuelssegen.

RAFAŁ:

No ja, ciągnie wos na Kostuchna.

ŚMIERTKA:

To som Murcki, synek.

RAFAŁ:

A cisnymy bez Kostuchna... Ale tu wos gibko leci... Już widza. Kery szacht?

ŚMIERTKA:

Ruberg.

RAFAŁ:

A, o niego sie rozchodzi? To tyn, co nom dół cynk.



ŚMIERTKA:

Narobiło sie wtedy tych Faustów w pierony! A każdy miał inny recept na tyn śląski andergrand.

RAFAŁ:

Jo tyż mom swój... Ciśnie mie ta sznura... Ich bin da.

ŚMIERTKA:

Nie stynkej, tak sie noleży. Bez tego nic nie zoboczysz!

RAFAŁ:

Terozki kaj? Do szoli?

ŚMIERTKA:

A dyc! Jak chcesz po drabinie słażyć?!

RAFAŁ:

Pieronie, jak to leci na dół, choby jabko z drzewa, jak sie na nie wejrzysz od trownika.

ŚMIERTKA:

U mie wszystko idzie gibko!

RAFAŁ:

Pierona, ale sam Rajch momy. Som u nos góry podziemne, o kerych kartografy nie śniły. Som u nos rzyki podskórne, kerych by sie kapitany nie poradziły wyforsztelować.

ŚMIERTKA:

A terozki otwórz choby jedno oko. Sztolnia z jakim majstrem widzisz?

RAFAŁ:

Widza, i łódka ze czornym żaglem, i tego cygona, co klepcioki zbiero.

ŚMIERTKA:

Płać mu, ale śnim nie godej.

RAFAŁ:

Dostoł... Płynymy sie po czornyj rzyce... I jest u nos takie źródło, co go nie zoboczysz, a co wie ino gardło spalone bez pragnienie... Płynymy my aby do źródła?

ŚMIERTKA:

Do brzegu, synek, a tam czeko na cia inszy iberaszung.

RAFAŁ:

Jaki...? Aaaa... Ale tyn pies mo srogo gymba.

ŚMIERTKA:

A taki! Ciepniej mu jako swoja gnoma, abo cie zeżre.

RAFAŁ:

Mosz, gadzino, na, kranc rusztu, prawdziwo jadalno muterka... A jak wonio!

ŚMIERTKA:

I co?

RAFAŁ:

Machy ciepie, na wuszt ino wejrzy, ale mie nie szarpie.

ŚMIERTKA:

Bez to ciś dalyj.

RAFAŁ:

Jerona, zarozki wleza do wielgi groty. Czy sam sie odkrywo das Geheimnis des Reichs? ... Abo ostać w tym choby antryju?

ŚMIERTKA:

Stój i żodnego kroku dalyj. I dej sie fest pozor.

RAFAŁ:  
Ćma sie ćmi. Ale jest i te drugie wejrzyne.

ŚMIERTKA:  
Patrz tam dalyj, tym drugim.

RAFAŁ:  
Ja, widza, kajś tam z zadku. Na jakim srogim zesliku siedzi wielgi chop z brodom i petronelkom w rynce. Eli nie Skarbnik?

ŚMIERTKA:  
A wele niego?

RAFAŁ:  
(Ł)Ona! Nie, nie ona... Aaaa, z tym srogim mieczym to bydzie Barbora?

ŚMIERTKA:  
Godej im gibko, coś chcioł, bo tlynu ci braknie.

RAFAŁ:  
Roztomili Barbórko i Skarbniku, co vos wszyscy sam momy w zocy. Przyjdźcie mi, prosza, ku pomocy. Po co sam trzymocie moja Tereska, co jo godom, mój skarb największy! Eli wy sam nie wycie, że z jej srogigo rozpaczanio rośnie taki Jankor, że jak go ino urodzi, to tyn wosz Rajch spuchnie i hnet pynkać bydzie? Ino patrzeć jak duszyczki wom wylatywać bydom. Wpuszczejcie ino tych, co sam chcom być, a inych ostowcie w pokoju wiecznym. To wom dzisiaj jo godom, huncwot sakramenci i pieron ognisty, Rafał Mikołaj ze starożytnego Mikołowa.

ŚMIERTKA:  
Już cie biere? Styknie. Czekej.

RAFAŁ:  
Barbórka klaruje coś tymu Skarbnikowi, tyn istny coś zaś prawi tyj świentyj... Wejrzała sie na mie i godo. Cicho, cicho bydźcie wszyscy... Ja?

ŚMIERTKA:  
Powtarzej.

RAFAŁ:  
„Jak poradzisz – pado – na tyj sznurze jom wyciągnąć na wierch, to ci bydzie zwrócono”. Ja, mom to pochytane. Ino, ja, mo sie rozumieć, bez odwracanio. Jo niy ma taki gupi, jak te inne, na zicher sie nie obróca!... Piyknie dzienkuja...

ŚMIERTKA:  
Czekej jeszcze na jego Zulassung.

RAFAŁ:  
A wy, Skarbniku, co tam dlo mie mocie? Pieronie, tyn srogi worek mom brać na pukel... Eli urobek z nocki? ... Co one tam pokazują? ... A obrócić sie? Befehl ist Befehl! Dyc sie tam zarozki Tereska pokoże.

ŚMIERTKA:  
Obrót i szlus! A teraz z tym miechem i sznurem na góra i roz!

RAFAŁ:  
Jeronie, dusza sie, dusza... Miech musza ostawić.

ŚMIERTKA:  
Bier zaroz! Und zwo...

RAFAŁ:  
Nie, nie poradza. Ostow mie! Dooooość!  
*Łomotanie do dźwierzy. Pynkanie zawiasów. Wpado Manek i go (ł)odcino.*

MANEK:

Rafał? Ja, ale czorny choby z gruby prziszło! Cożeś zaś wymyślił!

RAFAŁ:

Jo? Śmiertka wszystko wymyśliła! Abo... jo?

*BINA 4.*

*Manek i Rafał siedzą przy stole. Pijom, a za kragel nie wylewajom.*

MANEK:

A pamiyntosz, Rafał, jakżeś obwiesił tego szatniorza na hoku, pierona kandego, tyś to mioł ale festelny chwyt.

RAFAŁ:

Stare czasy, Maniuś, stare czasy.

MANEK:

Ale czamu żeś bez zawarte łokno wtedy wyszoł?

RAFAŁ:

Bez zawarte dźwierze wylżyć żech jeszcze nie poradził!

MANEK:

A potym my poszli do masorza. Za tamtych czasów jeszcze sie jakiś wuszt trefił!

RAFAŁ:

A kwiczoł jak my go na tyn hok nabijali...

MANEK:

Rafał...

RAFAŁ:

A majtoł nogami i gowom choby go jaki fiber chycił! A jego baba, jak to łoboczyła, to tam na miejscu rypla gowom w tyn konsek lejberwusztu, co żech sie bez szalfynster upatrzył. Tyn konsek, nie baba. Pierona, wszystko zapačkane, w tyj krwi, w tym marasie, a mie już ślinka z pyska ciekła.

MANEK:

Styknie, chopie, tego godania o głodzie na cudze baby. Godej mi lepiej o twójij.

RAFAŁ:

Daj sie pozór, Manek, jak o Jungfrau chcesz godać.

MANEK:

Nie fandzol! O twoja żona i cera pytom. A nie o siostra i frela, co my je downo pochowali. Nie rób mie za błozna.

RAFAŁ:

Manek, jak cie zaroz pizna bez tyn gupi łeb. Kogo my pochowali? Kogo? Łone żyjom, wczora żech je widzioł.

MANEK:

Rafał, ty sie sam pisz te wszystkie słowa, jakie chcesz. W pierony słów! Ale jakbyś tak choby roz w niedziela z Dagom na szpacer poszoł, to chyba by sie tyn i tamtym Rajch nie zawalił, pra?

RAFAŁ:

Chopie, a jo cie mioł za swojigo. Przeca ty wiysz, że jo ino tam żech jest.

MANEK:

Przestoń i nie lyj sie żurym. Po co tela godki? Ty sie może jeździć po tych grotach, górach i dolinach. Łazić sie po tych ringach i rautach, ale jak mosz wylżyć do tamtygo królestwa, czy kaj tam, jak w tym mosz pieronowy bajzel?

RAFAŁ:

Może i bez to wrywom sie do tamtego? Abo to wiysz, jakim ojcem był swinty Pyjter?

MANEK:

I bez to jak on idziesz nazod do twojigo Rzymu, ja?

RAFAŁ:

Jo już musza do Breslau jechać. Jo wiym, co ty do mie godosz. Wiym, że sam, za dnia, libsta obwieszzonego siado wele jego szubienicy i czorne dziecka mu rodzi. Ale zaś we nocka Ona staje nad Jasnom Górom lyża i jej modre wosy zaplontujom sie we chmura, na keryj wandruje mój głód.

MANEK:

Ty swoje, jo swoje... Rafuś, patrz tam jako, chopie.

RAFAŁ:

Manek, koždy mo swój wander, koždy na ostatek musi polyżć w inno strona.  
*Żegnajom sie.*

*BINA 5.*

*Rafał śpi. Śmiertka przilazi ze wielkim miechem i staje we nogach lyża.  
Ciepie worem o zol.*

ŚMIERTKA:

Rychtuj się, Rafuś, twoja godzina wybiła.

RAFAŁ:

Jeronie, to już? A jo dalej mom taki głód. Taki, co bych i ciebie zjod.

ŚMIERTKA:

Pomału, Rafuś, tego głodu zarozki nie bydzie.

RAFAŁ:

Dobrze prawicie, jak bydzie tamto światło, to już tego chlyba nie bydzie.

ŚMIERTKA:

Pódź sam. Uuuu, wczas zech sie przykulała – dzisiej wyglondosz jak z krziża zdjynty.

RAFAŁ:

Jerona, juzaś mi tyn srogi miech na pukiel wciepujom.

ŚMIERTKA:

Koždy mo taki miech, jaki sie wyłonaczył... Ha, ha, ha... Aleś sie obalił. Taki wielgi chop, a swojigo wora podnieś nie poradzi.

RAFAŁ:

Ty mie chcesz zabić.

ŚMIERTKA:

Jo ciebie? Ha, ha, ha!

RAFAŁ:

Kaj idymy?

ŚMIERTKA:

Na ostatku idymy na wierch. Wejrzyj sie ino...

RAFAŁ:

Ja rozumia, terozki ino ku światłu. Tak zech tego chcioł, ale zech tymu poradzić nie umioł. Und endlich!

ŚMIERTKA:

Ja, endlich!

RAFAŁ:

Ale, jerona, cijnżko. I ani Manka, coby mi pomógł... Ani dziolszki, coby sznuptuchła podała... Ani mamy, coby dobre słowa pedziała... Mamo, mammo, kajżeś jest?

ŚMIERTKA:

Nie machej gowom na boki, ino ciś geradeaus.

RAFAŁ:

Ja, lekko ci sie, pociczko, godo, a iść prosto to jest przeca... iść nojcienzyj... Daleko jeszcze?

ŚMIERTKA:

A pocierp jeszcze trocha!

RAFAŁ:

Tela?! Aż mie pot krwawy chyto... Mie ino ta krew przed oczami stowała. Dyc tajemnica życio... A kuje mie w boku... chobych wisioł na hoku u masorza!

ŚMIERTKA:

Już zaroz bydzie kres.

RAFAŁ:

Teroz mi sie spomniało, co żech czytoł o Manku, kery włąził do Wrocławia. „I lud mioł go w zocy i uznowoł go za godnego ofiarowanio”.

ŚMIERTKA:

Szlus. Som my na szpicy.

RAFAŁ:

I sam jest tyn kres? Doszedł żech! Ludzie, słyszcie mie: do-szedł-żech!

ŚMIERTKA:

Już cie, Rafuś, nie słyszm. Otwieraj miech.

RAFAŁ:

Pierona, potko, z tyj strony żech cie nie znoł, z tyj zajty żech i siebie nie znoł. Rynce mi lotajom z nerwów. Wysłuć...?

ŚMIERTKA:

Ostow. Jo ci pomoga.

*(wyciągo białe ziarno)*

RAFAŁ:

Kajś to znodła?

ŚMIERTKA:

Łykej swoje ziarno, synku.

RAFAŁ:

Tyś mi je wykrodła. Przeca szukał żech go cołkie życie.

ŚMIERTKA:

Abo jo jest od pilnowanio?

RAFAŁ:

Tyś jest moja potka abo nie? To jest ta perła, co żech mioł wszystko za nia dać abo nie? Ja abo nie? Godej mi zaroz, godej, słyszysz!

ŚMIERTKA:

Rafuś, tak sie chlusto na ostatku. Nie szarp sie teraz. Mnij boli.

RAFAŁ:

Utniesz mi gowa?

ŚMIERTKA:

Nie.

RAFAŁ:

I nie będzie już wincyj głodu?

ŚMIERTKA:

Nie będzie.

RAFAŁ (*łyko*):

Patrza na dół, na ziemia, ale już jej nie widza... To już się nie nazywo ziemia. Pieronie, to wszystko mieli my inaczej pomianować. Słowa, godanie, beblanie, babel.

ŚMIERTKA:

Ja, na to jedno doł żeś się chycić, synku, na jynzyk, kerego nie było.

RAFAŁ:

Amen.

*Długi łomot do drzwi. Wołanie Manka: „Otwieraj, Rafał!”.*

# DYRECHTÖR

(ôsprowka zafarbiôno sleksza profetycznie)

## Irek Widera

### PERSÖNY:

- DYRECHTÖR – chop pod Abrahama. Dugsze, leko ôschrõniałe wosy, zarošniynty na gymbie choćby sie pora dni niy golił. Kraciasto oberhymda, dżinso-we galoty i czorny szaket.
- MORAWCOWO – sekretörka. Szykowno freła wele trzidzišci piynć rokõw staro. Dugsze jasne wosy. Bryle. Prosty lilowy klajd. Szczewiki na srogim krõmfleku.
- RUPIK – rechtör ôd cechõnku i inkszych fachszkolyń. Wele sztyrdzišci rokõw stary. Krõtko ôstrziżõny. Rube bryle. Czorny treszek ze krõtким rynkowym i czorne galoty z kapsami na nogawicach.
- PUCHROWO – rechtörka ôd mowy. Starszawo baba, trocha przy kości. Ôblyczõno skrõmnie – bioło hymda, siwy kostiõm – prosto kecka za kolana, jakla a siwe klapciate szkarboły.
- WARZECHA – terycjõn. Wielgi, chudy, glacaty chop, nale ôd lewyj strony mo zaciepane na ta glaca wosy. Modro arbajtkitla, pod spodkiym flanelhymda i brõnotne, trocha za krõtkie galoty.
- PANI PUSZCZA – muter ôd szkolorza. Gryfno baba wele szterdzišci rokõw. Blejchowane wosy. Czyrwõny mantel, szuły na wysokim krõmfleku, drogo tasia przeciepninynto bez ramie.
- MODY SYNEK – szkolorz. Jasne wosy, pińcia choby bõł strziżõny ôd tygla. Ôn nic niy godo, yno stoi a sie dziwo.

*Sztuba dyrechtõra fachszule. Na samym pojstrzodku srogi jasny szrajbtisz. Na blacie laptop, pora ciepninyntych bele jak papiorõw, jakeš blajsztyfty i czorny filok. Stołek ze ôparciym miast zesła. Za to ôd przodku szrajbtisza postawiõny zwyrwany lyjderzesel ze srogim ôparciym. Wele ściany ôszklõny szrank, a farchy za glasym zastawione rozõtõmaitymi buchami, akyntaszami a segrygatorami. Na ścianie srogo landkarta Gõrnego Šlõnska. Dyrechtör stoi wele ôkna, trzimie przy uchu mobilniok i rozprawio.*

### DYRECHTÖR:

Ja... Jo wos rozumia, byrgymajster... Momy to sztyjc w powożaniu i Puchrowo ze bajtlami rychtuje kieryš kõnszt... Ja... Ja, byrgymajster... Ja... Mie tyž õbstowo, coby to tyn fajer bõł fest udany. Sztimuja, co niy ma za wiela czasu, nale wszysko bydzie fertig... Co?... Ja, jo wiy, ô co wom sie rozchodzi, nale coš mi sie zdo, co ta tabula niy bydzie wiyšzano... Po jakimu? Niy styknie nõm czasu... No jo za to nic niy moga, tyn majster coš tam zaproł... Kiery? Pryzes... Ja, jo wiy, fto to je pryzes... Dowiy si... Z Bogiy, byrgymajster. (ôdkłodo mobilnioka i biere ciynżki dech) Ja! Wszysko ruk cug... mhm!

*Szpacyruje bez chwila po sztabie. Ôroz podchodzi ku dżwyrzom i je ôtwiyro.*

### DYRECHTÖR:

Morawcowo... (za chwila juž głošnij) Morawcowo! Põdźcie sam yno ku mie wartko!

MORAWCOWO (*kajś z za dźwiryzi*):

Terozki dyrechtörze?

DYRECHTÖR:

Wołoł bych wos, Morawcowo, po darymnicy? (*zico za szrajbtisz*)

*Bez chwila filuje naôbkoło, przekłodo papiöry z kupki na kupka. Za chwila stowo, zgržipiönc stolkiym.*

DYRECHTÖR:

A jak juź sam pöjdziecie, to weźcie mit tyź tyn srogi, czorny heft!

*Zaś zaczyno szpacyrować tam a nazod wele szrajbtisza. Do sztuby wlazuje szykowno roześmiono frela.*

DYRECHTÖR:

Morawcowo. Skoźcie mi yno, kedy my slali ôbsztalönek na tabula? Skuli tego jubla.

Mocie to kaj naszkryflane?

MORAWCOWO:

Yyyy... Rozchodzi sie dyrechtörowi ô teee... tuuu... ô to...?

DYRECHTÖR:

Ja! Akuratnie ô te! (*wzdycho*) Ô czym my godömy bez ôstatnich pora tydni? (*patrzy bez sowa na byamterka*) Morawcowo! Wyście tu sôm tak rychtig?

MORAWCOWO:

Aaaa... Jubel! No ja! (*sekretörka ôtwiyro heft i zaczyno kartkować, trwo to bezma ke-roś chwila*). A ô co tak po prowdzie idzie?

DYRECHTÖR (*niycyrpliwie*):

Toź po co juź sznupiecie we tym pieröńskim hefcie, jak jeszcze niy wycie do kōńca, ô co mi sie rozchodzi? (*zwyрто gowom bez chwila*) Suchejcie. Mieli my ôbsztalować ta nowo tabula, kero mo wisieć wizawi wyńścia do szule. Poszło to do przyesa?

MORAWCOWO (*dali przewraco kartki tam a nazot*):

Przyesa?

DYRECHTÖR:

Morawcowo! Fto nöm wszystkie komputry sprawio? Fto fōndoje roztömajte szkolynia a rajzy po cöłkim świecie dlo naszych szkolorzy? Fto lajstnoł klamory do pakersztuby a zrychtowoł szpilplac? I fto wygrywo wszystkie aukcyje na rymönty we sztacie?

MORAWCOWO:

Powiyw wöm, dyrechtörze, co niy pamiyntöm...

DYRECHTÖR:

Ja? A mie sie zdo, że wyście sôm zaś ôbmiłowani. Bez ôstatni miesiönc lazujecie, chobyście żodnyj gowy niy mieli. (*dyrechtör sleksza snerwowany wyciöngo rynka*) Dejcie mi sam yno tyn heft. No! Dejcie! (*ôtwiyro, czyto, za chwila dźwigo gowa*) Niy stöjcie sam nady mnöm! Nerwujecie mie! Idźcie yno wejrzeć do waszego komputra, czy hań ônego niy znojdziecie!

*Morawcowo ruszo ramiyniami i wylazuje. Dyrechtör durch przegłondo heft. Trwo to kieroś chwila, aże w końcu patrzy dłużyj na jedna zajta.*

*Zawiyro, a za chwila zaczyno noch ajn mal ôd poczöntku.*

MORAWCOWO:

Dyrechtörze... (*Morawcowo wlazuje nazot do sztuby, w gorści trzimie kartka*) Jo se spomniała. Stanik Kuczera. Leberwuszt mu godajöm...

DYRECHTÖR:

Pryzes Kuczera, Morawcowo! Pryzes je s ônego nojważnijszym wyrażyniym!



MORAWCOWO:

Ja? Jo ônego znôm ôd bajtla. Jaki to bôł mamlas. Żodnych szkôł niy pokôńczył, we fusbal niy szpiloł, na kole niy rajzowoł, a na placu ônego wszystkie synki prali.

DYRECHTÖR (*blank snerwowany*):

Morawcowo! Pryzes to pryzes! Ślali my tyn ôbsztalônek?

MORAWCOWO (*ruszo ramiyniami*):

Mi sie zdo, co my ôstatnio nikaj niczego niy ślali.

DYRECHTÖR:

Co to padocie?! Jako niy ślali?!!! Po jakimu?!!!

MORAWCOWO:

No... niy ślali. Tak ganz ajnfach... Żodyn mi nic niy absztjlowoł...

DYRECHTÖR:

Rupik (*syczy bez zymby*) ... Wolejcie mi sam wartko Rupika!

MORAWCOWO:

A ôn je już we arbaicie?

DYRECHTÖR:

Morawcowo! Wy go mocie sam skludzić! Chca go tu widzieć, a wy yno mocie mu to skozać! Niy szmatlejcie czegoś, co je blank proste. (*zwyрто sie i zico ciynżko na stołku*) Idźcie... Idźcie wartko wejrzeć do sztuby ôd rectorów...

*Morawcowo chyto za klômka, a wtynczos za dźwiryżami słyhać jakeś rômplowanie i ôroz do sztuby wlatuje ze szwongiym starszy chop ôbleczony w modro arbitkitla.*

WARZECHA:

Pierôny ôszkliwie! Stoć mi sam i sie niy ruszać, bezkuryje! Mocie sam na mie doczkać!

DYRECHTÖR:

Co je louz Warzecha!? Wlazujecie sam kej do chlywa, pomstujecie niy wiadomo po jakimu. Weźcie, yno niy rôbcie larma! Sam je szula, a niy szaberplac na Zołynżu!

WARZECHA:

Wiyce dobrze, dyrechtôrże, co jo sam do vos niyrodo wlazuja, ani z musu, a co dziepiyro po dobroci. Bo to dlo mie niy je żodyn szpas!

DYRECHTÖR:

Ja. Jo to wiy, Warzecha, co wy poradzicie sie na cołki dziyń z ôczu stracić! (*patrzy na chopa spod bryli*) Jaki unfal zaś mômy?

WARZECHA:

Unfal? Unfalym jo bych tego niy zmianowoł, dyrechtôrże!!! Chcyłech tych ôto gizdów (*skazuje na dźwiryże do amtu*), jak we haźlu po kachlach ciaprali...

DYRECHTÖR:

Warzecha! Wôm to je dziwne? Hań co pochwila ściany przisorzône...

WARZECHA:

Ja! Ale byście mieli widzieć, jaki ôni tam szpetne ausdruki naszkryflali!

DYRECHTÖR:

Ja? Ôszkliwie? Soroństwa jakie?

WARZECHA:

Sakramynckie dyrechtôrże! (*macho rynkôm*) Przedstôwcie se, co ôni tam naszrajbowali, co to bezmaś we naszym Hajmacie tyn manszaft ôd Zobrze je iber ales!

DYRECHTÖR:

Aaa! Bez tōž to wos tak bodzie, ja? Nale kej za winklym przy hasioku ftoś sztrajch-nył tako epno erka, to wos jakoś niy szterowało, Warzecha?! Pora miesiyncy bezma zetwało, zatyżm żeście sie za to chycili...

WARZECHA (*klupie sie po piersiach*):

Jo to po ójcach erbnōł, dyrehtörze! Ruch to Ruch, a niy te szmaciorze ód Hindynburga. Bez tōž godom, co óni tam ganz szpetne wyraży wylōnaczyli! Myni bych sie zgorszył, kejby hań jakigo srogigo luloka naszkry...

DYRECHTÖR:

Pa...nie Wa...rze...cha! Wyhaltujcie trocha, ja!? Weźnecie jako chymia i to gryfnie zōnaczycie... I fertig.

WARZECHA:

Ja! Tego sie nie do tak łaps, bo óni przy tym te kachle podropali!

DYRECHTÖR:

Jako podropali?

WARZECHA:

Jakōś óstrōm rosnadlōm. Mi sie zdo, co óni mie to na bzdury wydropali!

DYRECHTÖR:

Ja! Gynał wōm naskwol! Trza jakoś to zlonaczyć, bo za dwie niedziele mo sam być tyn fajer. Przeca wychodka niy zawrzymy, kej sam nawiedzōm nos te roztōmajte zocne persōny (*chechło óczy choby go siarōńsko szczypały*). Wiyecie, Warzecha, kie-rzy to byli? (*po cichu*)

WARZECHA:

Tak po prowdzie to za rynka niy chyciēch żodnego! Nale kej wlozēch rajn do haź-la, to nojbliżyż wele tego naszkryflanego ausdruku stoło sztyrech: Muszer, Czymbpa, Szmajduch i jeszcze taki jedyn, ale tyn mi gynał wybnōł, nim sie kapnōlech co je louz, bo ón stoł ód kraja, przy dźwiryżach. Tych trzech sam mōm, a szwortego se napasuja. Jego idzie poznać, bo to taki wyblyszczek z jasnymi kudłami i welōm, choćby bōł ód nachtopa strziżōny.

DYRECHTÖR:

Muszer, Czymbpa...

WARZECHA:

Ja! Lang ci sami. Lazujōm we tych ówsterolach i kapucach i yno filujōm, co gupigo spochać. Wiyecie... Niy chca sie wōm do roboty styrkać, dyrehtörze, ale kejbych bōł na waszym placu, to juź downo bych im po rzici wyszczył, a wyciepoł stōnd na zbity pysk.

DYRECHTÖR:

Ja, Warzecha. Wōm sie zdo, że to je dali ta sama fachszula, kero bōła pod werkiem za starego piyrwyj. Tera to my sie muszmy trzymać inkszych prawideł. Kaj óni sōm?

WARZECHA (*skazuje na dźwiryża*):

Tam óto, u Morawcowyż we ancli czekajōm.

DYRECHTÖR:

Dejcie mi ich sam, yno drabko..

*Warzecha ótwiyro dźwiryża, kiere sie same bez ta chwila przywarły,  
wrožo gowa do amtu, a za chwila sie zwyrto blank dopolōny.*

WARZECHA:

Pitli, dyrechtörze! Normalnie pitli! Bez tyn czas, kej my godali, to ôni sie stracili sam z tyj ancli!

DYRECHTÖR:

Panie Warzecha! Miarkujcie trocha z tōm waszom godkōm, bo larmujecie przy tymu na cołko szula, a wyrażocie sie choby te bajtle.

WARZECHA:

Dyrechtörze! Pierōnie! Takich gizdōw to my sam już downo niy mieli... *(wylazuje wartko, w proggu sie zwyrto)* Jo ônych sam hned skludza nazod...

DYRECHTÖR:

Warzecha... Dejcje tymu już dzisiej pokōj, ja? Jo se ich pożyczca kiej indziej. Idźcie yno tam sie rozejrzeć wele szule, czy kaj cigaret nie kurzōm. Ôto mi Luckowo go-dała, że sztōmle jij ciepiōm bez ôgrodzynie na zegrōdka.

WARZECHA:

Za przeproszyniym, ale co jo to je? Jaki szupok? Jo je ôd przetykanio ausgusa, przykryncynio szaltra a pośmiatanio placu. Jo sie mōm jeszcze przy moich latach z tymi gizdami użyrać? *(wylazuje, a za chwila wražo nazod gowa)* A Luckowo je pofyrtano...

DYRECHTÖR:

Warzecha! Pofyrtano czy niy, zouwizou wejrzyjcie hań, bo nōm poradzi ôstudy narobić, kej wachmajstrōw gmińskich zawoło... Idźcie... Idźcie...

*Warzecha wylazuje i we proggu mijo sie ze roześmionym chopym we czornym tresku.*

RUPIK:

Witōm wos, dyrechtörze. Skozaliście ponoś po mie...

DYRECHTÖR:

Na waszym placu jo bych niy bōł taki uchachany, Rupik. Mōmy do przegodanio, a to niy ma nic do śmichu. Powiydzicie mi yno, mocie przirychtowyany tyn muster?

RUPIK:

Muster? Rozchodzi sie wōm ô ta tabula?

DYRECHTÖR:

To wy pamiyntocie, ja? Samiście sie ku tymu zgłosili. To miało być już downo fertig, a jo sie dzisiej dowiadują, co to niy ma ôbsztalowane. Uznowocie se, co tego sie niy do na ôstatni driker sprowiać. Robicie mie za błozna...

RUPIK:

Niy ma leko, dyrechtörze. Zowdy była yno jedna gymba na takij tabuli... Piyrywj Pstrowski, Staszic, kej sie kōmuna przekopyrtła, niyskorzjz ôd nowego storoczca Skłodowsko. Stykło popiersi sprowić i fertig. A terozki ftoś zaś zaczōn wynokwiać...

DYRECHTÖR:

Rupik! Wyście sōm architekt czy hampelman? Wy niy mocie dupnego dynkmala wyrobiać, yno wyszkryflać cechunek fachmanowi. Krōtko. Poradzicie to wyōnaczyć?

RUPIK:

Powiyw wōm, co mōm z tym starość. Bo widzicie... Te noblisty gōrnoślōnskie... Zocene, krōm tego, co atōmbōmby sprowiali, a roztomajte chymiczne pierōństwa wy-nojdywali. Nale ônych je aże sztyrech. Co za gupielok se wynokwił takigo patrona?

DYRECHTÖR:

Rupik! Ratusz se winszuje, ratusz fōnduje i ratusz czeko, aże bydymy fertig.

RUPIK:

Nale kaj tu na tabuli myjter na pōłtora spasować te sztyry gymby i sztyry gyszich-ta z jeich żywobycio...

DYRECHTÖR:

Wy mie niy gorszcie, Rupik, z takōm godkōm, bo mieliście na to miesiōnc...  
*Ōroz dźwyrze sie ōtwirajom i do sztuby zaglōndo Morawcowo.*

MORAWCOWO:

Dyrechtörze, prziszła pani Puszcz.

DYRECHTÖR:

Fto? Co to zaś za jako?

MORAWCOWO (*cichutko, praje szkamro*):

To sōm muter ōd takigo wysokigo szpiterloka ze szwortyj klasy. Wyicie... tego, co mo jasne kudły i myjna choby bōł ōd garca strziżōny.

RUPIK:

Puszcz? Pyjter. Ōn mo we papiōrach litanijo dysfunkciji dugszo ōd loretańskij...

DYRECHTÖR (*macho rynkōm choby sie ōdganioł ōd ōwada*):

Kaj ōna je?

MORAWCOWO (*jeszcze ciszyj*):

Tukej. U mie. (*ukazuje gowōm*) Za dźwyrzami.

DYRECHTÖR:

Zgupna dzisiej. Jakbych niy mioł nic inkszego yno wysiady se ōdprowiać. Ale kej już prziszła, to niech wlazuje. Bele gibko. I tak rychtig nie wiym po jakimu.

MORAWCOWO:

Fest snerwowano je. Ponoś tyn mody coś tam nawywiōł na godzinach u Pucherki.

DYRECHTÖR:

Puchrowyj? A czamu jo nic ō tym niy wiym? Skludźcie mi sam ta Pucherka, co bych wiedzioł, ō co sie rozchodzi.

*Morawcowo wylazi, a do sztuby wlazuje postawnno, szykowno baba w czerwōnym mantlu.*

PUSZCZA (*od samych dźwiryzy wyciōngo rynku do witanio*):

Dzień dobry, panie derektorze...

DYRECHTÖR:

Dobry. To je inżynier Rupik, rechteōr ōd cechunku i inkszych fachszkolyń. Jo mia-  
nuja sie Szala. Zicniecie se? (*skazuje babie zesel*)

PUSZCZA:

Eee... Mogę usiąść? (*filuje na Rupika i zawieszko godka, kejby czekała, coby se po-  
szoł weg, ale Rupika to blank niy ruszo. Siado na zesel i zakłodo noga na noga*) Przy-  
szłam z powodu Piotra.

DYRECHTÖR:

Pyjter? Wasz synek? (*siado za szarajbtiszym*) Szyknōnc wōm tyju eli kafyju? Zeltra?

PUSZCZA:

Z czego? Z ekspresu? Ja przyszłam tutaj ze skargą, panie derektorze, a nie na kawę.

DYRECHTÖR:

Wyicie (*rozklodo ramiynia*), tak rychtig, to my wołōmy kieregoś z fatrōw, kej bajtel  
co u nos spocho, a niy na ōpy. A na cōż to sie chcecie nōm pożalić?

PUSZCZA:

No... Raczej nie pożalić. To o wiele poważniejsza sprawa, derektorze. Na tyle poważ-  
na, że w tej chwili rozważamy kwestię zmiany szkoły dla Piotra.

DYRECHTÖR:

Terozki? Krótko przed abiturōm? A skożecie mi, cōż wōm sie sam niy zdo?

PUSZCZA:

Nic nam się nie zdaje, derektorze. Fakty przemawiają. Odnoszę wrażenie, że pan w ogóle nie jest zorientowany, co się dzieje w podległej panu placówce... Pięknie.

DYRECHTÖR:

Wierzcie mi, jo to wszystko tukej mom w zocy...

PUSZCZA:

Derektorze! Chce mi pan powiedzieć, że ma pan to w...?

RUPIK:

Niy, niy, pani Puszczowo. Dyrechōr chcioł pedzieć, co mo wszystko sam w powożaniu. To wyrażyni, coście se pomysleli, to po naszymu sie godo, co sie mo cōś w rzi...

DYRECHTÖR:

Dejcie pokōj, Rupik... Przikro mi, pani Puszczza. Jo yno tela wiym, co wasz bajtel sie fest ôpuścił. Tera mi sie spomniało, co na ôstatnij radzie my ô nim godali i ôn mo nojgorszo frekwyncjo ze szkolorzy ôd wszystkich ôstatnich klasōw...

PUSZCZA:

No właśnie. A jak pan myśli, dlaczego?

DYRECHTÖR:

Chcecie mi pedzieć, że Pyjter niy przilazi do szule, bo go sam cōś szteruje?

PUSZCZA:

Steruje? No, właściwie pan to ujął. Manipulacja! O tak! I dodałabym do tego jeszcze szykany, poniżanie i dyskryminację!

DYRECHTÖR (*dźwigo sie ze stolka*):

Piyrsze słysza. Poradzicie jakoś dowiyść ta wasza pōmowa?

PUSZCZA:

Pomówienia? To nie są żadne pomówienia, tylko – jak wspomniałam – fakty...

DYRECHTÖR:

Fakty, padocie? Przedstawcie mi bodej jedyn bajszpil, kerym byście mogli przituplować te wasze zażalyni. Bo musicie przikwolić, pani Puszczza...

PUSZCZA:

Chwalić?! Nie, no, panie derektorze! Pan naprawdę nie rozumie powagi sytuacji! Ja nie poznaję tej szkoły!

DYRECHTÖR:

Pani Puszczza. Zetwejcie yno, bo cōś mi sie zdo, co tak to my sie niy poradzymy dogodać. (*dyrechōr syjmnōn bryle i wejrzoł na baba pozornie*) Kaj wy chcecie sie przeniyść?

PUSZCZA:

Noo... Jeśli już pan tak nalega... Ale zamiast kawy poproszę przynieść herbatę.

DYRECHTÖR (*bez chwila leko udziwiōny, nale stowo a podlazuje ku dźwiyrzom*):

Morawcowo! Sprowicie nom szolka tyju?

MORAWCOWO (*wlazuje rajn*):

Jedna? (*dyrechōr kiwie gowom na „ja”*)

RUPIK (*szkamro za tyn czos pod nosym*):

Cytrynōwka eli kamelki by sie zdały, pra?

PUSZCZA:

Przepraszam. Pan pije w pracy?

*Dyrechōr patrzy krziwo na Rupika, kery już cōś chcioł godać, coby sie niy ôdzywoł po darymnicy.*

DYREKTOR:

Poradźcie wy mi pedzieć, ô co sie wôm tak rychtig rozchodzi?

PUSZCZA:

W czym problem, tak? Byliśmy u lekarza i Piotrek ma zdiagnozowaną nerwicę lękową. W szkole jest dręczony przez swoich kolegów. Wyzywany. Obrażany. Ja rozumiem, że młodzi ludzie często używają w stosunku do siebie żartobliwych określeń: gruby, łysy, debil, zezowaty. Ale gorol!? Dlaczego? Przecież Piotr się urodził tu, na Śląsku... W Zawierciu...

*Klupanie do dźwiyrzi. Za chwila rajn wlazuje tyngo baba w siwym kostiõmie.*

DYREKTOR:

Ô! Witôm wos, Puchrowo. To je pani Puszczka, muter ôd Pyjtra...

PUCHER:

Dobry. Ja? Ôd Pyjtra Puszczki? Jakoś se niy poradza spomnieć wos ze wywiadówek...

PUSZCZA:

Dzień dobry. No cóż, proszę pani. Pracuję. Sama wychowuję Piotra i prowadzę firmę. Jestem zajęta osobą.

DYREKTOR:

Pani Puszczka, godejcie krõtko, co wos tropi, bo magister Puchrowo ôstawiła szkolorzy we klasie, a jo môm dzisieij jeszcze w pierõny załatwianio.

PUSZCZA:

No tak. Dla rozstrzygania poważnych spraw w tej szkole nie znajduje się czasu. Nie podoba mi się to, ale cóż... Powiem wprost. Pani jest wychowawczynią, tak? Pani zadaniem jest troska o uczniów, prawda? Pani ma być opoką i autorytetem, a tymczasem to pani jest powodem naszej decyzji o zmianie szkoły. Piotruś czuje się przez panią poniżany. Szykanowany. Ôsmieszany wręcz.

PUCHER:

Po jakimu tak godocie?

PUSZCZA:

Ano właśnie! Kwestia języka! Ostatnio podobno na forum klasy ôsmieszyla pani Piotrka, każąc czytać tekst w gwarze. Skąd w ogóle taki pomysł? Ja dokładam starań, żeby Piotruś mówił poprawnie, bo ciągle wtrąca te prostackie, wulgarne wręcz wyrażenia. Ja rozumiem, że to jest technikum, ale jako szkoła średnia też powinno trzymać jakiś poziom, prawda? Tymczasem, jak slysę, tu poziom dostosowuje się do tych dzielnic... Familiaków?

DYREKTOR:

Zmiarkujcie, co to niy je nasze wynokwianie...

PUCHER:

Ja. Na tyn przikłõd terozki podug forplanu mõmy gynal na blacie pisma Kadłubka...

PUSZCZA:

Noo... To łacina? Czy staropolszczyzna... Dobrze kojarzę?

PUCHER:

Niy Wincynta. Zbigniewa. *Listy z Rzymu*. A te sôm gynal szrajbowane po naszymu...

PUSZCZA:

A... to... Nie czytałam... To jakaś lektura dodatkowa?

PUCHER:

Niy. Terozki tako echt musowo.

PUSZCZA:

Więc dlatego zmusza pani Piotrka, żeby na forum całej klasy czytał po śląsku, a potem głośno komentuje każdy jego błąd...

PUCHER:

Cołki cwek we tym, co jo mu bez to pomogōm. Bo ōn, wycie, mo nojwiynkszo utropa z godkōm. Kożdo szkryfa „a” zmiynio na „o”. I miyni se, co to styknie, coby godać po naszymu. I niy poradzi sie wyzbyć podkryślanio kożdego ą i ę... Ciyńzko...

PUSZCZA:

Stąd nie rozumiem, dlaczego marnuje się w tej szkole tak wiele czasu na edukację regionalną? Zamiast romantyków nauczać, pozytywistów, a ze współczesnych choćby Żeromskiego czy noblisty Szymborskiego.

PUCHER (*przewraca oczami i cinyżko dycho*):

Kejbyście byli bodej roz na wywiadówce... Terozki kożdy mo poradzić poczytować po naszymu, ō szrajbōnku już niy spomna, ani ō rozprowianiu. A wasz bajtel? Kejbych widziała, co ōn sie choć trocha chce ansztyngować. Nale ōto jak my ōstatnio przerobiali rōmana ōd Lyski „Duchy wojny”, to ōn nawet jednyj tajli z ōnego niy poczytał...

PUSZCZA:

No ale przepraszam... Piotr będzie studiował marketing i zarządzanie. Nie sądzę, żeby dzieła tego tam... Romana Odlyski były mu do czegoś przydatne.

DYRECHTŌR:

Sucehcie. We kożdyj hochszule dopōminac sie bydōm abituru, ja? A terozki we cołkim Ślōnsku, w kożdyj szule, zdowo sie musowo abitur ze ślōnskiej godki. Szlus. Taki sōm naształowania. Wōm sie to może niy zdać, nale... (*rozkłodo ramiynia*)

PUSZCZA:

Taak? Od kiedy tak? Jest tak? Jak jest? Bo zdaje się, że córka znajomej z Siewierza...

PUCHER:

A bōło godane na wywiadówkach. Jak padoł dyrehtōr, ōd ōńskiego roku mōmy nowe prawidła, podug kerych sie szkoli. Dane nōm ōd wyrchu. Ōd Katowic.

PUSZCZA:

Poważnie? Mnie się to nie podoba, że wprowadza się tę... Tą... Gwarę... Na maturę.

DYRECHTŌR:

Co jo wōm na to poradza, pani Puszca? Trocha sie pomiyniło. Jak chcecie robić skuli tego larmo, to musicie iś kaj wyżyj. Brify słać. Ku kuratorjōm eli do marszala.

PUSZCZA:

To jakiś absurd! Śląski!? Przecież to dialekt, jakiś taki... kopalniany! Podwórkowy. Nieliteracki w ogóle. Czy ktoś coś tworzy w tym języku? Poezję? Powieści, dramaty? Śmieszne to jakoś, prymitywne, zacofane, ubogie, i w dodatku nasiąknięte germanizmami!

RUPIK:

Ja? A czym podug wos mo być nasiōnkniynte? Rumunizmami?

*Za dźwiryzami zaś jakieś larmo i szarpanie. Za chwila do izby wlawuje wożny i trzimie fest za kabot chudego synka z jasnom welom i ōstrziżonego jak ōd kastrola.*

PUSZCZA:

Piotruś!

DYRECHTŌR:

Warzecha!

PUCHER:

Pyjter!

RUPIK:

Puszczła!

WARZECHA:

Dyrechtörze! To je tyn szworty, co mi ôto pitnoł z haźła! Nawet niy musiołech za ônym lotać, bo ôto ta gryncbôła wyblyszczono stoł sam we antryju pod dźwiryzami!

PUSZCZA:

Piotrek! Co się tutaj dzieje?!

DYRECHTÖR:

To je wasz bajtel, pani Puszczła?

PUSZCZA:

Pan nie kojarzy swoich uczniów, derektorze?

WARZECHA:

To wyście sôm muter ôd tego chachora?

PUSZCZA:

Chachara?!

WARZECHA:

No! Za przeproszyniym, pani Puszczalsko! Tyn gizd...

PUSZCZA:

Puszczalska?!!! Oburzające, panie derektorze!!! Pan to słyszał?! Ja tego tak nie zostawię! Nie! Chodź, Piotruś! A pan... (*żgo Warzechy palcym w piersi*) Pan jesteś zwykły... rasista!

*Baba biere za rynka swojigo synka i wylazuje ze sztuby. Na kōniec jeszcze piere z cołki szwōngiyym dźwiryzami. Bez chwila w izbie je tak cicho, co do sie posłyszeć yno mucha, kero furgo wele krōnlojchtra.*

RUPIK:

Ja! Ja! Rasista, panie Warzecha! Przinoleżycie do RASiu, co wôm tak padała?

DYRECHTÖR:

Warzecha! Tera żeście dziepiyro dopolili. Ja! My z tōm pancerbabōm bydymy mieli jeszcze ôstuda. Spomnicie moje sowa.

PUCHER (*ze spokojym*):

Ja. Wyście, Warzecha, tyj babie szpetnie pedzieli, wycie? Puszczalsko. (*zgorazono zwyrtogowōm*) Wy tak niy możecie godać, Warzecha! To je fest felerne. Po naszymu sie familijo miyni yno (*wyliczo na palcach*):

Puszczowo, Puszczyno eli Puszczalino.

DYRECHTÖR:

Puszczła... ja (*w zamysłyniu*), Puchrowo! Mi sie spomniało, co byrgymajster zwoñił... Za dwa niydziele majōm ôdkrywać we parku wele ratusza dynkmal Starego Jorga, kerego lepszo zmiana pobuliła...

RUPIK:

Po mojimu to ta tabula hań piōnto zmiana ôdkryciła... A można to jedyn a tyn sôm ablyjzōng?

WARZECHA:

To skiż tego ring wele ratusza tyż ôńskigo tydnia przemianowali na Ziyntka? Hned nōm cołko gmina przemianujōm na Stary Jorg...



RUPIK:

Gibcij na Nowy Jorg...

WARZECHA:

Skiz... Jorga ôd Waszyngtōna?

RUPIK:

Niy. Skiz Jorga ôd RASia. Nale... Waszyntōn tyż mioł u sia rasistōw.

DYRECHTŌR:

Rupik! Tracie po darymnicy czas! Już byście ta tabula mieli... A wy, Warzecha!

Fany trza już rychtować do wiyszanio skiz tego cołkigo jublu. Miarkujecie?

WARZECHA:

Ja. (*ze przekōnaniym*) Te co zowdy?

DYRECHTŌR:

Niy, Warzecha! Wy macie fest krōtko pamiyńc ôstatnio! Złoto-modre! Se to do gowy wroźcie, Warzecha! Roz a dobrze! Ôd ôńskigo lata zaś autōnomijo mōmy!





# Nowa płyta z cyklu **Mistrzowie Muzyki**

**Górecki / Aukso**

**Kyrie op. 83** (pierwsze nagranie!)

**Quasi una fantasia op. 78**



*Nominacja  
do nagrody  
Fryderyk 2018  
Album roku:  
muzyka symfoniczna  
i koncertująca*

**W Punkcie Kontaktowym  
Miasta Ogrodów  
(plac Sejmu Śląskiego 2)**

WYDAWCY:

**iM!GO** 20 years  
PUBLIC RELATIONS



KATOWICE

*Miasto Ogrodów*

Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

PATRONAT MEDIALNY

GAZETA  
**wyborcza**

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

978-83-63304-53-9